

POMERANIA

N^o 2728



- W KRĘGU NIEMOCY
- KURS NA MŁODZIEŻ
- Z MŁODYCH LAT M. BYSTRON
- PRZĘSCYGANI CZASU
- DZIENNIK A. GRZYBA
- UROCZYSTOŚĆ W CZĄDZE ROKU
- Z RIWIERY DO RZYMU
- MIĘDZY NAKŁEM A ANAGNI
- NIEZDOLNI?
- ZWYCZAJE ROLNIKÓW

1

STYCZEŃ
1980



POMERANIA

ZARZĄD GŁÓWNY
ZRZESZENIA KASZUBSKO-POMORSKIEGO

Rok XVII

1980

Nr 1 (96)

W numerze:

- 1 DANUTA SIEMIŃSKA – W kręgu niemocy i rusztowań
- 2 FRANCISZEK SZCZĘŚNY – Kurs na młodzież
- 3 STANISŁAW JANKE – Świat z młodych lat
- 5 RYSZARD CIEMIŃSKI – W administrowaniu niezdolni?
- 7 JERZY SAMP – Wokół prawdy o zelanym demonie (3)
- 10 MARIAN MAJKOWSKI – W lagrze (dokończenie)
- 13 EUGENIUSZ GOŁĄBEK – Przescygani czasu
- 16 ANDRZEJ GRZYB – Dziennik
- 18 URSZULA OLSZEWSKA – Pamiętnik (23)
- 21 ANNA ŁAJMING – Wspomnienia z młodości (dokończenie)
- 24 FRANCISZEK RUTKOWSKI – Z Riwiery do wolnego Rzymu
- 27 ALFONS FILIP – Wspomnienia z wojny (4)
- 30 ALEKSANDER LABUDA – Uroczęznę w cządze roku (2)
- 32 JERZY TREDER – Ze Słownika Sychty. Wierzenia i zwyczaje związane z rolnictwem i rybactwem
- 36 JAN POWIERSKI – Między Nakłem a Anagni
- 40 Kleka – Z życia Zrzeszenia

REDAGUJE KOLEGIUM:

Konrad Clechanowski
Jerzy Kiedrowski
Wojciech Kiedrowski
(redaktor naczelny)
Stanisław Pestka
Edmund Puzdrowski
Krystyna Puzdrowska
(sekretarz redakcji)
Jerzy Samp

STAŁE WSPÓŁPRACUJĄ:

Lech Bądkowski
Tadeusz Bolduan
Józef Borzyszkowski
Edward Breza
Zygmunt Brocki
Ryszard Ciepiński
Stanisław Janke
Aleksander Labuda
Anna Łajming
Kazimierz Ostrowski
Jerzy Treder
Izabella Trojanowska

ADRES REDAKCJI:

Długi Targ 8/10
80-828 Gdańsk
tel. 31-36-58
Konto PKO:
Gdańsk 19510-5890-132

WYDAWCA:

ZARZĄD GŁÓWNY
ZRZESZENIA
KASZUBSKO-
POMORSKIEGO

Prenumerata roczna 150 zł
Nakład 2000 egz.
Druk. Gd. Wyd. Pras. —
Nr 3088 — J-7

W kręgu niemocy i rusztowań

Danuta Siemińska

Bytów. Stara słowiańska osada, której burzliwe dzieje nie zdołały zetrzeć jej kaszubskiego charakteru. Długa jest lista nazwisk ofiarnych ludzi, szczerze tej ziemi oddanych. Lista ciągle otwarta, bo i dzień dzisiejszy zostawia na niej swój ślad. Wielu jest w Bytowie żywo zainteresowanych sprawami regionu, usiłujących dokonywać na co dzień twórczej symbiozy tradycji ze współczesnością. Usiłujących...

Na niewielkim wzniesieniu, w miejscu dawnego słowiańskiego castrum, wzniesli przed wiekami Krzyżacy zamek. Historia nie była dlań łaskawa. Zniszczony i częściowo spalony podczas „potopu szwedzkiego” uchronił się w XIX w. od planowanej rozbiorczy „prozaicznym” brakiem pieniędzy. Niewiele uszkodzony podczas ostatniej wojny — przetrwał do naszych czasów.

Od kilkunastu lat trwa odbudowa bytowskiego zamku. Tempo przeprowadzanych tam prac jest jednak tak powolne, że nawet najwięksi optymiści nie wierzą już w realność kolejnych terminów. Szanowne skądinąd i wielce zasłużone przedsiębiorstwo, jakim jest Pracownia Konserwacji Zabytków, wystawia na ciężką próbę cierpliwość gospodarzy miasta oraz przyszłych użytkowników obiektu.

Obietnicami, li tylko werbalnymi okazywały się zapewnienia o rychłym uruchomieniu kolejnych instytucji w powołanych do nowego życia skrzydłach zamkowych. Jednym z zawiedzionych i co tu kryć — rozgoryczonych jest mgr Piotr Cielecki, dyrektor Muzeum Zachodnio-Kaszubskiego. Rozmowę naszą rozpoczynam od pokazania notatki, jaka ukazała się na temat muzeum w jednym z numerów „Pomeranii”. Szybko przebiega oczami tekst.

— Nic się nie zmieniło, mimo że informacja jest sprzed dwóch lat. Sama pani widzi. Zajmujemy, a raczej wypożyczamy dzięki uprzejmości pracowników Miejskiej Biblioteki Publicznej jedną salę wystawową o powierzchni 117 m kwadratowych i dwa małe pomieszczenia biurowo-magazynowe. To mniejsze — to moje królestwo.

Kiedy obejmowałem kierownictwo tej placówki, zapewniano mnie, że w stosunkowo niedługim czasie zostanie oddane do dyspozycji muzeum skrzydło, obejmujące Dom Zakonny, Baszłę Kwadratową i Młyńską o łącznej powierzchni ok. 1000 m kw. Termin oddania — w połowie 1973 roku. Jak nietrudno obliczyć, minęło już 6 lat, a my ciągle pracujemy w warunkach tej nader uciążliwej prowizorki. Co więcej, w 1980 r. ma być przekazane bytowanom Skrzydło Książęce, przeznaczone na hotel i restaurację. Dopiero po tym terminie przystąpi inwestor do remontu pomieszczeń przewidzianych dla nas. Bardzo chciałbym podać choćby przypuszczalny termin otwarcia muzeum. Niestety, w tej sytuacji wolę się powstrzymać od składania jakichkolwiek deklaracji.

Zalega krępująca cisza, którą pierwszy przerywa gospodarz.

— Proszę to obejrzeć — mówi, podając niewielką figurkę. — Zadumany kaszubski świątek, dłuta nieznanego artysty. Jego niewątpliwie piękno starł jednak czas, nieubłagany w swym niszczącym działaniu.

— Pilnie chyba wymaga niezbędnych zabiegów konserwatorskich?

— A tak. Tylko, że nieprędko się ich doczeka. Nie on jeden zresztą. Na stanie mamy 2500 eksponatów i każdy z nich wymaga natychmiastowej pomocy.

— Dlaczego więc ich nie konserwujecie?

— Bo nie ma konserwatora, nie mamy odpowiedniej pracowni dla tego typu prac z tej prostej przyczyny, że nie ma jej gdzie uruchomić. Owszem przewidziana jest takowa, ale w... Baszcie Kwadratowej. Tymczasem zaś robimy co możemy.

— To znaczy co?

— Dostępными nam metodami i środkami zabezpieczamy eksponaty przed dalszym zniszczeniem. To wcale nie znaczy, że nie zdajemy sobie sprawy z powolności naszych poczynąń. Tym bardziej, że miejsce ich przechowywania urąga wszelkim przyjętym w muzealnictwie normom i ustaleniom. Bo cóż to za magazyn, w którym z takim trudem i poświęceniem zbierane pamiątki tej ziemi, skazane są na dalsze niszczenie. Brak miejsca i klimatyzacji oraz wilgoć — robią przecież swoje.

— Czy uważa Pan zatem, że sytuacja w jakiej znalazło się Muzeum Zachodnio-Kaszubskie jest wręcz alarmująca?

— Z całą odpowiedzialnością tak twierdzę.

— Nie zniechęca to was?

— W pewnym stopniu. Zabrzmi to może pompastycznie, ale mimo wszystko czujemy się tu potrzebni. Muzeum cieszy się sporym zainteresowaniem zwiedzających. W ciągu roku odwiedza je 20 000 osób, z czego połowa tylko przypada na turystów. Przychodzą do nas, niekiedy gromadnie, mieszkańcy okolicznych wiosek i nie bez dumy rozpoznają na wystawach swoje darowizny.

Są też i tacy, którzy po niewczasie żałują zniszczenia niepotrzebnych już im sprzętów gospodarstwa domowego oraz narzędzi pracy. Jeszcze bardziej żałujemy my, ponieważ niektóre wytwory ludowej kultury są dziś już nie do nabycia.

— A jakie rezultaty daje penetracja terenu?

— W chwili obecnej — znikome. Zdajemy sobie sprawę, że najlepszy okres zbierania eksponatów mamy poza sobą. Przypadł on na dziewięćioletni okres bardzo aktywnej działalności Społecznego Komitetu,

poprzedzający utworzenie muzeum. W tym czasie zebrano 1500 obiektów z dziedziny hodowli, rolnictwa, gospodarstwa domowego i sztuki.

Dzisiaj, mimo rozszerzenia obszaru poszukiwań na południowy wschód, nasza działalność zbieracka ogranicza się w zasadzie do relikwów kulturowych tzw. osadników, którzy napłynęli na te tereny po 1945 roku. Bardzo często zdarza się, że oni sami przychodzą do nas z cennymi darami, nie szczędząc przy okazji krytycznych uwag i postulatów.

— Zauważyłam, że na wystawie obrazującej przekrojowo zbiory muzeum, dość licznie reprezentowane są rzeźby współczesnych artystów ludowych.

— Nie jest to przypadkowe. Uważam bowiem, że muzeum nasze, mimo wszystkich wyżej wymienionych trudności i przeciwnieństw losu, powinno spełniać rolę mecenasa artystów ludowych. Już sam fakt zakupu, nieraz kontrowersyjnego, jest formą opieki nad tymi twórcami. Im daje satysfakcję a nam wzbogaca zbiory. Zamierzamy utworzyć galerię rzeźby kaszubskiej, w której nie może przecież zabraknąć Licy, Hewelta, Zwolakiewicza czy Kostki. Mam tę świadomość, że to co kupujemy nie zawsze jest dziełem sztuki, ale na pewno świadectwem określonego środowiska kulturowego. Tego środowiska, które chcemy możliwie najpełniej zaprezentować odwiedzającym nas gościom.

— Co jest lub będzie waszą specjalnością?

— Wystawy czasowe. Mielśmy ich do tej pory kilka, organizowanych poza sezonem turystycznym, a mimo to — licznie oglądanych. Były więc: „Współczesna sztuka ludowa Kaszub”, „Skrzynie ludowe na Pomorzu Środkowym”, „Osadnicy — wystawa nabytków”, „Malarstwo i grafika plastyków gdańskich”

i inne. Ciągłe jednak marzą się nam wystawy sreber, białej broni, malarstwa młodopolskiego w odbudowanych wnętrzach zamkowych. Ulegając, swojego czasu, złudnym obietnicom rychłego przeniesienia do właściwej siedziby, prowadziłem rozmowy z kilkoma placówkami muzealnymi w kraju dotyczące wypożyczenia sreber i broni. Niestety, trzeba było je przerwać i uzbroiwszy się w cierpliwość — czekać.

— A w międzyczasie?

— Zorganizowaliśmy Muzeum Polskiej Szkoły w Płotowie, które jest naszym oddziałem, podobnie jak istniejący od kilku lat skansen — zagroda w Somnachu. Zgromadzone przez nas eksponaty pochodzą głównie z bytowskiego i złotowskiego. Większość z nich przekazała p. Władysław Knosala z rodziny Styp-Rekowskich, była nauczycielka szkół polskich w Niemczech.

Dziękując miłemu gospodarzowi za rozmowę nadmieniam, że jadę do Somni, by obejrzyć wspomnianą już zagrodę gburską.

— Tam stoją tylko dwa obiekty — mówi Cielecki — zamiast planowanych czterech. Jest więc budynek gospodarczy i chatka owczarza, a w bliżej nieokreślonej przyszłości mają stać: stodoła i chatupa. Swoistej pikanterii dodaje fakt, że cały teren, na którym znajduje się zagroda, pozostaje ciągle w rękach prywatnych. Jakoś nie mogą doczekać się szczęśliwego końca pertraktacji z aktualnym właścicielem.

Opuszczam Bytów z mieszanymi uczuciami.

Tyle tu spraw czeka na zdecydowanie i właściwe rozwiązanie. Kto zatem przerwie zaczarowany krąg niemocy i rusztowań?

Kurs na młodzię

Franciszek Szczęsny

Matka moja wtedy wracała do domu, z robót przy-musowych u Niemca Wajsa w Kobysewie. Kiedy przez Żukowo maszerował Stutthof „drogą śmierci”. Ojciec natomiast przyjechał dopiero na początku lata z czeskiej partyzantki, dokąd zawiąły go losy wojennej zawieruchy. Dopiero potem, w przepisowym czasie w zmęczonym wojną i gnębionym durem brzuszny Kiełpinie, przyszedłem na ten najpiękniejszy ze światów. Nie należę więc do tej generacji, która walczyła i przeżyła, która teraz może dać świadectwo prawdzie, na której bohaterskich czynach możemy być wychowywani, my — młodzi.

To, że zabieram głos w ankiecie „Pomeranii” obok wielkich sław, uznawanych w kraju i za granicą, niech nie będzie poczytane mi za zarozumiałość. Nie o to idzie. Chciałbym wszystkim, którzy czytają to pismo i którym bliskie jest dobro Kaszub, pokazać co czują i co wiedzą o swoim regionie młodzi z mojego pokolenia. Niech ta szczypta wiadomości przyczyni się do uratowania tego co nie może zaginać.

Babka moja, o której napisano — „narodowość — niemiecka, wyznanie — katolickie”, zanim zmarła nauczyła mnie zaledwie kilku słów po polsku. Później piastunką moją była z łitości przysługująca Niemka, która dla odmiany mówiła tylko po niemiecku i zanim deportowano ją do dopiero co powstałej NRF, nauczyła mnie niezłe „szprechać”. Przystępując próg szkoły podstawowej mówiłem wy-

łącznie po kaszubsku, bo tak mówili rodzice i wszyscy wokół. I tu zaczęła się gehenna, bo kazano nam mówić wyłącznie po polsku, a ja znałem tylko wierszyk „Kto ty jesteś? — Polak mały...”. Recytowałem go zwykle wtedy, kiedy ojciec chciał się mną pochwalić.

Najtrudniej radziłem sobie z opowiadaniem czytanek swoimi słowami, brakowało polskich słów, przy tym baliśmy się ośmieszenia i bicia. A wybijano nam kaszubszczyznę, wybijano. Nie zapomnę jak kierowniczka szkoły ostrzem ołówka niczym mizerykordią biła po plecach koleżankę pozostawiając krwawe ślady na jej dziecięcych plecach.

O dziwo, nie buntowaliśmy się przeciwko systemowi, zgodnie przyjmowaliśmy, że to co polskie, co nowe, to lepsze i doskonalsze. Tylko ta kobieta, ona budziła w nas uczucie, które było mieszaniną nienawiści, strachu i podziwu. Byliśmy posłuszni kiedy kazano nam kochać Polskę, o której nie mieliśmy pojęcia, i kiedy kazano dawać swoje grosiki na umęczoną, biedną, odbudowującą się Warszawę. Z przejęciem recytowaliśmy wierszyki o modrej Wiśle co po szerokim polu płynię, zupełnie zapominając o naszej pracowitej Raduni co tak malowniczo meandruje tuż za wsią aby wpaść w również malowniczy przełom w sąsiedniej wsi. Jednakże naszego pędu do polskości nie można było nazwać owczym, z sobą rozmawialiśmy po kaszubsku i biada temu kto próbował się wyłamać — był niemiłosiernie wykiwany.

W szkole średniej, dokąd wybrały się aż dwie osoby z klasy, było już inaczej, tu polski królował absolutnie. Ale jaki to był pozał się Boże polski najlepiej wiedzą polonistki, panie Regina Żukowska i Zofia Baranowicz z kartuskiego liceum ogólnokształcącego. Tylko dzieci inteligentów z Kartuz mówiły płynnie, pozostałe często „zacinały się” i co gorsze — były w większości. Ja syn chłopca-robotnika z kilkunastoosobowej rodziny do tych ostatnich należałem.

To, że tu nie wybijano z nas wszystkiego co kaszubskie jest głównie zasługą długoletniego niezrównanego dyrektora liceum Teodora Elasa — wielkiego przyjaciela młodzieży i Kaszuby z Grzybna, oraz dzielnie wspierającego go byłego partyzanta Gryfa Pomorskiego — Alfonsa Pryczkowskiego.

Ich uczniem zostałem, bo zamarzył mi się bardzo męski zawód, oficerski mundur i stanowisko na mostku kapitańskim. Niestety marzenie nie ziściło się, nie poszedłem na morze. Za zagubienie dokumentów oskarżałem wówczas pocztę. Dziś dzięki „Pomeranii” domyślam się, że nie poczta tu zawiniła, ale miejsce urodzenia.

Później na studiach w Warszawie jakiś belfer zapoznając się z moim „pechowym” miejscem urodzenia zadał mi pytanie.

— Skąd się tam znalazłeś?

— Moi rodzice tam mieszkali.

— Tak, a pò niemiecku umiesz?

— Nie — odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

Przyznaję, że nie rozumiałem wówczas sensu tych pytań ani podejrzliwego spojrzenia jakim mnie pozeźgał. Nieco później wyjaśniono mi jaka jest różnica między toporkiem i Kaszubą. I choć przodowałem w nauce, zawsze byłem kimś gorszym i co smutniejsze nie miałem argumentów na odparcie insynuacji. Z potrzeby wyrwania się z tego piekła, o którym tak pisał F. Nietzsche: „Każdy, kto kiedykolwiek zbudował jakieś »nowe niebo« znajdował moc do tego dopiero we własnym piekle” — zapoznałem się ze wszystkim co udało się zdobyć, a co traktowało o Kaszubach.

Długo musiałem szukać i może dlatego tak się zapaliłem, że nie poprzestałem na stosunkowo ubogiej literaturze, ale zacząłem rozmawiać z ludźmi. Okazało się, że nawet od najbliższych i znajomych można dowiedzieć się nieprawdopodobnych rzeczy. Bywało, że przerażenie ogarniało mnie kiedy uzmysławiałem sobie, że całe życie mógłbym przechodzić obok nich nie dowiedziawszy się niczego. Z małymi wyjątkami żaden z nich nie chwalił się swoją bogatą przeszłością, a już na pewno nikt jej nie spisał. A szkoda, bo wiele ciekawych i pouczających wartości stopniowo zabierają z sobą do grobu.

Zdobyte wiadomości utwierdziły mnie w przekonaniu, że Kaszubi nie są w żadnej mierze gorsi od innych i raczej powód do dumy mam, niż do wstydu ze swego pochodzenia. Dziś potrafię udowodnić to każdemu kto kieruje się rozumem i z płaską jak dłoń głupotą wspartą tępym uporem nie twierdzi, że toporek należy ostrzyć a Kaszubę tępić.

Nie jest wykluczone, że w podobnej jak ja sytu-

cji znalazło się i znajdzie się wielu młodych. I cóż im pozostanie? Najprościej wyprzeć się swego pochodzenia, czyli zdradzić ojca i matkę. Zamknąć się w sobie jak ślimak w skorupie, to też możliwe wyjście — ale czy najlepsze? Może jak ja zaczął po omacku szukać swoich korzeni i cóż im wówczas pozostanie? Niewiele. Może jakaś książka A. Necla w której Kaszubi w co trzecim zdaniu wymieniają słowo „Polska” albo „ojczyzna”.

„Pomeranii” w kiosku nie dostaną. Ona jest tylko dla wybranych, a nawet gdyby była kto w jej ubogiej szacie graficznej upatrywałby pismo traktujące o pięknym regionie. Pożyteczne to pismo nie wyciąga — jak mi się wydaje — ręki w stronę młodzieży. A bez zainteresowania się jej sprawami trudno mówić o jej pozyskaniu.

Słusznie twierdzi K. Marks „Przy założeniu, że człowiek jest człowiekiem i jego stosunek do świata jest ludzki, miłość możesz wymienić tylko na miłość, zaufanie na zaufanie, zainteresowanie na zainteresowanie itp.”. Bez zainteresowania młodzieży regionem nie zachowamy tych wszystkich wartości, którymi słusznie szczycimy się, nie uchronimy jej od upokorzeń i zatracimy spuściznę naszych przodków. Co będzie gdy za przyczyną Polonusów wielce pożyteczna moda na szukanie swoich korzeni dotrze do nas? Czy nie znajdą zbyt wielu białych plam, które bardzo różnie mogą być interpretowane?

Ktoś może zadać pytanie — czy potrzebna jest szczegółowa wiedza o regionie, czy nie wystarczy ta ogólna z podręczników szkolnych? W moim głębokim przekonaniu: nie. Nam w Polsce potrzeba ludzi głęboko zaangażowanych, ideowych, pracowitych i światłych. Takich, którzy kochają swoją ojczyznę. Ale jak mają ją kochać bez miłości najbliższego regionu? Bo trudno mówić o miłości do kogoś nieznanego, można jedynie spodziewać się zainteresowania, które łatwo przenosi się na inny ciekawszy obiekt. Ale można oczekiwać miłości do rodziny i rodzinnej checy. Tej co prawie każdemu kojarzy się z matczyną miłością, zapobiegliwością, troską i ciepłem jej rąk, z pryncypialnością i surowością ojca, z pierwszym odkrywaniem świata. Można liczyć na miłość do rodzinnych stron kojarzącej się zwykle z dziecinnyymi psotami, kolegami i pierwszą młodzieńczą miłością.

Dopiero potem idzie region, który dał możliwość zdobycia wiedzy i wypłynięcia na szeroki świat, a który jest integralną częścią tego co nazywa się Polską. Dlatego w moim przekonaniu niezbędną wiedzę o regionie należy koniecznie przekazać dzieciom. Tak jak sztuką rozkoszować się może człowiek wykształcony w dziedzinie sztuki, tak kochać się w swoim regionie i ofiarnie pracować dla niego może tylko ktoś, kto go zna. Dziś w erze telewizji dziadkom czasu na zapoznanie z nim nie wystarczy, dlatego winne to robić kompetentne organizacje i instytucje ze szkołą na czele.

Wyda mi się, że obecnie sprawa propagowania wiedzy o naszym regionie jest o wiele lepiej potraktowana niż w okresie mojego dzieciństwa, jednakże dużo jest jeszcze do zrobienia. I trzeba się spieszyć.

Świat z młodych lat

Stanisław Janke

Zespół Pieśni i Tańca „Kaszuby” z Kartuz ze swego tegorocznego tournée po Republice Federalnej Niemiec wrócił z bagażem gorącego przyjęcia i przychylnych recenzji. Zresztą nie pierwszy to sukces. Podobnie było w Bułgarii, Szwecji, na Węgrzech. „Kaszuby” uznawane są za jeden z lepszych zespołów folklorystycznych w Polsce. Zespół, w ciągu 33 lat swego istnienia, wypracował własny, niepowtarzalny profil. W dużej mierze swoje powodzenie „Kaszuby” mogą zawdzięczać Marcie Bystroń — współzałożycielce zespołu, od początku sprawującą w nim funkcję choreografa. Mimo swych 77 lat Marta Bystroń, jest równie żywotna jak dawniej. Jest ciągle troskliwą „babcią” zespołu.

FOTOGRAFIA PIERWSZA

Na okrągłym, antycznym stole rozłożony plik fotografii. Marta Bystroń po niedługim szukaniu znajduje niewielkie poślizgnięte zdjęcie. Na pierwszym planie widać kilkusobową grupę stojącą przed znaną sylwetką Pałacu Łazienkowskiego w Warszawie. Uśmiechnięte dziewczyny mają na sobie stroje kaszubskie. Mężczyźni w kapeluszach i długich, jesiennych paltach. Wśród młodych twarzy rozpoznaję Martę Bystroń, także Aleksandra Labudę i Jana Trepczyka — dzisiaj kaszubskich literatów.

— To zdjęcie jest sprzed II wojny światowej — wyjaśnia sędziwa choreografka. — Gdy powstało Zrzeszenie Kaszubów w Kartuzach mój pierwszy mąż Leon Rychert, został wybrany sekretarzem. Sprawom Zrzeszenia był oddany do reszty. Każdy wolny czas poświęcał tej społecznej działalności. Niejednokrotnie kłóciliśmy się z tego powodu. Nie mogłam się wówczas pogodzić, że tak mało czasu ma dla rodziny. Ale i mnie potem również zaczęło pociągać to Zrzeszenie... Kiedyś, pamiętam, wybraliśmy się wycieczką do Warszawy na zaproszenie korporacji studenckiej „Cassubia”. Tam w Warszawie ugościł nas uroczystym obiadem sam prezydent Mościcki. Z tego powodu byliśmy ogromnie zaszczytzeni.

DZIECIŃSTWO

Pyta pan o moje dzieciństwo? Proszę pana, mam z tego okresu naprawdę serdeczne wspomnienia. Gdy czytam w „Pomeranii” wspomnienia pani Anny Łajming, myślę sobie, że i ja mogłabym coś takiego napisać... Pierwszy okres dzieciństwa spędziłam w Garczu, potem, gdy miałam 8 lat rodzice przeprowadzili się do Kartuz. Najbardziej z tamtych lat utkwił mi w pamięci ojciec. On właściwie nie potrafił ani po polsku, ani po niemiecku, tylko po kaszubsku. Stąd też u nas nie było inaczej jak po kaszubsku. Nawet pacierz odmawialiśmy po naszymu. Dopiero gdy zaczęliśmy uczęszczać na naukę religii, mówiliśmy go po polsku. Mój ojciec miał przede wszystkim duże poczucie humoru, przy tym był niejako swoistym poetą. Bez chwili zastanowienia układał rymowane wierszyki na każdą okazję — gdy się z kimś witał, gdy rozmawiał. Niemal każdego wieczora do naszego domu przychodzili sąsiedzi i znajomi. Gawędzili niejednokrotnie do późnej nocy. Ojciec był szczególnie dobrym gawędziarzem. Najbardziej zapamiętałam jego wspomnienia o duchach i strachach. Mówiąc o tym, cały czas przekonywał, że to wszystko jest prawdą, że nic nie zmyślił. A nam dzieciom skóra

cierpła od tych historyjek. Myśmy w to wszystko wierzyli. Baliśmy się potem wychodzić wieczorem na podwórko. Ze strachu trzymaliśmy się matczynego fartucha. Czasami przy takich pogawędkach odbywały się tańce. Zawsze się znalazł ktoś z harmonią... Gdybym wtedy baczniej obserwowała te tradycje, dzisiaj wiedziałabym o wiele więcej. Po prostu nie interesowałam się tym wówczas.

ZWYCZAJE

Pamiętam, gdy byłam młoda, w dzień Wielkanocy wstawiałam wraz z innymi dziewczętami — wczesnym rankiem, jeszcze przed wschodem słońca i biegłam do strumyka by obmyć twarz. Wówczas bowiem mniemano, że po tym rytuale cera będzie gładka i jędrna, że dziewczyna stanie się bardziej urodziwa. Aby obrzęd był ważny, nie można było, wracając do domu, obejrzeć się za siebie ani też rozmawiać. To wykorzystywali chłopcy, którzy nas wtedy straszili, zagadywali, byleby tylko skusić nas do odwrócenia się lub do rozmowy.

W drugi dzień Wielkanocy odbywały się oczywiście dyngusy. Ci, którzy wcześniej wstali, zakradali się niepostrzeżenie do chłecz, do izb i bili śpiochów po gołych łydkach rozkwitłymi gałązkami brzozy albo jałowca. U nas oblewania wodą w ogóle nie było, jak to obecnie się stosuje. To nie nasz zwyczaj. Jedynie ci bogatsi przyskaki się perfumami.

Zielone Świątki to były dopiero piękne święta. Na ten dzień mieciono podwórka. Tu i ówdzie majono. Zielenią ozdabiano drzwi, okna, łóżka, lustra. Dzieci, które pasły krowy musiały je przystroić w wieńce z kwiatów. Nawet psy przyozdabiano kwiatami.

W wigilię świętego Jana znosiliśmy chrust na najwyższą górę w okolicy i robiliśmy duże ognisko. Potem były tańce i śpiewy. Czasami zapalaliśmy jakąś starą beczkę po smole, którą wcześniej wieszaliśmy na wysokim słupie. A wianki? Dawniej nie puszczało wianków na wodę. Ten zwyczaj przywodził na Kaszuby z centralnej Polski.

W czasie żniw pięknym zwyczajem było ścinanie bęksa, czyli ostatniego snopka. Owego bęksa nakładano na widły i stawiano na środku pola. Temu zwyczajowi towarzyszył radosny śpiew. Gdy wracaliśmy do domu na ostatniej furze, musieliśmy przejść istny przysznec. Bowiem chłopcy wspinali się na drzewa i stamtąd oblewali wodą jadący wóz. Niejednokrotnie ostatnia fura była tak zmoczona, że trzeba było najpierw ją wysuszyć, by mogła znaleźć się w stodole. Potem oczywiście była zabawa. Tańczyliśmy przeważnie w korkach na klepisku.

Bardzo cieszyliśmy się na gwizdź. Do tego przygotowywaliśmy się szczególnie. Sami szyliśmy sobie stroje, wykorzystując do tego co tylko można było — prześcieradła, stare ubrania. Pamiętam, kiedyś potrzebowaliśmy czapę futrzaną dla króla Heroda...

Cotka Metylda miała kota, chteren ji wiedno leżoł na klinie. Tej jeden z naszych knopów rzekł: Jō tego kota róż ji zwędza, mē mdzemē miele dobrą czōpkę. No i tak też zrobjōł. A cotka Metylda wiedno sę pi-tała: Dze ostōł mōj kot? Kota jednako nie bēło. Jaz przeszła gwioźdzka. Czej przeszē gwizdźe, tej nasō cotka tak na tę czōpkę zdrza i powiedza: To je takō samō czōpka, jak mōj kot.

W każdym domu oczekiwano gwizdźy. To była duża poruta, jeżeli do któregoś domu nie przyszły gwizdźe. Wówczas ci, którzy chodzili dobrze potrafili grać i śpiewać. Zresztą mieli przed tym dużo prób... A dzisiaj, panie, to nie są gwizdźe. Przeważnie przychodzą już pijani, mają złe stroje, a niejednokrotnie nie potrafią śpiewać kołęd.

W przeddzień Nowego Roku było bardzo wesoło. Starsi wtedy przeważnie gromadzili się na pogawędki popijając wino robione z żyta albo owsa. A młodzi wykorzystując to — psocili się. Wyjmowali furtki. Gospodarzom zamieniali zwierzęta. Niekiedy nasadzali na komin cały wóz z dyszlem, albo zapychali go szmatami. A robili to tak sprawnie, że domownicy go dowiadawali się o fackie dopiero następnego dnia.

Teraz młodzi najchętniej siedzą w kawiarniach. Słuchają głośnej muzyki, oglądają telewizję, chodzą do dyskotek. A te dawne ładne obyczaje giną. Co prawda czasami jeszcze przychodzą gwiazdki, ale ja nie jestem z nich zadowolona.

FOTOGRAFIA DRUGA

Po wojnie czegoś mi brakowało. Prawdopodobnie tych przedwojennych tradycji, tych młodzieńczych przeżyć. Aż, ku zadośćuczynieniu moich marzeń, pewnego razu przyszli do mnie trzej panowie, których nie znam do dziś, proponując mi utworzenie w Kartuzach kaszubskiego zespołu pieśni i tańca. Chcieli, żeby ów zespół po raz pierwszy wystąpił w Gdańsku, w rocznicę jego wyzwolenia. Nie zastanawiałam się wiele. Od razu, tego samego dnia, wysłam na miasto i zaczęłam werbować. Na początku proponowałam osobom z grona rodzinnego, znajomym i najbliższym. Nie wszyscy jednak się zgadzali. Zdarzało się, że

kiwali z politowaniem głowami. Trzeba było mieć wówczas dużo samozaparcia, by nie zrezygnować. Zaczęło być lepiej, gdy ludzie nabrali zaufania. Poza tym miałam różne inne kłopoty, przede wszystkim brakowało strojów. Dlatego chodziłam od domu do domu i pożyczalam skorzenie, czarne kapelusze, spodnie, westy, białe koszule. Kilka koszul zrobiłam z prześcieradeł. Gorzej było ze strojami dla dziewcząt, w końcu jednak i z tym sobie poradziłam. Tak więc zapięci na ostatni guzik, ruszyliśmy do Gdańska. Pamiętam, jechaliśmy wtedy samochodem ciężarowym, który nie miał przykrycia. Gdy zajechaliśmy na miejsce, byliśmy niesamowicie brudni. A jednak wypadliśmy dobrze. Nasz występ spotkał się z gorącym przyjęciem. No i tak się zaczęło. Od tego czasu spotykaliśmy się na wspólnych próbach, mimo że niekiedy nie mieliśmy na to warunków. Któregoś dnia przyjechali do nas przedstawiciele z radia...

Marta Bystron pokazuje fotografię, na której widać grupę dziewięciu osób w kaszubskich strojach, przed radiowym mikrofonem. U dołu napis informujący, że to zespół „Welecja”, taką bowiem nazwę przybrały początkowo „Kaszuby”. Dzisiaj niewiele zostało z tego pierwszego grona. Zespół składa się przede wszystkim z ludzi młodych i liczy ponad 50 osób.

BY OCALAŁO

Sędziwa choreografka pokazuje mi plik gęsto zapisanych kartek. To zapisy dawnych kaszubskich zwyczajów. Niekóre z nich zostały już opublikowane. Wśród tego pliku zapisów jest „Wesele kaszubskie” — pisane wspólnie z dziś już nieżyjącym Aleksandrem Tomaczkowskim, „Dyngusy”, „Sobótka”, „Gwizdźe”, „Ścinanie kani” i wiele innych podobnych utworów. Marta Bystron planuje spisać wszystkie zwyczaje, które zna z lat swojej młodości. Nie zawsze jednak starcza jej czasu. Bowiem prócz zajęć z zespołem para się haftem kaszubskim. Zresztą tę pasję ceni sobie szczególnie. Jeszcze przed wojną nauczyła się haftować. Jej pierwszą nauczycielką była Franciszka Majkowska.

Z folklorystycznych doświadczeń Marty Bystron korzysta liczne grono zainteresowanych. Z jej osobistych przeżyć składa się fabuła dokumentalnego filmu „Gwizdźe”.

Ocalić od zapomnienia — to cel zasadniczy choreografki z Kartuz.

Widziane z Warszawy...

W administrowaniu niezdolni

Z początku miał to być wyjazd służbowy jak każdy inny. Z delegacją służbową w kieszeni jechałem, pamiętam, do Szczawnicy. Okazja była wcale godziwa: telewizyjny „Bank Miast” z cyklu audycji będących dość sztampową próbą konfrontacji terenowych dokonań dwóch ośrodków. Tym razem kolej przyszła na Wisłę i Szczawnicę. Pierwsze swe reporterskie kroki skierowałem, co być może splendoru mi nie przynosi, ale tak było, do dyrekcji uzdrowiska, o którym zawczasu wiedziałem, iż jest faktycznie gospodarzem tego miasteczka podgórskiego o reputacji jednego z lepszych w kraju pod względem walorów klimatycznych. Przyjął mnie dyr. Kukliński, wielce elegancki mężczyzna, na oko pięćdziesięcioletni, ruchliwy, dynamiczny, pełen ekspresji, słowem typowy menager, jak go sobie z miejsca w duchu określiłem. Zasiadliśmy w jego wykładanym drewnem gabinecie, rozmowa przez cały czas toczyła się wokół problemów uzdrowiska, przypominam sobie, iż aktualna wówczas była sprawa fuzji Szczawnicy z pobliskim Krościenkiem, więc i na ten te-

mat powiedzieliśmy sobie niejedno. Jak z rękawa sypał informacjami o liczbach kuracjuszy, o metodach leczniczych, rodzajach chorób, objawił niemałą wiedzę o przeszłości miasteczka (za jego czasów miejscowe muzeum nabrało szczególnego blasku, powstała w nim izba pisarza Jana Wiktora), mówił o postępującej rozbudowie miasta, kreślił jego perspektywy. Był przy tym ujmujący, sposobem bycia, kulturą, wiedzą jaką od niechcenia jakby objawiał. Okazało się, że jest ekspertem resortu zdrowia, jego wielokrotnym wysłannikiem na rozmaite międzynarodowe kongresy, sympozja itp. I gdy nasza rozmowa dość już była zaawansowana, spytałem — zazwyczaj tak czynię — o strony z jakich dyrektor pochodzi. „Z Chojnic”, odrzekł bez chwili namysłu. W pierwszej chwili myślałem, że się przestyszałem, spytałem więc raz jeszcze: „Z Pomorza?” „Tak, z Kaszub, jestem Kaszubą”, usłyszałem. Rzecz zrozumiała całkiem, iż dalej rozmawiało się nam jeszcze bardziej warto niżeli dotąd. „Mam w planie — dorzucił prędko mój szczawnicki interlokutor — och-

zścić dwa nowo powstające domy uzdrowiskowe mianem „Gryf” i „Pomerania”. ciągnął dr Kukliński swój pomorski wątek.

A potem powstał ten mój reportaż w formie listu do dyr. Kuklińskiego pisany. Staratem się dać w nim wyraz mojemu uznaniu dla obecnego kształtu Szczawnicy (niczego przeszłości nie ujmując) a także dziełu wieloletniego dyrektora uzdrowiska — dr. Kuklińskiego, rodowitego chojniczana, o czym nawet Kazio Ostrowski wiedzący o Chojnicach z okolicami wszystko zdawał się nie być obznajomiony, Notabene Szczawnica w „Banku Miast” zwyciężyła. Niemal w tej wiktorii był udział samego dyr. Kuklińskiego, który ze znajomością rzeczy opowiadał na wizji o mieście, w którym od dziesiątków lat pracuje i które współtworzy. O spotkaniu warszawskim z córką dyrektora, wielce utalentowaną artystką naszej etrady (patrz: „Kabaret Starszych Panów”), zamilczcie, jest to bowiem temat na całkiem inne opowiadanie.

Zdolni zatem czy całkiem niezdolni są Kaszubi w administrowaniu na szczeblach od gminnego wyższych? Operatywni są czy też inercyjni? Zasciankowi, poza koniec własnego nosa nie widzący czy może przenikliwi, przewidujący z intuicją potrzeby chwili? Mierni czy może znakomici organizatorzy? Wykraczający poza swoje otoczenie gdy zarządzać innymi im przychodzi, czy przeciwnie wręcz — rychło wtapiający się w tło, nijacy, przeciętni? Dający sobie radę z tym co przynosi dzień jutrzejszy, czy zgola oglądający się stale za siebie, niepewni, pozabawieni wszelkiej wizji, bezwolni, konserwatywni?

Gdy onegdaj znalazłem się w szczecińskim gabinecie dyr. Hebła, zrazu ścichłem (co, jak wiedzą o tym niektórzy, niezbyt jest u mnie częste). Do tego stopnia przytłoczył mnie swoim życiowym dynamizmem; swoim niepospolitym witalizmem dyrektor Zjednoczenia Gospodarki Rybnej, niemianowany „król polskiego rybołówstwa” Juliusz Hebel, gdyńianin z urodzenia, Kaszuba z Kaszubów, a przy tym klasyczny Europejczyk, człowiek świata całego, ten, który w trudnych dla rybołówstwa na całym świecie czasach (katastrofy wielkich tankowców, wprowadzenie 200-milowych narodowych stref przybrzeżnych) na głowie wręcz staje by ów rybny koniec z końcem powiązać jakoś i byśmy nie odczuwali ryb tych niedostatek. To on wymyślił gromadnika, notowanie, kergulene (nie kargulene, tu ukłon w stronę pana Brockiego) na naszych stołach, to on dba o coraz bardziej nowoczesny sprzęt połowowy, o wciąż nowocześniejsze statki połowowe, jego jest niemal udział w połowach kryla na wodach Antarktyki, to on wreszcie tworzył przed laty wszystkie niemal krajowe przedsiębiorstwa rybackie, wszystkie te „Arki”, „Dalmory”, „Gryfy”, „Odry”. Stale w rozjazdach, po wszystkich możliwych kontynentach, rynek krajowy i handel nasz zagraniczny stale mający na uwadze, niczego nie zatracił z tego co z maszopskiego swego domu wyniósł przed laty, dorzucił jedynie — bagatela — wiedzę, doświadczenie, talent organizacyjny i ten zasadzający się na umiejętności nie kontentowania się małym. Dziś nie kryje wręcz faktu, iż to domowe reguły życiowe, niegdyś za własne uznane, sprawiły, że po ich wzmocnieniu wiedzą o istocie rzeczy, rozwinąć można było to jego dzisiejsze działanie, w pełni zasługując na uznanie jakim cieszy się pośród swoich współpracowni-

ków. Nic to, że jest pośród nich wiceminister żeglugi i handlu zagranicznego inż. Żyłkowski, Kaszuba jak wieść niesie, z Wejherowa rodem.

Jak to zostało ostatnio publicznie powiedziane? Jakoś tak: Kaszubi gdy tylko awansują w administracyjnej hierarchii, nie sprawdzają się. A był w tych słowach żal i wyrażna nuta nagany w głosie.

Spotkanie z inż. Kazimierzem Piontkiem na budowie elektrowni szczytowo-pompowej w Nadolu-Zarowcu. Element niespodzianki w nim zawarty gdy okaże się, iż jest synem szkolnego z Nadola Józefa Piontka. To jeszcze jeden z krajanów napotkanych na moim reporterskim gościńcu w miejscu gdzie z pozoru nie winno ich być wcale, już zaś z całą pewnością nie w dyrektorskich gabinetach, jak chcą tego zwolennicy teorii o nikłych zdolnościach Kaszubów do zarządzania i administrowania na wyższych szczeblach. I znów: urok osobisty, pewna miękkość nawet, zupełny brak owej technokratycznej oschłości zjednywały sobie rozmówcę z miejsca. Dyrektorski barakowóz był miejscem naszego pierwszego spotkania. O elektrowni mówił, o tym jaka będzie, o rozmachu z jakim przychodzi mu ją stawiać. Parametrami rzucił, żadnymi notatkami przy tym nie posiłkując się. I do tego zupełnie nie zdradzał objawów zbytniego pośpiechu, widać było, iż na wszystko ma czas, na rozmowę z reporterem także. Opowiadał pełnym zrównoważeniem głosem. To co mówił często miało charakter zwierzenia prawie. A przecież — o czym miałem się przekonać dużo już później — sterował rozmową, dbał o jej kształt i formę. Z faktu, iż jest synem Józefa Piontka zwierzył mi się w chwili gdy wsiedliśmy do jeepa by objechać nim całą żarnowiecką budowę. Po latach znów byłem w Nadolu. Barakowóz podmienił długi, estetycznie prezentujący się prefabrykowany barak. Nie barakowozy były miejscem zamieszkania budowniczych elektrowni a potężny hotelowiec, nie zmienił się tylko inż. Piontek. Był tym samym znajdującym posłuch u wszystkich, cieszącym się olbrzymim autorytetem fachowcem. Jednym z tych, których talent organizacyjny składa się na kształt obecny naszego kraju.

Troje ludzi. Trzy temperamenty. Trzy style pracy w trzech jakże od siebie różnych dziedzinach naszego życia. Prócz tego, że są Kaszubami łączy ich jedno jeszcze: zarządzają, kierują przedsiębiorstwami-gigantami. Mają pod sobą wiele tysięcy ludzi. A przecież nie należą do wyjątków. Inni są dyrektorami stoczni, wydawnictw, „Orbisu”, rektorami i dziekanami wyższych uczelni. Wszyscy oni, wolno mniemać, administrują niegorzej. Za to ich wieloletnie zarządzanie ceni się ich i szanuje. Czy nie dlatego przypadkiem, iż połączyli istic kaszubską solidność i pracowitość z prawdziwie kawalerską fantazją, ze zdolnością do improwizacji jakiej rasowemu administratorowi nigdy zbraknąć nie powinno. Posiadają talent do kierowania ludźmi. Oni nie mają w sobie skłonności do wróżenia z fusów, objawy czego widoczne są u niektórych publicystów rodem z czasu dość już dawno minionego, mącących w ludzkich głowach okrągłymi zdaniem o rzekomym braku talentu Kaszubów do sprawnego administrowania na wyższych od gminnego szczeblach.

RYSZARD CIEMIŃSKI

Wokół prawdy o zełganym demonie ⁽³⁾

Jerzy Samp

6. „POEMATOWA” WIZJA SMĘTKA

Rozbudowany pod względem fabularnym epizod ze Smętkiem pojawia się dopiero w zakończeniu „Księgi pierwszej”. Derdowski błysnął tu prawdziwym kunsztem literackim po mistrzowsku rozwijając ów wątek. Oto zrozpaczona utratą męża Czorlińska nuci maleńkiej córeczce starą kołysankę kaszubską rozpoczynającą się od słów:

„Ziuziu, ziuziu, corulenu,
Zabjele cy ojca w renku,
Zabjele go ze drudzimi
Toporami żelaznymi,

A w Raduni krwawo woda,
Szkoła ojca żeco szkoda...”

Po odśpiewaniu pieśni o krwawym Dominiku gdańskim matka wraz z dzieckiem zapadają w sen. Wówczas, jakby we śnie zjawia się Mora w postaci czarnej wrony (gapy).

Zgodnie z ludowymi wierzeniami Kaszubów demoniczna zjawia winna teraz znęcać się nad śpiącymi. Tymczasem z przyczyn, o których nieco później, dzieje się zupełnie inaczej. Nieoczekiwanie Mora — uosobienie sił przeciwnych i wrogich człowiekowi pociesza strapioną małżonkę Czorlińskiego i zapewnia ją, że mąż zdoła się uwolnić z jarzma czarów żydowskich, a choć przyjdzie mu wcześniej przemierzyć całe Kaszuby, przecież w końcu powróci do domu z upragnionymi sieciami. Potem, jakby na przekór własnej naturze złośliwego trapi ducha życzy śpiącej dobrej nocy i ulatuje w kierunku Łysej Góry.

Miejsce to identyfikuje autor z powszechnie i od dawna znaną niemal na całych Kaszubach — Łyską — pod Gostoniem na ziemi kościerskiej. Derdowski próbuje przy tym tworzyć na kartach swojego dzieła rodzaj własnej mitologii dostosowując do indywidualnej koncepcji artystycznej popularne ludowe podania i wierzenia na temat miejsca sabatu czarownic. Istnieje bowiem wiele podań o ukrytych we wnętrzu Łyski skarbach, których złe duchy — kpiące z ludzkiej chciwości i żądzę posiadania — nie pozwalają sobie wydrzeć. Niezalesiony wierzchołek góry wskazywano ponadto od dawien dawna jako miejsce tradycyjnych, corocznych biesiad z diabłem, na które zlatywały się wszelkie okoliczne czarownice.

Autor „Pana Czorlińskiego” wykorzystał różne elementy tych poszczególnych wierzeń i kazał swojemu Smętkowi zamieszkać właśnie w czeluściach gostomskiej Łesy Gore. Tajemniczy demon wyposażony zostaje w cechy najwyższego z lokalnych diabłów. Według swoistej mitologii Łgarza pasierbicą Smętka miała być Smnierec, jej zaś córką Mora — „co webjego ledzy dusec każdego wieczora”, a ta z kolei to matka zmarłego przedwcześnie... Szczesca.

Wizja samego Smętka, który niepodzielnie włada kaszubskim pandemonium kojarzy się nieco z obrazem apokaliptycznej bestii nakreślonym przez ewangelistę. W poemacie Derdowski mówi o nim:

„W tym się — jencie! — cało góra łamie na
połowę,

A z ni na samuścim czubku cos wetyko głowę.
Ta dechciuchno beła czarno, jak kamniennie

smoła,
Z ony ocze dwa ogniste wzerałe do koła.

Nad łesną widac rodzcie, włosow za to mało...
To doch meslec so możeta — brzedko weglądało!
Muszę wama mest powiedzieć, żebesta wiedzele,
Że to Smętek beł wierutny w swoim żewem
cele.”⁽⁴⁾

Pisarz nie skąpi swojemu Smętkowi cech czysto diabelskich i chociaż w dołączonym do książkowej wersji epopei „Słowniczku prowincjonalizmów kaszubskich” pod hasłem Smętek napisze: „niezawodnie jaki bożek Smutku” — sugerując tym samym jego przedchrześcijańskie pochodzenie, każe mu postępować mniej więcej tak samo, jak w podaniach z innych dzielnic Polski postępują różnolienne postacie diaboliczne. Motywacja postępowania Smętka jest prosta i typowa. Chodzi o pozyskanie, obojętnie jakim kosztem i jak największej ilości dusz grzeszników lub pogan (innowierców). Toteż każdy, kto jest wrogiem występku lub usiłuje nawracać na wiarę chrześcijańską, staje się równocześnie wrogiem złych mocy i będzie odtąd przez nie prześladowany.

Przeglądając się jednak uważnie treściom demonologicznych przekazów ludowych dostrzeżemy bez trudu, że ów diabeł niewiele ma wspólnego z okrutnym, bezwzględny i mściwym Szatanem z religii chrześcijańskiej. Wprawdzie upersonifikowanemu biesowi przypisane zostają dla większej odrazy: straszliwa twarz, rogi zwierzęce, ognisty wzrok i płomienie buchające z pyska, ale równocześnie nabiera on coraz częściej cech mocno karykaturalnych. W każdym razie, przy odrobinie sprytu przebiegły chłop jest na ogół w stanie przechytrzyć o wiele silniejszego od siebie diabła.

Już wśród pierwszych badaczy folkloru istniało przekonanie, że taki ludowy model czarta zawiera w sobie ślady przedchrześcijańskich wyobrażeń wierzeniowych, słowem wywodzi się w znacznej części z kultury pogańskiej. Już bowiem we wczesnej fazie chrystianizacji rangę demonów i sług szatana zyskały sobie kłopotliwe dla rzeczników nowej religii, wszelkiego rodzaju bóstwa, elfy, gnomy, skrzaty itp. Z czasem miały one zostać wchłonięte przez system chrześcijańskiej demonologii, do tego stopnia, że ponowne rozszyfrowanie pierwotnych funkcji i przymiotów wszystkich tych bóstw radości i smutku, ognia i burzy, płodności i śmierci okazało się już niemożliwe.

Stanowisko to nie mogło być obce również autorowi „Kaszubów pod Widnem”. Świadczyć o tym może choćby fragment dotyczący morskiej peregrynacji Czorlińskiego, kiedy ten słucha opowiadania Muży o dziejach Jastarni:

„Pierwi na tym miescu — ale to ju czase stare —
Jacis stary jedze Jastrze skłodało ofiare;
A że to w czas wielkanocny robielie poganie
Stąd jastrami me zowieme Pańsce
Zmartwychwstanie”⁽⁴⁾

Derdowski świadomie czyni ze Smętka odpowiednik diabła kaszubskiego dostosowując jego postępowanie

do popularnych schematów podaniowych. Na obszarze całej Polski powszechnie znane są pod koniec ubiegłego stulecia bajki i podania oparte na motywach demona dźwigającego drogą powietrzną potężne głazy. Poprzez ingerencję złych mocy lud usiłował sobie tłumaczyć genezę wielkich kamieni narzutowych, które pojawiły się na Pomorzu wraz z wycofującym się masywem lądolodu. Poeta nie omieszczał skrzyśtać z tak obfitego skarbcza lokalnych opowieści na ten temat, tym bardziej, że rodzimy baśniokrag kamienny charakteryzuje wielość, różnorodność a w niektórych wypadkach również regionalną odrębność wątków i motywów. Nawiązaniem do kaszubskich opowieści o głazach stołemowych, w których na plan pierwszy wysuwa się opis pojedynku olbrzyma z człowiekiem w ciskaniu ogniomnymi głazami jest przywołane przez Derdowskiego podanie o stołemce z Oksywiu.

Drugi epizod związany z tym samym kręgiem tematycznym dotyczy już bezpośrednio samego Smętka. Demon uniesiony gniewem na Czorlińskiego za to, że ten próbował nawracać Żydów na katolicyzm, zamierza zgładzić szlachcica. Pragnie tego dokonać przy pomocy kamiennego narożnika wyłamanego z... żydowskiej bożnicy w Miastku:

„Trze jaż sążnie beł wesoci, pięć miol
w szerokosce
Ten każdemu be człekowi w miazgę pogniół kosca.
Ale jo, jak chuda duszą go na plece włożel
I z nim chyżo po powietrzu lecol żem, jak
orzel.”⁴⁷⁾

W przeważającej większości podań o dziejach i genezie diabelskich eratyków następuje teraz opis lotu wysłannika piekieł ze skałą na plecach, następnie trudu, z jakim zły duch dźwiga ciężar i zagrożenia, które owa nocna eskapada stanowi dla ludzi. W ten sposób opisywano mające nastąpić zniszczenia klasztorów w Pelplinie i Żarnowcu, kościołów w Mechowej, Pinczynie na Kociewiu i w Czarsku itp. W większości wypadków demon jednak nie dopełnia najważniejszego warunku, jaki każe mu wypełnić diaboliczna natura, a mianowicie nie nadąża z ukończeniem swojego dzieła przed trzecim paniem koguta — granicą jego aktywności w świecie mroku. Głaz wypada więc ze szponów upamiętniając na zawsze owe wrocie w stosunku do ludzi zamiary.

Derdowski epizod ten maluje w sposób odmienny od ogólnie w ludowych relacjach przyjętych. Pisarz wprowadza bowiem dodatkowo element walki powietrznej Smętka z „samozwańczym” patronem rybaka-szlachcica — archaniołem Michałem:

„Tej mnie zacząn od Borzeszków święty Michol
gonic
I mnie swoją długą dzidą wjedno szturbał w pięte;
Wołał za mną: — Pojdiesz sobie, stworzenie
przekleće!
Jeżle temu nie dasz miru, co ma łaskę w niebie,
To ja wiecznie temu żelazem będę karał ciebie! —
(...)
Wszęde drogę mnie zastawia, wszęde za mną lecy.
Tej żem jo, be kask so ulżec, zdrzucel kamnin
z plecy.
Ten niedalek gorow upad, co sę zwią Chelmice
(...)
Ze go trzymoł w ręku Smętek, o tym swiódczą
dure,
Chterne głębok moje ostre wecęne pazure.”⁴⁸⁾

Przytoczony fragment jest interesujący również i z tego względu, że zdanie wypowiedziane przez archanioła zapisał autor w literackiej polszczyźnie, a ściślej w mowie tzw. kościelnej, czyli tej, którą Kaszubi posługiwali się podczas modlitwy i nabożeństw religijnych oraz w rozmowach z duchownymi. Smętkę traktuje poeta jako twórcę usytuowany w sferze „profanum”, rodzimy, bliższy wyobraźni chłopca, toteż każe mu przemawiać gwarą kaszubską.

Zdaniem Józefa Łęgowskiego Smętek należy do licznej gromady kaszubskich diabłów. Autor rozprawy pt. „Kaszuby i Kociewie” wydanej zaledwie w

dwadzieścia lat po ukazaniu się poematu Derdowskiego nie sugeruje tu żadnego priorytetu i uprzywilejowanego miejsca w kaszubskiej demonologii: „mo każdy djobel sleje imię, jeden mo smętk (podkr. aut.), dredzi mo jerek, (...) trzeci leceper, zgrzydlok, zgrzechu, jeden bies.”⁴⁹⁾

Hieronim Derdowski także nie ogranicza się w swoim eposie do samego tylko Smętka. Poza nim zostają w utworze wymienione takie nazwy, jak: „kęsy czart”, „bjes”, „kaduk”, „złe duche”, „djobel” i „szatan”. Ale tylko Smętek jest tu postacią „żywą” i przemawiającą. W scenie śmierci Żyda Bartka, który ginie pod lodem łebskiego jeziora — Czorliński, pewny, iż nieochrzczony przyjaciel zostanie po śmierci potępiony lamentuje:

„Bełbem okrzcel nieboroka, tak go Smętek dostol”.

W końcowej partii „Księgi drugiej” demon jawi się szlachcicowi na czele tysiąca kaduków, którzy grają w ołowiane guzy o czarną duszę zamkniętą w szmulowej czapie:

„Wnet ją węgrol kaseczk z fifem Smętek, krewny
More
Wżan ją w żębe razem z muncą i fiu! fiu! za gore”.

Pewną osobliwością jest scena z klasztoru oliwskiego, — dokąd Czorliński udał się na modlitwę do swojego opiekuna św. Michała archanioła z prośbą: „be mu więcy nie szkodzele smętcie i kaduce”. Jest to jedyne miejsce w całym utworze, gdzie użyta zostaje nazwa demona w liczbie mnogiej.

Jednocześnie mamy prawo wnioskować, że chociaż sam Derdowski uznaje Smętka za najstarszego z diabłów, to jednak podświadomie daje czytelnikowi poznać pewną marionetkowość w jego postępowaniu. Nie jest ów demon — jak widzieliśmy, nawet w stanie oprzeć się ciosom archanielskiej zdidy. Jakże odległy od wizji niszczycielskiej i złowrogi potęgi, w postaci której — na pewnym etapie rozwoju chrześcijaństwa wyobrażano przeciwnika Chrystusa — Szatana. Sam poeta raz tylko zdradza, że bohaterowie jego komicznej epopei świadomi są przewagi szatana nad Smętkiem. Czyni to nieomal mimochodem i między wierszami, w scenie, gdy braciszek Leon wręcza tułaczowi pasek franciszkański zapewniając go:

„Na nim możesz so każdego diobla za kark wodzec:
Z tym sąmusek szatan, rzecze nie może cy szkodzec”.

Smętek pojawia się także w innych utworach poety z Wiela. Nigdzie jednak autor nie pozwala mu już pełnić tak istotnej funkcji jak w omawianym poemacie. Jego imię zostaje zaledwie przywołane w kontekście jakiegoś mniej lub bardziej zrozumiałego przekleństwa, niekiedy nawet w dość ciekawym zestawieniu frazeologicznym. Jako przykład posłużyć może tekst z roku 1885 zatytułowany „Jasiek z kniei”. Imię demona znajdujemy tam w takich zwrotach, jak: „Zjodes, jucho, smętka!”, oraz „Nie wiesz co bredzysz, smątek gado bez ce”⁵⁰⁾.

W poemacie „O Panu Czorlińskim co do Pucka po sece jachol” zarówno postać Mory, jak i jej demonicznego zwiercznika wymodelowane zostały nieco na wzór człowieka. Pomimo rekwizytów nadprzyrodzonej, są to w sumie twory dość bezradne, obciążone brzemieniem przeznaczenia, wreszcie — podobnie jak ludzie — prześladowane przez ślepy los. Kiedy dokładniej przyjrzymy się opisowi spotkania Mory ze Smętkiem we wnętrzu Łysej Góry, bez trudu dostrzeżemy jeszcze jedną, niezwykle istotną, choć często pomijaną cechę smutnego demona Kaszub. Jest nią zdolność do współczucia. Smętek wprawdzie roztkliwia się nad niedolą Mory, ale czy tylko? Jego litość wzbudza przecież wspomnienie śmierci jedyne go jej dziecka, któremu na imię było Szcześce. Zanim zostało uduszone przez okrutną babkę Smniere, na świecie panowała radość i wesele. Sąsiad żył w zgodzie z sąsiadem, nikt nie myślał o „żołnierce, kananach i wojnie. Każdy sobie żel szczęśliwie, zdrowo i bezpiecznie”. Słowem było tak dobrze, że bez-

troskie Szczęście „z wesołości oczcie so wesmniało!”. Żal Smętka możemy więc traktować jako przejaw jego tęsknoty do tamtych dawno zapomnianych czasów, jako przejaw litości dla tych, którzy cierpią przez własną słabość. Wprawdzie bezwzględnie wykonuje swoją diabelską powinność, lecz równocześnie skory jest do zadumy i refleksji, niekiedy ma usposobienie wręcz melancholijne.

Gdy wzruszona macierzyńską miłością i słowami smutnej kołysanki o morderstwach Krzyżaków śpiewanej dziecku przez Czorlińską — Mora zwierza się Smętkowi ze swej rozpaczyny po utracie córki, ten razem z nią poddaje się nastrojowi chwili, by w końcu wybuchnąć płaczem:

„Ciej tak Mora powiodała, Smętek usze cmuleł,
A nareszcie sam do płaczu bjedok się rozczuleł”.

Niezależnie od wrogiego usposobienia nie jest więc Smętek w sumie postacią zdecydowanie negatywną. Groza jaką budzi swoim postępowaniem bywa bardziej spektakularna niż realna i kojarzy się raczej

Fragment książki pt. „Droga na sabat”, która ukaże się w roku 1980 nakładem Wydawnictwa Morskiego.

z rolą diabła w teatryku dell'arte, bądź z funkcją jaką w kaszubskich pochodach przebierańców adwentowych zwanych gwizdźkami odgrywał rogaty bies, postać króla Heroda czy też śmierci z kosą.

Smętek nie wyrządza ostatecznie krzywdy skazanemu na tułaczkę szlachcicowi. Prawdziwym przeciwnikiem Czorlińskiego jest tajemniczy i okrutny Żyd Szmul, którego czary mają spowodować śmierć bohatera „eposu”. Szmul jednak ginie od własnej broni i rzuca się do przerebli, a wówczas Smętek:

„Skorno z gór szymbarskich uzdrzoł, co sę dzeje,
Pędzy prędko ku Kartuzom jaż sę wiater grzeje.
I przelecoł do przerebli prawie w samą porę.
Zabroł czorną duszę i z nią gnoł na Łesę gorę”.⁵¹⁾

Smutny demon Hieronima Derdowskiego ma wreszcie jeszcze jedno oblicze. Jego postać reprezentująca piekło, a więc miejsce wiecznej męki i kary za popełnione przestępstwa, ze szczególną skwapliwością sprowadza tam potępione dusze zaciętych wrogów wszystkiego co katolickie i polskie, a tym samym kaszubskie. Widzimy go, jak sprowadza tam zarówno Żydów i Niemców, natomiast nigdy jawnie nie jest on wrogiem ludności rodzimej. Znakomicie ilustruje to następujący fragment:

„Bo tam w swiece bodoj będzie wielki grzesznik
zdechac,
Chtoron krzywdzoł polści narod i Chrystusa wiare
Więc mam rozkaz, be go halac, abe cerpioł karę
Ju mu żesme wenalezle stosowną robotę
Będzie w piekle czarownicam wiskół czorne kote”.⁵²⁾

Autor „Jaśka z kniei” jako pierwszy wprowadził do literatury kaszubskiej postać Smętka. Stąd za pośrednictwem tak wielkiej indywidualności artystycznej, jaką był Stefan Żeromski motyw ten zawędrował do literatury narodowej i w konsekwencji doczekał się szeregu nowych mniej lub bardziej udanych kreacji. Niezależnie od tego Smętek wiedzie nadal swój niezwykły żywot w literaturze regionalnej, ewoluując w ciągu ostatniego półwiecza w najrozmaitszych kierunkach. Świadczą o tym dzieła Aleksandra Majkowskiego, Jana Karnowskiego, Bernarda Sychty, Jana Rompskiego, Jana Piepki i innych.

W poemacie „O Panu Czorlińskim co do Pucka po sece jachoł” poza wszelkimi cechami natury diabolicznej, autor wyposażył go w smutek i zdolność do wzruszenia, ale uczynił go równocześnie tym, który wymierza sprawiedliwość za krzywdy wyrządzone Polakom i Kaszubom. Wydaje się, że dotychczasowi krytycy zbyt jednostronnie ocenili utwór Derdowskiego jako tekst tryskający wprawdzie świetnym ludowym humorem, lecz w sumie dość płytki w warstwie tematycznej i pozostawiający sobie wiele do życzenia od strony artystycznej.

Jest w tym poemacie wiele jeszcze nieodczytanych aluzji, znakomitych dygresji, wreszcie niemała porcja ostrej, niekiedy wręcz zjadliwej satyry i krytyki. Już choćby na przykładzie Smętka widać, iż nie jest to postać o cechach zdecydowanie i wyłącznie ujemnych, nie można jego traktować zbyt dosłownie. Niestety takie właśnie jednowarstwowe odczytanie funkcji, którą kazano mu pełnić w utworze doprowadziło do skrajności interpretacyjnych. W ich wyniku przewartościowano kaszubskiego demona smutku czyniąc zeń uosobienie sił złych i mściwych, choć na sposób ludowo-diaboliczny nieporadnych.

Przeciwstawiając mu trudne, lub wręcz niemożliwe na obecnym etapie wiedzy do udokumentowania hipotezy o istnieniu w kulturze prakaszubskiej bóstwa o takim samym imieniu, lecz znacznie rozleglejszych kompetencjach — uczyniono Derdowskiemu wręcz zarzut, że na przekór tradycji strywalizował swojego Smętka. Oryginalnej koncepcji artystyczno-literackiej przeciwstawiono zatem mglisty i mało czytelny mit. Nie dostrzeżono chyba w pełni tych cech „zełganego dło druchów kaszubściech” demona, które w ciągu stu lat, jakie minęły od momentu spisania przygód Czorlińskiego zachowały magiczną siłę ekspresji, inspirując wciąż do nowych kreacji.

-
45. H. Derdowski, O Panu Czorlińskim co do Pucka po sece iachol — Kościierzyna 1911, s. 43.
 46. op. cit., s. 135.
 47. op. cit., s. 47.
 48. op. cit., s. 47–48.
 49. Kaszuby i Kociewie. Język, zwyczaje, przesady, poda-
nia, zgaadki i pieśni ludowe. Zebrał i opracował
Dr Nadmorski (J. Łęgowski) Poznań 1892, s. 121.
 50. H. Derdowski, Jasiek z kniei. Sporo kupa łgarstw
kaszebściech. 1935, s. 17, 10.
 51. H. Derdowski, O Panu Czorlińskim... jw., s. 159.
 52. op. cit. s. 48.

W lagrze

(dokończenie)

Marian Majkowski

W celce zaczęło się robić szaro, cze przėszedł grzenia i mnie uspił. Spani bëło krótczi. O piąti reno chtos otémk celt i zaczął wrzeszczec:

– Aufstehen!

Piėrszi wėlezł z legrów stōri mieszkance. Naszi jesz przėciralė oczė, a jak wėskoczł ze swojigo kęta scharfirer i zawrzeszczł: – Verflucht, was ist los? Aufstehen! Aber schnell, schnell! – tedė wszėtcė bėłė od razė wėspōny. Wojna dira ju pōrė lat, tej kōzdy wiedzł, że jak Miemc wrzeszczi: – verflucht abo schnell – to ni ma szpasów.

Chutko, razė z jinima nėkalėsmė do mėcy.

O pól szōsty wszėtcė stojelė w karnie za rigę na placu. Potėmu jak nasz starszy złōżł swojemu starszimu meldunk, że jesmė fertig, szlėsmė do folwarku na frisztek. Tam, przed kuchnią ustawilė nas w dlėgą rigę. Cze mė bėłė krótko kocła z repeta, tej mė dostłė blaszaną miskę i łōżkę. Mė szłė midze dwoma niszczyma płotkama a kuchōrz dōł wielgą warzochwią repeta. Z drėdzi strėnė stojł Miemc w mundurze, chterny trzēmōł kōrbōcz i wrzeszczł:

– Schnell! Schnell!

Cze chto sė kęsk zatrzēmōł i zdrzł na kuchōrza, żebė tén mu dolł jesz repeta, to tén Miemc zarō łł tim pejczem. Czesmė sedłė przė dlėdzich stolach z dēłōw, tam nama jesz delė po szteku czōrnygo chlėba i kęsk margarinė. Jesc muszelė mė chutko. Co chwilė mė le czėlė:

– Schnell! Schnell!

To słowo bëło terō wiedno razė z nama.

Zarō po friszteku starszi zaprowadzł nas pod celt, gdzie mė dostłė robocy obleczeni. Botė otrzėmalėsmė swoji. Naszi zachė bėłė związany i schowōny. Na kuńc dostłėsmė szpōdė i motėcz i tej szlėmė kopac te rowė.

Od naszigo lagrė bëło pewno ze trzė, szterė kilometrė drodzi do molu gdzie mielėsmė kopac. Szlėsmė ustawiony w ridze jak wojsko. Na lewym remieniu kōzdy trzēmōł, prosto jak flinta swojā szpōdė, a w drėdzi motėka. Naszi starszi – kōzdy z opask na lewym remieniu – szł z boku i wrzeszczelė:

– Schrift halten, links, rechts, links, rechts!

– Wszėtcė spiėwac!

– Singen! Singen!

Knopi z Bėdgoszczė, chterny bėłė dlėzi, spiėwalė:

– Singen wollen wir maschieren...

Mė tėż otmikalė gėbė żebė na nas nie wrzeszczelė.

Bėłėsmė ju mocko szlap, cze doszlėsmė do mołu, gdzie bëło kopani. Tam uzdrzelėsmė karno lė

dzy, co ju kopalė. Miemce podzelėłė nas na grėpė, po osėm sztėk kōzdō. Taczı grėpie przėdzelėłė po szterė mėtė rowa do wėkopani. Tej splunėłėsmė w gōrsce i spokojno, po chłopsku, zaczęłėsmė kopac. Jak le chto z nas stanł, żebė wėproscė plecė abo kęsczk sė obezdrzec oni zarō wrzeszczelė:

– Arbeiten! Schnell! Schnell!

Ta robota nie bėła letkō, choc mė bėłė do ciā żczy robotė przėnėcony.

Cze naszi wachmani sė umėczłė łazėnim i wrzeszczenim, tej oni sedłė so w grėpie, w cenı pod jaczims drzewė. Tam pōlėłė cigaretė i popielė. Wtenczas jedén abo dwaji z nas stojelė na gōrze rowu i pomalinku grzebiāc szpōdama zdrzelė na Miemcōw. Jini mogłė w tim czasė kęsk odpoczāc. Mė to robile baro ostrożno, w wieldzim strachu. Bėłėsmė tu nowy i nie wiedzėłėsmė co je richtich łōs.

Piėrszy dzień cignł sė baro dlėgo. Bolalė nas rėce i nodzi. A ciedė ju przėszła czwōrtō godzėna, cze szlėsmė nazōd do lagrė, tej sciskalė nas żołādczi. Bėło ju kol piąty, cze mė doszłė do kuchni.

Po połniu bėła godzėna na odpoczink, na pisōni lėstów abo zrobienie sobie cos przė obucim. Pōzni, tak kol sōdmy, szarfirer znowu zebrł wczėtcich w karno i szlėsmė gdes za lager. Tam nas uczł spiėwac po miemiecku, abo mesztė ze szpōdōmė.

Kol osmė wieczōrk bėła wieczėrżō. Po ni mė mielė dlō se czas wolny jaż do dzesāty. Tej mielėsmė leżnosc sė poznać, pogōdac, cze sė pobiotkowac.

Nasz lager bėł obgradzony satkā z drutė, kol chterigo chodzėł w dzień i w nocy wachtė.

Zarō, cze żem przėjachł do Lindenhofu i dowiedzolė sė o naszym adresė, napisłł lėst dōdōm. Za dwa niedzele ju żem miłł odpowiedz. Naszi piselė, że sano je zwiozły, że richtujā sė żniwa. I piselė, że słońce wschodzy jakbė cōrōż blėzi nas. Jō ju wiedzł, co tō słunuszko miało za znaczeni.

Mój młody kamrat z Połobic tėż dostł lėst. W tim lėsce bėłė serdeczny pozdrowienia dlō niego i dlō mie od jego tatkōw i od ti piėkny Bernadczı, co ze mnā chodza na nōukę. Oni jesz piselė, że baro sė ceszā, że Jōżk mō tam dalek taczigo feinigo drėcha.

Niedzela mė mielė wolnā, ale mė ni mogłė ni gdzie jic – ani do koscoła, ani do lėdzi na wies. Cze bėła pogoda, tej lezelėsmė przed celtama na trōwie; przėszėwalėsmė knopczi, pisalė lėstė i grėlė w kartė.

Po pôrë tygodniach doszła jesz nowô robota. Nas oblazlë wszë.

Z nama mieszkôł taczi mały umiarty knop spod Techlëna, baro żarłoczny. Cze memka przësła mu brôt chléba i upiekłq kaczkę, tej on tak dlëgo sedzoł na wieczôr przë ti paczce, jaż wszëtko zjô dl. Më nie wiedzelë gdzie on to wszëtko pchô. Jednigo dnia, cze on scignqł koszëłë i zaczął gór scq zgarniac wszë, tej më wiedzelë, że on mô wiele gëbów do żëwieni. I tak z tego knopa wszë së rozlazlë. I më mielë kogo żëwic. Tej wiedno po polniu, abo w niedzielę sedzoł na kaminiu i wëcigôłë pomalinku te zwierzątka z mojih szë torów.

Z nama bëł tëż knop z Zalkowa, co miôł ze so bq badonië i czasë wieczôrki na ni muzikowôł. Jego skoczni, kaszëbsczi melodie, zarô mnie przëboczëlë nasi piękny strony, co jëczëlë w poj manim.

W jednq niedzielę bëłë u nas gosce. Przëjacha moja mama i tatowie mojih dwóch drëchów. Dlô nich i dlô mie przëwiozlë paczci. Powiôdalë co nowigo doma. A cëcho na ucho rzekle, że ruszi front ju je w Polsce, że Miemc przëgriwô wojnę. Tej më wiedzelë, że oni nas tu za dlëgo nie będą trzëmac.

Timczasä më dali kopelë rowë, a Miemce corôz barzi wrzeszczëlë:

– Schnell! Schnell!

Jednigo dnia ogłosëlë, że ta grëpa co zrobi swój dzël w jedën dzëń, pojadze na trzë dni do dôm. Wszëtce mądrzejszi kopele dale spokojno. Ale nalazło së osëm glëpich, chtërny rakowelë cały dzyn jak obarchniały, jaż swój dzël wëkopolë. Oni tej jachale na urlop, ale jich glëpota os ta z nama.

Jednigo dnia szedł z nam do robotë wëżsi ofi cera SS. On bëł bez ręczy, miôł jedno szklany oko i poparzony pësk. Zaprowadzël nas do robotë i rzekł, że wszëtce ostanq tak dlëgo, jaż ostatno grëpa wëkopie do kuńca swój dzël rowu. Co tej bëło robic? Wszëtce kopele jak moglië, ale mało bëło tak mocnych, jak tich osëm co jachalë na urlop. Kopelësmë do jednôsty w nocë a przëklënalësmë tich glëpków. Za to, że më tak dlëgo kopalë tén SS-man, jesz bez drogë do lagrë kôzôł nama spiëwac, a co jaczi czas robił nama musztrë.

– Lauschrift! Hinlegen! Aufstehen! Marsch! Marsch!

Ostatkiem sët, ze słabszima pod remiami, do-wlekëlësmë së we strôdku nocë do kuchni. Jô ju prawie ni mógł jesc, a mój młody drëch jaż pla kôł, cze jem go włôł do celtu.

Dredzigo dnia znôwu bëło to samo.

Od tego dnia më muszelë wëkopac swój dzël rowu – zamiast przez trzë – w dwa dni.

Dnie mijalë jedën po drëdzim, to baro cëz-czi, to weselszi. Z polów zebrelë ju zboża, za-orelë je pod nowy sëwë, a më jesz cigle cho-dzëlë kopac rowë.

Czwôrtigo pazdzernika spadła na nas jak grzëmot nowosc. Drëdzigo dnia pakujemë swoje pindle i jidzemë dalek, na nowy mol.

Czas w drogë. Nasi kuwerczi bëłë włożony na wozë a nas ustawiłë w marszowy karno. Z po

czqtku më jesz dosc wesoło spëwelë, ale jim dlë zi më szlë, tim spiëw bëł słabszi.

Kol jednôsty më przëszlë do Torunia. Tam Mie mce znôwu nas zdzëwilë – wprowadzëlë wszët-czych do odwszalni. Nadzi, le z botamo i skôrza-nym pasem w górsce, sedzoł jem razem z jinima do czwôrti po polni, czekajq na swoji kôdrë. Po czwôrti më znôwu së obulë w te owszony łachë i szlësmë dali. Z głodë i umëczeni lëdzom za-czëło së robic słabo, tich nôsłabszych më mu-szelë wsadzëc na wozë.

Mój młody drëch z Palobic tëż zrobił së szlap, tak że i jego wëpchnqłë na wóz.

O dzesqty wieczôr doszëlësmë do naszigo nowi go mola we wse Rosenberg. Miemce wënekalë nas na noc do owczarni. Na tén owczy gnôj më nascelëlë słomë, chtërno nama dele robotnice z folwarku. Zjedlësmë sëchy prowiant i szlësmë spac. Ale jak żesme le së položëlë, tej za chwilkę lezelësmë w wodze.

Tak së zakuńczël dzëń piqty pazdzernika 1944 roku, dzëń mojih osemnastich urodzën.

Drëdzigo dnia reno prowadzëlë nas sztëk za folwark, gdzie stojalë wëbudowany drewniany ba raczi. Z daleka one wëdzralë jak koszczi dlô pszczôł. Bëlë okragły, ze spôdajqym na wszët-cië stënë dachë, cały zmëstrowôny z diktë. W westrzodku, pod scanami bëłë zrobiony lëgre do spani. Na strôdku stojôł żelazny péter. Dwiërze do buten bëłë tëż z diktë. Od bene më je zaci-galë grëbq kodrq. Tak wëdzralo nasi nowy po-mieszkani, gdzie mielësmë sedzëc w zëmie.

Na nowim molu spotëkalësmë naszych star-szych drëchów ze Srojkojc. Oni mieszkalë we fol warku w szopie. Czasë më së widzëlë przë polni. Niejednich jô doch ni mógł poznać... Jesz przed wojnq jô znôł jednigo bławatnigo hańdlôrza, chtërni miôł taczi zwëk, że wiedno stojôł w dwie-rzach swojigo składu i wolôł:

– Pôjta do mie, jô môm fein nowi sztofë, tano sprzedajë.

On bëł tak grëby, że jak stojôł zaparty o jedna strëna framudzi, to brzëchem sigqł o drëgq stro-në. Cze w czerwincu jachôł z nama bëł jesz grë by jak przed wojnq. A w lagrze bëł tak cenczi, że jego stôri obleczeni wisalo na nim jak na strôszku. Jego drësze, ti wëszczërze co së z wszëtci-go smiejq, gôdale, że jak on wcignie bukse, tej muszi swój brzëch sklôdac w faldë i przëpinac pasë, co bë mu nie lôtôł na wszëtcië stronë. Jô, më wszëtce wëdzrelë corôz gorzy – to nie bëło do smiëchu.

Dnie bëłë corôz zemniejszy i krôtszi. Padalë de szcze.

Czasë bëło czëc daleczy szyse. Inym razë se-dzelësmë w wëkopónych rowach, a nad nama lô talë karna fligrów. To nie bëłë chëba miemie-czi, bo nasi wachmani wrzeszczëlë:

– Alle liegen, still, still!

Jedzeni bëło corôz gorszi. Botë, chtërni më przëwiozlë ze sobq miale ju dosc, a nowich na-ma nie dôwelë. Moje mialë otëmkly pësczi i wcigalë wodë. Nie pomôgało wiele zwiqziwani powrozkama, wkłôdanie papiôrów – bote bëłë lëchy.

Jednego dnia pôrę knopów od nas wzelë do zartowani w baraku magazinowym. Tam më sedzelë w ceple, pucowalë i dobieralë do pôrë używony botë. Tak kol dzesąti prosił jem wachmana, żebë mie na chwilë wëpuszczël z bene, bo muszë jic do sztisa. Przed tim on mie zre widowël, obezdrzël botë i tej wëpuszczël. W szti se zem wzoł sztek papióra, wygarnął w niego mokry glëne, włożël w cheszëń i przëszedł nazôd do baraku. O trzeci na polnie wëlezlësmë w dob-rich botach, choc tak uczapanych glëną, jakbë më w nich kopalë ju miesąc rowë.

Mokry nodzi, lëchi jedzeni, deszcze i zemizna osłabilë nas wszëtcich. Corôz wici knopów chorzalo. Nôgorzi nas szarpa sraczka i grëpa. Wiele kamratów leżało w braku co sę nazëwôł: Krankenstube. Tam też ju drëdzi tidzëń leżoł mój drëch Józ. Biédny knapsko bëło wiedno dosc umiarti, ale jak jen przëszedł i przëniąsł jemu co lepszigo do jedzeni, to zem sę richtig przëstraszhël. Józ bëł tak wënëdnialy, że jaż zôł bëło na niego zdrzec. Wieldzi oczë wëzeralë z twôrzë, chterna bëła żółtô jak woskowô gromnica. Knap sko bëł baro urzasły i gôdôł:

– Stachu reti. Jô ju stądka dodôm nie przinda.

Jak to powiedział, tej zaczął plakac. Dlëgo u niego sedzôłem i go poceszôłë, jaż przëszła sos tra i mie wëneka. Przë pożegnani jô jemu rzekł:

– Nie martw sę Józku. Za tidzëń më bëdzemë zos razë lezelë na preczach, a za miesąc możë ju doma.

Jednego dnia reno wëbrelë z baraka dwanôsce knopów. Kôzalë dobrze wëpucowac botë, wëszczotkowoc obuće i wëglansowac szpôde. Ustawi le nas w ridze, obezdrzelë i wëprowadzëlë nas z lagru na szasejô. Tam nama rzekle, że jidzema do wsë na pochówk naszigo drëcha, co mieszkôł z nama w jednym baraku. Spitôłë sę szarfirera, cze to umarł tén mali umiarti, chternigo tak rãdo żarlë wsze, a on cziwnął głowã, że jô.

Pochówk bëł lëchi. Na malinczim wsowim cerpisku przë tremie stojôł ksądz i odmówiôł pòczere po łacënie miemiecku, przë nim bëł organista. Nad wëkopónym dołem stojala splakônô bialka z knopë i dziewczã. Stary chłop z wielgã szepã stojôł kawalk dali, pod murë koscola. Më – dwanôsce jego drëchów – po wpuszczeni tremne stojelë kol kulë, wëproszczony jak swiece i trzëmalë naszi szpadë.

Szarfirer potëmu ustawił naju karno marszowy.

– Achtung! Marsch! Marsch!

Droga do lagrë bëła smutnô. Më nie spiëwalë. Kôzdy szedł zgrużdżony i pewno mësłôł to co jô: co z nama bëdzë dali.

Jinygo dnia, a bëło to pod kuńc listopada, jak më grzebalë pancergraben tej uczësmë szczekani psów i miemiecczi glosë:

– Verflucht! Donerwetter!

Reczi bëłë corôz glosniejszy i blëższy. Jô sę tak ustawiôł do drodze cobë mógł widzec, co tam je lós. Szarfirerowie, cze oboczëlë, że naszi zdrzã na drogë, tej wrzeszczëlë:

– Nicht kuken! Arbeiten! Schnell! Schnell!

Tej më kopalë, żebë nie podpadło, a pod oka zdrzelë.

Drogã szlë umęczony lëdze, spaszły Miemce i wieldzi psë. Westrzódkę drodze, w slësczi po deszczu glënie, szlë bialczy. Wszëtcie miałë na se szari obuca, w cemni pasë z górë na dol. Te jich rëchna bëłë baro zniszczony i sprôny. Na plecach miałë wëmalowôny wieldzi czerwony gwiazdë. Na nogach miałë owiniëti szôtorë. Jedne szlë w drëwiônich klómpach, jine w starich podzartich boceskach, a bëłë i taczi co szlë decht bosso.

Jô podniôł na chwilë oczë i uzdrzôł gëbë tich bialk. Na nich bëł wëmalowôny wieldzi strach. Mocniejszy bialczy prowadzelë pod pòchë słabszi. Z obëch stren szlë wepasły SS-mani. Kôzdy z nich trzëmôł dlëdzi korbôcz i co chwila walił nim po głowach i plecach tich bialk. Mielë téz pse, chterny skôkalë na ne bialczy i je grëzlë...

Procesjô bitich i szczwónych bialków szła prawie pól godzënë. To bëło straszny.

Przëszedł grëdzeń. W naszym baraku bëło zëmno. Żebë bëło cepli obsëpalësmë scanë zemią, a dach przëkrëlë dzarnã. W pëtru pôlëło sę caly popólnia do pòzny nocë. W nocë, cze më spalë para kapala nama na poscel.

Armatny strzalë bëło czëc corôz blëzi. Robota przë rowach bëła ju prawie skuńczônô. Starszych drëchów Miemce ju wëwiozëlë, le jesz më młodzi ostalë, żebë skuńczëc z tą robotã.

Jednego dnia, a bëło to krótko przed gwiozdkã, zebralë nas na wëstrzódku placë. Tam nama powiedzelë, że jitra mômë zdac wszëtcie nôrzëdza i robocy obuca. Młodi miele jic dodôm. Më sę tak ceszëlë, żesmë ni moglë dozdac tego jitra.

Reno, po frisztku, më oddalë rzeczhë. Ju kol polnia wszëtcë lazelë w swoich łachach. Kol dwanosti Miemce dele nôma prowiant na drogë i papiôrë. Przë żegnani nasz szarfirer rzekł do mie po polsku:

– Do widzenia, Stachu. Myślë, że nie dokucalem ci bardzo i że nie bëdziesz miał do mnë żalu, gdy sië spotkamy w Polsce.

Tej jô wiedzôł czëmu tén knop, gdzie mógł tam nama pomôgôł, a wrzeszczôł tej, cze muszôł.

Szarfirer – terô ju Jerzy Orlicz – zaprowadzël wszëtcich knopów na ban. Tak przed wieczôrkë më wëjachalë. Bez drogë, w nocë prawie nicht nie spôł. Më so powiôdôlë wëce i spiëwalë.

W jednym przedzale jachalë z robotów nasze kaszëbsczë dzewczëta. One téz sę czëszëlë i spiëwalë:

Czebë mama knopów nie kochala
Tata bë nie bëł zonati
Mama bë nie miała chłopã
Jô bë ni mia tatë...

A na to naszi knopë odspiewalë grëpã:

Czebë tata z mamkã sę nie kochalë
i nie spalë do spólczy
Nie bëlobë nas na swiece
bëlëbë jaskôłczë...

Po chwilë wszëtcë sę przemieszelë i dali spiëwale razë. Më jachalë tak, jakbë wojna ju bëła wëgrônô.

W kaszëbscziich strenach, na kôzdim banofie chtos sã zëgnôł. Ostôwiôł jinim adresa i prosël:

- Przëjadzta do mie po wojnie.
- Przëjadzemë jak Bóg dô.
- Z Bogë.
- Z Bogë.

W Somoninie, kol Kartëz, bëło nas dosc mało, cze më wlezlë w ban do Srokojc. Do Kamińce më przëjachalë w dzesëc chłopa – sêdë szło do Palobic i Zalkowa, a më trzej do nas, dodóm.

Mój młôdł drëch Józł jaż plakôł, cze sã ze mną zëgnôł. Tej jô mu rzekl:

– Nie rëcz chłopie. Më doch mieszkômë od ce le szterë kilometrë. Co to je? Më dali chodzëlë do rowów kopani.

Pierszi gwiondzë zaczënalë swecec na niebie, cze jô wlozł na naszë podwórze. Psë, jak le obaczëlë chto jidze, zaczëlë sã lasëc i nie szczekalë.

Jô zaklepôł na dwiërze i wlozł do jizbë. Przez chwilë wszëtcë domocë stojëlë i zdrzelë jakbë oboczëlë dëcha.

– Niech bëdze pochwôłóny – rzeklë.

Mama skocza od stolu i zacza sã ze mną witać i kuszkac.

– Bogu niech będą dzięki. Stach przëjachôł. Terô më bëdzemë znówu razë.

– Nôprzódk on sã muszi wëkãpac i czësto obuc – rzekl ojł. – Tã co môsz na sobie wërzucim na mrôz buten. Po swiętach to so wëpierze i wëgotuje.

Po mojim wëkãpanim i obucim czëstigo ruchna më sedlë wszëtcë do wieczërë wigilijny. Më dlëgo spiëwelë przë choince kaszëbsczië kolëdë, a jô – choc od wczora nie miôłë spôny – szedłë z jinima na pasterkë. Tam jô mocko dzëkowôł Bogu żem szczëslëwie wrôcël dodóm z ti wojenny poniewierci.

Przëscygani czasu

Eugeniusz Gołqbek

Motto: *Rosq astrë pod nieba nëbã
Na grobë ostatnëch Kaszëbów.*

(A. Nögel „Astrë)

SZPACERKË PO CERPISKU

„Czë są jesz dzys dnia taczë môłë, dze człowiek zaszczywny przez negodzwëch sãsadów i ucemiëżony przez parlëżną cywilizacjã, bë mógł skrëc swojã, zbolalã głowë? Czë je jesz dze, taczë cëchi i panieńsko czëstj môł, dze cëbie nie nalëżë urząd podatkwowi, dze twoji oko nie mdze muszało czidac o nôpisë „wstëp zabroniony” a ucho twoji nie mdze muszało sã dlôwic od miodny muzyczëci a twój musk bë so môg choc na pôrë minut odpoczãc od ti masë nowinów i trzôsku jaczima cëbie fudrëje radio, telewizëjô i gazëtë...”

Gazëtë tēj sēj rojã sã od artikulów, co sã zaczinają prawie tak, (abo cos kole tego) jakno ten hewo zmëszlony tekst napisóny powëzi. I cos w tim muszi bëc. Bo złë sã czësto i wiele o czym piszë (abo nawetk leno gôdô po cëchu) tēj jaczis zôrko prôwdë w tim sedzy.

Ale wierë nie chodzy ëzłowiekowi o to, żëbë zamknãc telewizëjã, radio, gazëtë i urzëdë. Nie jidze o to prawie, żëbë musk nasz mógł so odpoczëwac, rojic o gwiondzach czë cëdach niewidach i obrôstac tãszcë. Bo hëjne ti sami lëdzë co tak chlëchają nad ucemiëżenim cywilizacjã, mają doma u se wiëdzj kolorowi telewizor i stereofoniczny radijo. Ti sami męczëlnicë agencjów informacyjnych lubią, czijë potënë w kiosku czekô na nich „jesz ceplô”, swiężô gazëtka. I ti sami lëdzë urzëdëją potëmu za biurkama i piszą swoji teszno-najiwczë orëdżë o chrônieniu lëdzëczigo ôrtu przed cywilizacjã.

Bo tēj wierë mało komu bë chodzëło o znikwieni cywilizacjë. Usôdzcóm, co lejã lżë nad człowiekë ucemiëżonym dzysëszã technikã i organizacjã jidzë o to, żëbë temu człowiekowi ulżëc. Chcã oni, żëbë żëcy pod skrzidłama cywilizacjë bëło barzi lëdzëci.

Terôzka jô sôm, dôłëbóg stôwiajã zapitani: czë są taczë môłë...?

Chtos odpowë: në ko po wsach jesz jesz, ale w miejsce? Taczim môłë, dze mieszcôn bë mógł ucec przed trzôsë, dëmë i przed nieproszoną czasë opiekã institucjów państwowëch mô bëc park mieszczi. Ale dlô kogos w parku może bëc za rôjno. Tēj taczë człowiek jidzë so szëkac mirniëszëch nôrcëków i rëchli czë pózdni on trafi do lasa co czasë rosce sprzëtë miasta. Ale dzys dnia mało ju ostãło lasów kol miasta, co bë moglë manic piesniôdzejôrów swojã krëjamną i surowã snôzotã. Bo kol miasta gëstwa lasu je wic mocko wëlësalô a na zemë zamiast mechu abo lëstów, oko muszi sã kalëczëc o wszelejaczigo ôrtu smiece. Do te wszëtczigo po taczim lesë tēj sã krãcy wic niemało jinëch lëdzy a jesz na wiërzë są w nim mëdżi. Temu tēj las sprzëtë miasta wiëdnô nie dôwô ubëtku ucemiëżonemu widowi i slëchowë. Chtos komu do lasa je za dalek, a w parku za gësto od lëdzy, może so czasë nalezc taczë môł. Jednym z taczëch môłów, dze ubëtë i odpoczink cała je zarëczywny ustawã, może bëc... smëtôrz, to je jinaczë rzeklë cërpisko. Chtos może rzec, że na smëtôrzë tēj je rôjno i za glosno, bo jego cëszë przëriwają tēj sēj zwonë i spiëwë lëdzy co towarzã swojemu blëznymu w jego ostatny drodze. Abo zôs jinygo dnia je czëc glëchi zwëk szpôdë kopôcza. Në jo, ale wszëtko to są glosë tak przërodzony, zwëczajny dlô cërpiska jakno zwonieni kosë ostrzony we żniwa abo seczierë w lese. Smëtôrz służy lëdzóm, ne i temu muszi tēj sēj przëjac nowigo nôlëznika do spolëżnë nieboszczëków.

Równak na ôgle na cërpisku na biôlim dniu niewiele sã może zdarzëc. Drzewa po swojemu szëmarzã, czasë dô sã czëc dôłëczy mrëczëni auta abo łajani psa. Człowiek so chodzy stëgnã pomidzë wszelejaczim ôrtã pomników. Stëgnë prosto rozplanowóny wprowadzają nas w poczëcy rozemnygo porzãdku. W procëm ku do taczigo wezmë na to lasa, smëtôrz mô nijakã przewôgë. Je krôtëko miasta abo wsë czasë nawetk

westrzód. Człowiek (a tim barzi człowiek zamészlony) w lese bë mógł zabłądzć a ko na smętórzcu zabłądzć wierę nie jidze.

Lédzy po cerpisku chodzy mało. Nòrèchli chtos z nas może potkac jaką starszą białkę co przészła tu ustrojic grób kogos ze swojèch domócèch abo możémè potkac négo kòpòczca ze swoją „niesmiertelną” szpòdą. Człowiek, co chodzy po cerpisku lubi bëc sòm ze swojima mészlama. Cziěj sè potkò na smętórzcu cèzygo człowieka tój wiedno jakos nie wèpòdò do niego zagòdac o tim abo nym. Bo ko na smętórzcu nicht nie przèchòdò na brawèdkę tak jakno do parku mieszcigo. Żle ju chtos tu przinǳe, tój to ju musiz bëc jakò gwèsnò sprawa. Człowiek taczci podinǳe do grobu, poprawi wińc, przestawia zbòn z kwiatama, zapòli swiècè, pomodli sè. Smętórz tój je dogòdnym mòlè do rozmiszlaniò i modlètwiè. Na dodòwk smętórz okróm łączbè z cywilizacjã zemską dòwò téż leżnosć podezdrzeniò jinygo swiata. Ale w tim cèlu człowiek bë miòl ostac tu krèjamko ob noc i żdac midze godzènamà jednòstã a dwunòstã.

Znaję wiele bëlnèch lédzy, co baro ròd jidã na cerpisko za żècò. Hewo jedna moja còtkã z Kartuz, po smiercè swojigo chłopã, chodzèła wnetk kòždy dzeń na jego grób. Ona szła, nibè podlòc kwiatè, a tak napròwdè chcała so pèrznę ze swojim chłopè pokòrbac w duchu.

Jò téż czasè jidę so ròd zazdrzec na cerpisko. Mili mie sę jidze po smętórzcu w dzeń, jak westrzód nocè. Nòwicy razy bël jem na smętórzcu w swojò parafijì. Czěj jò bël pòrè lat tèmeu w Czechach, téż jem na smętórzcu zazèròl. Tak téż czièjle dzys jem w jaczim miesce abo koscelny wsè i przèchòdaję kole smętórzcu, lubię zazdrzec co je bëne za wèsoczim żelòznym plotè. Cziěj je to miasto dalek od Kaszèbszczi, kèdès w Polsce, tój cztaję nòpisè na tòblècach pomnikòw. I nieròz cziěj trafiję na jaczci kaszèbszczi nòzwèsko, tój może przez sztèruszk zdrgnie mie mészl o tim, że nie jem tu sòm, co przèjachòl z daleka. I możè so czasè pomészlè o tim, jakno wejle mè dzys jesmè szerok po swièce rozdrzucony. I zjimò mie czekawota. Jaczci on bël, nen człowiek, co tu je pochòwóny? I mészlè so o tim, że nèn cotu leži pod dzarnã, mógł nijak nie pamiętać o tim, że je Kaszèbã. Ale cżè taczci człowiek co ju nie pamiętò, jesz może bëc zwóny Kaszèbã? Abo możè on bël z tego òrtu Kaszèbòw co sè cali żecy wstidzã tego, skądã bëlè jego starszi? I wiedno klèknę, abo stojącè odmówię za jego dèszè „wieczny odpocink”.

Dò na swièce taczich lédzy, co cali żecy bødã omi-jalè na pòrè kilometrów wszelèjaczci stòri zòmeci, koscòlè i cerpiska. A dò téż taczich, co ju za żècò zamiast pokutowac „jak człowiek” po karczmach, kawiarniach è jinèch psarniach, wolã so mili pochòdzec szpacèrkę po cerpisku.

DZEN ZADÈSZNY

Nèn dzeń budzy w kòżdym człowieku rozmajiti mészlè, wdòrè i cèchj pomianè. Dlò człowieka cżèsto malinczigo, swièto to parłèczy sè z obròzè zapòlonèch swièców, woniã astròw i jiglènè i jesz możè z kom-mudnã, mrocznã pogodã. Niejedno dzecko bødze jesz możè pamiętało, że pomògało mèmuszce ustrojic grób négo zòlnièrza co leži hójne tam pod tã urzmã kole lasa. A nièjednemu z dzecy jiglèna, swiècè i dodòm ful goscj możè przèbòczèwac gwioźdzkè.

Na smętórzcu cos sè dzeje. Cżèc je głos zwonów. Chtos tam sam nie zdził zapalèc swièców, terò chutuszko odpòliwò je od sąsàdów. Głowè lédzy czièrèjã sè w stronè koscòla. Tam hójne sã ju widzec, nisko nad głowama lèdztwa, czòrny blònè. Smièrtelny stanica dwigajã sè stateczno, temlèjając sã na stronè. Jidze procèsèjò. Przed stanicama, téż w gòrze bimlocã latarnie niosli na dludzièch cizjach. Ksãdz na przòdku w czòrnèch ruchnach prowadzy procesèjã na smętórz. Mò kropidło w ręcè i chilò z niego na lédzy, co po prawi i po lewi stronie zjimajã muce i żegnajã sè. Organista co jidze jeden krok slòdè, operowim głosè prowadzy swièw, a lèdztwo w procesèji za jego przè-klòdè jeczci i zacygò.

Dlò naszigo heroja w tim obròzu je wierè cos po-cygającè pròwdzèwigo a sztèrkama zdrgającè straszny

go. Ale ko on je leno na sztèruszk, zauroczony, oma-niony tim obròzè. On je nòlżen obzèrac w telewizèji wnetk co dzeń wiele czekawszi i strojnièsi widzawiszczã. A ko ti lédze w procesèji wèdzèrzelè sztèrkama pèrzinkę pòczšno.

Procesèjò zasziã ju dalek, jaz pod kuńc cerpiska. Tam, dzes pod plotè lezã pochòwóny wiselcowie, ti od kocy wiarè i nieochrzczone dzecè. Knòp jidze pomału nazòt, uwòzò zèbè sè z kogum nie potkac w tim tòku. Przèstònie i wzèrò z jinygo mòla na smętórz, co pèsz-no skrzy sè od widu. Przè mèrgajãcym widze swiècòw, teszny oczè dzèwczèt sklènijã i mèmilòserno ma-nijã. Jejich wid chlaszczè, sejò, przècygò, nie dòwu mu pòku. Jejich czòrny pod dludziama rzèsamã zdrzèle kolã, szczipijã, sygajã jaz na dno dèszè. Od négo zdroku, jemù parzã lica jak od zòlãcèch wèglów.

Lédze pomalinèszku sè ju rozchòdajã, rozjèdzajã do swojich chèczè. Robi sè pusto i smètno na cerpisku. A swiècè, żle nie mdze deszczu, bødã sè jesz pòlèlè dlugo, możè do porèнку.

Jo, w nèn dzeń niejedèn z nas bël baro dalek od spròw smièrtelnèch i niesmièrtelnèch, od spròw wiekujistèch. Ale możè niejedèn z nas pèrzinèszkè sè w tim dniu naucził?

Przèchòdajã lata, pèrznę starszi człowiek dozdrzelèwò. Ju niejedèn z jego domócèch odjachòl swojã ostatnã rzez. Przèchòdò Dzeń Zadèszny. Człowiek jidze zazdrzec na gròbè swojèch nòdrogszèch, mòblèszèch. Je jesz dosc widno ale chutuszko nadchòdò smrok. Na nièjednèch gròbach pòlã sè ju swièszci. Dròzka co jidze westrzód smętórzcu, stałã sè w ten dzeń szpacèr-alèjã dlò lédzy pòzeszèch tu z cali parafijì i jinèch goscj. Odbiwò sè parada żemowèch mañtlów. Jedny mañtle woniajã swièżim kupczim sztofè, od jinèch chopie naftalèna. O, przèjachalo dzys wiele taczèch lédzy o jaczich jesmè ju mlièlè wnetk zabèti. Sã przèjachòny ze swojima nowima, dlò nas cèzymã, białkama abò chłopama. Człowiek obzèrò sè wkòl, po lèdzach. Lédze stojã ze swojima rodzèznama w kòl gròbów, mòlczącè, abo po cèchu midze sobã gòdajã. Dzys je ju cżèc wicy mowè miastowi.

Nã stegnã na westrzòdku cerpiska jedze na swojim wozyku kaleka. Nieboròk grèdo krãcy, jak możè omi-jò plètè, kolã tonã w rozbrzèdlim kale, ale on cèplèwie, jakno nòpartì jaczci zòlw, pchò sè dali pomi-dze chòdzãcymã. Człowiek so mészl: Taczci nieboròk sè mèczy, a wejle zawczora w roboce umar jeden ja-czi, chłop jak bik, jesz mòg żec. A jesz sè wiedno chwòlił swojim zdrowim... Taczci to ju je opaczny namienieni...

Człowiek stoi przè grobie swojèch starków. Mèmka z còtkã majã grób obstrojony. On sè zegnìc, poprawi swiècè, bo mu sè zdòwało, że ona zacziò skwarzec kwiat. Stanie, zjimnie kapelus z i tak postoji sztofèk. Spitò sè w duchu: cżè jò jesz rozmiejè sè modlèc? A tój pomrèczy cècho: robota, pieniadze, szczescy... Tój on jidze zazdrzec do koscòla. Wèslèchò kòzaniò, jidze na smętórz razè z procesèjã. Zwonè bijã, dwi-gajã sè czòrny plòchtè staniców. Człowiek nòprzòd chcòlbè ròd wèdostac sè z ti lèdzczj rzèczy na brzeg, na stronè, jakno topièlc co po spitimu skrècèl z mo-stu. Ale ju za gèbok wcygnãl go szor, tój bez mocè, cżèsto od sè, pozwòlò sè nièsc i plènie jak na pòl leno namikli camer. Rozlègò sè pieszniò. Kòzdi Boga chwòli. A on jidze téż westrzód lèdztwa i téż swièwò. Zdrgò mím ogròszka. Możè je szczètlèwi? Nie wiè, ale cżèje sè wespòlbètnikè jaczis sprawè, dzèlè tich lédzy smièrtelnèch. Nie je ju leno przèzèròczã, co ze stronè czekawie podzèrò i taksèje, je terò dzèle ti spolèznè.

A słowa pieszniè brzèmiã straszno. Nikogo omè nie smukajã, le drapiã, szturajã, niemilòserno bodzã, bi-czèjã. Ta pieszniò przèbòcziwò, że na kòzdi gò przinǳe czas Sądu Ostatecznygo.

SMIÈRTELNICA

Na smętórzcu we Chwaszczènie stojã do niedòwna smièrtelnica, zwònò barzi z polska „kostnica”. W smièrtelnicy, co bëła za „mojich” czasów drewnianã na pòl rozwalonã bødã nie bëło nick bëlno. Bèl to magazyn rozmajitigo òrtu tòklów. Stojãlè tam — wie-

le moge pamiętać — jaczis połómóny stóři marě, póre strěpiatěch kržíw grobowěch, kawaleczí rozebróněch pomníkóv, póre zgnitěch wińcóv, z osta-tnyma žeczba ma wěpisónyma ma szlejfach. Stojalě tam tež figurě aniołóv z obczidlíma skrzidlíma, běło tež bokadosc pěklič kruto-pów z wěstowajacyma z niech chładama zma-rzlič zeschlěch astrów abo mertów. A midze tím wszětčim po nórtač roslě urodzony abo na pól zgniti potrusě z órtu zwónygo po kocewíacku „papiórniaki”.

Bo na buda téj služěla časě též za něn krějamny mól, dze tczěwórtny parafijónowie, w niebezpieku někalě na „skargě”. Može ně smiertelnicę bądě dali zwól lepi prosto budą, bo chto wiě czě ona miała abo róz ležnosc wěkonac swoję czestną funkcję dló jaczí osta-ła wěbudowónó. Jak dalek moge pamiętać, zark z całě nieboszczěka běl wíedno wnioś nōprzód do koscóla a též z ním szło se ju prost na jeho mól. A buda može od počátku služěla kopóczowi za szaruznię. Przě kuńcu, abo može lepi chcěmě rzec przed počatkę kuńca, swegoj lěchigo žěčo nie běło w ni dwiěrzi, nicht ji nie dozéról, a kopócz wierę swoją szpódě ju též trzi-mól wíedno doma.

Cziěj buda běla ju na ostatněch nogach, cziěj dak mólama ju sygół zemi i czas ji běl ju porechowóny, przějachól jednygo dnia na plebaniję ekstra posłań-czik z Pelplěna. Miól on robic remanent koscelnego majątku. Przězérającě akta plebaniji nalóz on w něch aktach, że dzes na górze pod ustrzechę plebaniji bě muszała bęc schowónó figurka Matczy Bosczy z Dze-catkę Jezěs. Téj nasz kšadz, co je w nasz parafiji od dwadzesć przesłó lat, so przěbóczył, że przě remonce plebaniji, kóžól wěniesc niéjedny tókle do ti budě na smętórz.

Tak hewno w ny smiertelnicy, nalazła sę figurka Matczy Bosczy Chwaszczinšczy z piętńóstigo wieku. Le-zała ona szmėrgnionó midžě grěpama něch smiecy a dzys, po konserwacěji, stoi w skórbcu na westrzéd-nym wóltórz chwaszczinšczygo koscóla. Dzys w nym skórbcu we wóltórz wisy ju wiele darów za zesłóny łasczi. Mómě téj na Kaszěbach tržě mólę, skądka Mat-ka Boskó sejó swojima łaskama: Swórzewo, Swiónowo i Chwaszczěno.

O PIRAMIDACH

Jdącě przez smętórz widzymě wszelejaczí órtě pom-ników: prosti — strzédněch lědzy, bogati, u-bodži. Zle chtoś lubi dzelěć i wszetko w porządku u-klódac, wedle órtów, w szuflódkach, može dzelěć jina-czi. Wezmě na to: nal szėkowny i pokraczny, abo na zadbóny i zaběti. Kóždi z órtów pamnika je wórt opi-sanió w osóbný kšedze. Jō leno nadczidnē letko o tím abo nym. Chcěmě so nōprzód przězdrzec pomníkóm po-kracznym.

Pomniczji pokraczny mogą nólěžć tak do lědzy bo-gatěch, jakno též do biédněch. Ale wierę barži po-kraczny są wíedno pomniczji na grobach lědzy boga-těch. Lědze bogati mają wic wicy pińjadzy, téj zle rzeměśnikowi wíndze spod rěczy pokraka, bądze to pokraka do potědzi. I o to prawie jidze, žebě wěszla pokraka, to je takó rzec, co w sposób parłężny i pro-stacczi bądze ukóžowala majątk fundatora.

Na tím mólu može bęc komus kšak dzěwno. Bo chtoś mēslól može, že cziěj jō pišę „pomnik człowie-ka bogatigo” móm na mēslě samigo nieboszczěka? Mól, na smętórz mało cziěj je wěkupiony przez sa-migo nieboszczěka, bo mało chto z nas je tak dbali žebě za žěčo wěkupic so pasowny mólék, dōsc węgónny i sěchi i krodzy dróžci. Dzys dnia człowiek umiéró we wiele razach chutko, nōgle, časě chutczí jesz nigrě zdazi podiktowac testamant. Ju nijak nie nadczidaję o woj-nie, ale róz wěczětól jem w gazěce, že w autach od slédny wojně zdžinó na swiece wicy jak w wojnie na frontach... Ale widžę, że jem sę w swoji dowodžěz-nie zapuscěl za dalek. Muszě sę copnac jaž do słów „pomnik człowieka bogatigo”. Chto buděje pomnik na grobie człowieka bogatigo? Fundatorę pomnika je we wiksziem dzělu jego rodzězna. Zle rodzězna je bogatō téj wěstowió bogati pomnik. Biwalo wiele razy, že bėlny człowiek przed swoją smiercą rozporządžěl, že na jeho grobie mają domocy postawic leno prosti kam. A z drědzi stroně widzymě niebėlników abo ta-

czięch, co nick specjalnygo w žěcym nie dokonalě, jak z uszporówóněch pińjadzy buděja dló se masywny grobowc.

Grobówce są budowóny na miarę człowieka ale též na miarę jego majątku i fantazěji. Hewo faraónowie budowalě dló se gromisti piramide. Budowalě rękama robotników. Ale przódě robotników běło wiele i bėlě tańši jak dzys dnia. Za časów faraónów na robotni-ka sygół dludži „óws” a dzysó nie pomógó wěwijani przed nosę mēsterka setkama, le dopiérze cęczy tēsā-ce mogą jaczigo rzeměśnika zrēsžć. Ko dzys pirami-dě nicht so nie buděje, ale stržédny człowiek, zle bā-dze žil obszczadno, može dōsc letko odložć na gro-bówc. Równak wiksziemu dzělowi lědzy sprawic muszi kšak biédniější od grobowca nōgróbk, to je pomnik. Zle chtoś drogo płacy, téj ju wémógó, žebě ne pińja-dze bėlě widzec. A jak wiēmě, kóždi se swojigo do-znanió, majątk mało cziěj jidze w pórze z pocžęcym snózotě. Temu pomniczji pokraczny są wórt jejich fun-datorów.

Cziěj jem so szpacérowól po cerpisku postawił jem so zapitani; ale, u dióchla jaczigo!... (o pardon! „ko jem na smętórz”) po co lědze buděja nōgróbczi. Ně bo piramidě powstałě wierę z dbě, že lědzczi całó puzdze, po smierć odžěje i po to, žebě no całó nie běło głod-ny. Egipcjónowie stówialě swojim faraónóm jedzeni i jiny rzeczě jaczich po odecknieniu mumia bě mogła brėkowac. A ko naszymu nieboszczěkowu, tam spódkę je wierą równo czě leži leno pod dzarną, czě jesz na wierzć przėkrěti grańtę, abo marmurę. Choc chto wiě? Przédě na Kaszěbach lědzóm mogło chodžć prawie o to, žebě nieboszczěk ni móg sę wěkracžć z ku-lě jakno wieszczi, ópi. Ale dzys? Mało chto dzys ju wierzi w powiostczji o ópich. Měszlę, že dzys jidze o cos jinygo. Nadczid jem o tím, že pomnik buděje we wiksziem dzělu rodzězna umarligo. A rodzězna cziěj sę zjedze po pogržbie, niróz ugódó se hewo tak: Chcěmě mu lepi ten pomnik postawic, žebě oni nie gódalě o nas lěcho. Z te jednygo zdanió možemě wěcygnac taką nōukę: pomnik mó dwa cěle do zjisceniě — sławic bėlnotę umarligo, sławic bėlnotę fundatora. Z tego wszětczigo jō sę docygaję, že przėnómi w dzělu fun-dator buděje pomnik dló siebie samigó. Ale može do-cygaję sę za głėbok?

Jesz jeden órt pomnika — zdówó mnie sę — je wórt opisanió. Jidze mnie o pomnik zaběti. Słowo „pomnik” oznóczac bě miało rzec zbudowóną komus na pamiątkę. Ale ko zaběcy je czestą procēmnotą pa-mięć. Na taczim zabějim nōgróbk u Dniu Zaděsz-nym, časě jakos miłosernó rēka rozloži póre wietew-ków jiglěń abo zapóli swięćę. Ale rēchli abo pózdni, chtoś postrzežę, že o nen pomnik nicht ni mó starě, nicht go nie dozéró. Téj omělēcą przinđa mēstrowie, pomnik rozebierzā, lepszi szććzi weznā do se a lěch-szi szmėrgnā dze w jakā szaruznię, midze jiny zaběti i nieprzėdatny tókle. Taczí to ju je namienieni stórěch pamiątk. Cziěj domocy oprzestowaja dbac o swoję pa-miątkę przėchódó cężyń. A dló niego ona nick nie znaczí, té on ję skazy i splėgawi.

CZŁOWIEK JAKNO LĘSTK Z DRZEWA

W niedzělę abo jiny swięto, przě dobri pogodze, na cerpisku sę roji od lědzy. Chtoś jidze zazdrzec, dze leži jego niedównó umarli znajomi. Chtoś jiny jidze odmówic zdrowaszkę abo wieczny odpocziwani. A chtoś jesz jiny jidze „tak so”, jakno hewo jō, bez przēcžěni.

Jō sóm, wolę so przinć na cerpisko w dzeń wszědny, robocy, to je w co dzeń. Nólępi w jesěni. Ni ma tej wiele lědzy, bo sedzą na polach i wěbiérāja bulwě abo są przě jiny roboce. Ocze moji bładzā po szaturach kržíw, aniołóv i jiněch zwěczajněch na smętórz sztołtów. Ale nie bładzā za dlugo. Móm ju taczí bržėdci nōlóg, že wszědze i wcyg muszě cos czėtac. Na-wetkę wieczór, cziěj zdaję na autobus, obžérāja sę za jakā lępā i wětržěszczāje slėpia. Nie bržėdžę sę tež nijak podniec ze zemi zmokli, otrzėpóny gazėtě, žłé mój wid trafi prawie na jaczí czekawi nōdpis.

Alę na smętórz ni muszě wějmac gazėtě z łaszě. Wokól je tēli do czėtanió. Zabówiac sę mogę rozmajice. Wczera zwózól jem leno na miona. Postrzegl jem téj, že

przódë, przed wojną, midze niewiastama bëłë w mó-dze Matildë, Klarë, Anë abo z knôpiczëch mionów wez-më na to: Klémens, Jan, Józef. A dzys, mészłł jem so, jaczi dzys miona nadówają mëmci swojim dziecióm? W nym, warna usadła na płoce i zaczę mie podkór-biac. Czùł jem wnet wirazno jak mie podpowiôdała: Marrek, Darrek, Czarrek, Jarrek... Szmërgnął jem kam w nipocą gałę i wëcygnął z taszë gazetë.

Dzys chodzę po smëtórzù i czëtaję nówwëska. Przódë na tóblëcach pomników pisało së: Posantske, abo Pokriffke a dzys: Posański, Pokrywko. Rozmiszlajë, co mogło znaczcë nówwësco Posantske? Ko jô w nim widzë jaczigos kaszëbsczigo „zëcka” abo kogos po „zëcku” a nie miasto Posań. Rozmiszlajë zôs nad Pokriffką. Wierë nie wzëło së ono od dekla ale oznôczac muszało nòprzód jaczigos człowieka pokrzëwionogo, krzëwigo. Në ale niech tima co krzëwią, abo koszlwią kaszëbsci nówwëska swięcy... miska grochu.

Jidë dali drózką westrzód grobów. Nie zdrzë ju na tóblëce. Na westrzódku drózczi plëta. Sadnë so na-prócëm plëtë, na łówce, zapólë cygaretkë. Po plëce plënie so, jakno malinczi czółen, uschlł lëst lëpowi. Wiater nim së zabówiô. Nëkô go tam i nazôd... Wnym, mocniësi wietrzëszczë poderwało go w górë i przesadzëło na sëchi mól a tój zanëkało do jinëch lëstków bracy. Tój zôs wiater-krëczëszk poczał nima wszëtëczima wëwijac w obarchniałim tuńcu a tój... rozdmuchnął po całim cëpisku.

Lëstë symbole. Wiele jazy razy na swiece chtos opiso-wôł jistny jakno ten tu hëjne, obrózczi z lëstama? Wiele razy chtos przërównôł lëstë do lëdzy? Bo ko

tëz one są përzne jak lëdze. Može lëste prawie mają człowiekowi przëbôczëwac, że on tëz rôz uwiednie, spadnie na ziemiã a tój zgnije? Ko człowiek oderwie së za czasë od drzewa z jaczigò wërôs. Odińdze od swoji społëznë, oderwie së od ni. Czasë stónie së to ju za zëcô. A drzewo jakno symbol ti społëznë stoi dali.

Zdrzë na drzewa. Lëstë z niego opôdają a ono stoi nòparto przëczëpli do rodnogo gruntu. Stoji szargóny wiatrë, biczewóny deszczë i popëcóny od grzëmó-tów i mrozu.

Në i cëz to je za drzewo? Jaz mie je dzywno, że ono së jesz nie zwrôcëło. Ko z wiëldzi i urodny lëpë, jaką wierë przódë bëło, dzys ju ostôł leno piën i je-den grëbszi poróg. A na tim zëwim përogu, tëz są ju widzec szeroczë pëklënë. Niëjedna wietew je ju tëz na nim uschlł a jiny są oblómóny, tam sam stopërczą na nim sëchi pëkle. U dółu poróg je obrosłi guczowatą mucą grzëba. We wëtëpiälëch dzurach wërôsłë buszny ze swoji cëzy urodë krze dzëwigo brzadu. Wësok w koronie uwiłë so swoji gniôzda gapë, a w ti dzurze, hëjne tam nizi, przë samim pniu wierë sedzą szëtapiërze abo može sowë.

Obzërajë së wkół i widzë, że z jinyma lëpama tëz je wszelejak. Hëjne tam na górce pod plotë ju lezi jedno drzewo spuszczone i pocëti na kloce. Bądze jesz z niego pozëtk. Može przëińdze jaczi artysta i wëbierze so lepszi kłoczi i wëkumô w nich figurczy i bądze potëmu przedówôł je na jórmarku. Može ten chto kupi so figurkë, postawi jë doma kole ksązk. A nòpëszniëszô figurka wierë trafi do Muzeum Ludo-wigo Kuńsztu.

Dziennik

Andrzej Grzyb

piątek

Jesienne dni i jesienne myśli bywają trochę sennie czy nawet nudne. To niż niesie ból i senność słów. Może i niż, mnie jednak nic bardziej nie rozkleja jak deszcz i grypa, którą mam z bardzo znacznym wyprzedzeniem, jak mawia moja żona, kiedy kichnie jeden Chińczyk i drugi – nie, tego ja wyprzedzę. Grypa, książki, przepracowane myśli i pidżamy.

późny wieczór

Ômy, purtki i przydrożne jałowce-strzygi ożyły. Książec wyjątkowo błady zawisł na sęku gwiazdy. Noona pogoda.

Grypa

Wiele razy pytałem sam siebie, w czym leży sekret sukcesu. Odpowiedź na to pytanie jest trudna. W każdym razie sukces nigdy nie jest kwestią przypadku. Podstawą sukcesu, jego ojcem i matką jest niewątpliwie praca. Praca sumiennie, precyzyjnie, celowo wykonywana do wewnątrz i na zewnątrz. O pełni sukcesu decyduje w pewnej mierze przypadek. W każdym razie przypadek może sukces dopełnić, dodatkowo wyeksponować.

Bez owego przypadku, czy raczej szczęśliwego zbiegu okoliczności, bywa, że sukces przychodzi za późno. Nie ma już twórcy, leż jest jego dzieło, jego sukces, uznanie wartości.

Dlaczego o tym myślę? Zawsze przecież trzeba pamiętać o Syzyfie. Ten jedyny w swym skomplikowaniu przypadek koże myśleć o pracy i sukcesie bardzo ostrożnie. Właśnie sukces jest szczególną nagrodą za pracę. Owszem, tworzą go ludzie, leż ludzie bywają omylni, tak jak greccy bogowie, jak herosi. Historia płata figle, niektórym pamięta czyni godne i wielkie, innym drobne łajdactwo wyolbrzymia nad znaczne zasługi. Bywa także, że kto inny tworzy, a inny odnosi sukces.

sobota

Przerazające i fascynujące, ależ tak właśnie można powiedzieć o tym wszystkim, co słowo to oznacza. Codziennosc Franza K., codziennosc Prousta i Joyce'a, prawdopodobne codziennosci, tyle ich ile ludzi. Każdy, sprawiedliwie, ma swoją.

Dlaczego tak bardzo pociągają mnie te osobliwie kulinarne? Po pierwsze ponieważ do dziś czuję ten smak, niepowtarzalny, utracony już ostatecznie zapach i smak potraw dzieciństwa. Po drugie, lubię do dziś dobrze zjeść. Jedzenie sprawia mi przyjemność. Oczywiście, nie objadanie się. Wprawdzie jestem chudy, leż jem dużo, a

potrawy, które wspominam, pociągają mnie do dziś i bywa, że tak długo szukam okazji, by je ponownie skosztować, aż spełnia się moje pragnienie, mój głód zadawniony. Po trzecie potrawy te przypominają mi bliskich i czas miniony. Czas? Nie, nie będę się już tłumaczył.

Kluski

W utarte ziemniaki odcisnięte z soku wbić jajko, dodać mąki, najlepiej żytniej, sól i to już wszystko. Ugnieść ciasto. Potem łyżką kłaść kluski na osoloną, gotującą się wodę. Gotować przez dobrą chwilę. Potrawę zalać mlekiem i już gotowa. Palce lizać. Część klusek można odcedzić i podgrzać na ten sam lub inny posiłek. Delicje. Ileż to razy jadłem kluski. Jadło się te kluski z ape tytem, bo to tanio i smacznie, jak mawiała matka; rano na mleku, wieczorem na słoninie. Po tak pozornie biednej kolacji jakże bogate były sny.

strona 308

Rozważania o sztuce. Wielkość przychodzi jak katar. Bywa niepowtarzalna, bywa bezowocna.

Sztuka to treść i forma, myśląc tylko o tym rozgraniczeniu można postulować i realizować ty siące koncepcji. Realizować realizm lub patrzeć inaczej, widzieć inaczej, przekształcać. To właśnie mnie pociąga. Powołać się na Boudelaire'a, na powinność artysty i na tysiąc innych. Może wszyscy mieli rację. Nie, rację mam ja.

Moje pierwsze czytanie Manna. Dyskusja o... filozofii? W drugim czytaniu była już w tej sprawie znaczna poprawa. Mimo to do końca Manna strawić nie zdołałem. Wyobrażam sobie jak solid nie umierał Hans Kastrop. „Czarodziejska góra” i jej nowy porządek, nie bardzo przecież odbiegający od (jakiegokolwiek) porządku (szpitalnego), w którym zawsze jest miejsce dla szarlatanów, odszczepieńców, epokowych szaleńców.

jeszcze kwiecień

Mając sobie za złe najmniejszą słabość, jesteś bezradny wobec tysiąca przypadłości, którymi obdarzyła cię natura. Bo i nic w tym dziwnego, że pragnienie ideału bywa spełnione tylko w bardzo niewielu przypadkach. I nic się tu nie da zrobić, nikt nie poprawi natury, nikt nie zmieni własnego losu, a jednak jest coś w człowieku, co stwarza pewną nadzieję. To siła charakteru, która nieugięte postanowienie zmienia w końcu mimo pozornych niepowodzeń, mimo morza trudności, w rzeczywistość.

Ileż mam do powiedzenia o ułomności ciała i charakteru. Wiele. Prawie wszystko.

Sztuka

Tylko prawdziwego artystę stać na to, aby w dziełach kolegów widzieć to co dobre.

Co pan powie o życiu!

Było piękne, szkoda,

Żal, że nie można tego powtórzyć.

Większość z naszych niby-doświadczeń to doświadczenia, czy raczej wiedza w jakimś stopniu zastłyszana.

Ostatnie dni darzyły doskonałą pogodą. Wiosenna krzątanina na polach dobiegła już końca. Uprawione zagony lśniły jaskrawą zielenią. W powietrzu miodna woń kusila na wyprawę ku nad rzecznym łąkom. Czola moren przykrywał ciemnozielony, sosnowy daszek, wsparty na brązowym ostrokołe. W takim to pejzażu objawił się diabeł.

Diabeł

Nie pamiętam już jakie były dokładnie okoliczności, które towarzyszyły tej chwili, gdy po raz pierwszy opowiedziano mi o tym diable. Wydaje mi się, że było to na rybach. Opowiadano, że w ukrytej w borach wsi, a właściwie na moczarach tuż przy wsi, ukazał się klusownikom diabeł. Ot, zażartowałem sobie, wreszcie jest na nich, to znaczy na klusowników, sposób. Dobry ten diabeł i należałoby go zatrudnić na pół etatu. I na tym skończyło się.

Nie. Po kilku dniach podczas obiadu, kiedy wszyscy domownicy rozsiedli się w dużej kuchni i z apetytem zajadali przysmaki Matki, sprawa odżyła. Matka miała zwyczaj przy stole serwować nam także świeże wiadomości. Wiadomo, nie pomawiając rodzaju kobiecego, a tym bardziej Matki o plotkarstwo, że kobiety wiedzą dużo i uważają za punkt honoru powtarzanie owej wiedzy. Tak więc dowiedzieliśmy się, że diabeł zaskoczył rybaków, rycząc i pędząc w ich stronę zmusił ich do ucieczki. Aby tajemnicze okoliczności dopełnić dowiedzieliśmy się, że zmierzch był bezksiężycowy i mglisty. Nie pamiętam już dlaczego zachnąłem się.

Minęło kilka dni. Tym razem mówiono, że to sum jest powodem całej afery. Podobno był nawet ktoś z miasta, by całą sprawę zbadać. A to dobre, już dawno naukowo nie tropiono diabła.

„I widzicie i nie”. Ta triumfalna opinia pogrzążająca całą szacowną naukę na wieki w piekle własnego zarozumiałstwa, wygłoszona przez sturównę w geesowskim sklepie, przypomniła mi o całej sprawie. W krótkim, chyba kilkudniowym odstępie, dowiedziałem się jeszcze, że to ptak przelotny, bekas chyba, potem jeszcze raz sum i sprawa ucichła.

Minął rok. Przejeżdżając przez wieś, zatrzymałem się, by kupić jajek. Właśnie tak, prosiła mnie o nie żona. Spytałem w pierwszej z brzegu zagrodzie, nie mają. W drugiej, trzeba iść, do tych o tam, gdzie studnia z daszkiem. Jajka są. Gospodyni poszła do izby, by je zapakować. Do sieni wykustykała staruszka i opowiedziała mi, jak to diabeł na moczarach wystraszył rybaków. Przy niej stał kilkuletni knôp i uśmiechał się.

Wracałem do domu z jajkami i przeświadczeniem, że ta opowieść przeżyje narodziny, sławę i zapomnienie niejednej solidnej powieści.

Pamiętam też innego kociewskiego diabła. Wierzbowego, jałowoowego, hulającego po drogach, czyhającego na ścieżkach. Bywa też diabeł, ten który mógłby być twoim wujkiem, trochę otyły, zawsze w kapeluszu, z nieodłącznym cygarem, przychodzi na skata, wypełnia izbę niesamowitym dymem i jakby metalicznym śmiechem. Stoisz za jego plecami, on stoi za twoimi, coś mówi, zawsze są to kuszące propozycje. Czy masz takiego „wujka-diabła”?

Pamiętnik (23)

Urszula Olszewska

18 sierpnia 1939 r.

Już lekko jesień pachnie... Lubię późne lato. Jest ono jakieś złote, dojrzałe i słodkie. Lubię pierwsze astry. I właśnie teraz jestem narzeczoną.

Józio już się doczekać nie może — ten mój głup-tasek, kiedy się pobierzemy. Będziemy wtedy mieszkać albo w Poznaniu, albo w... Toruniu. Chociaż co do tego ostatniego waham się trochę. Tam muszę być sama — w ogrodzie i na polach. Muszę być sama — dużo tam jest wspomnień związanych z Leonem.

Jestem w tej chwili obiektywną i przyznaję, że miały dużo czaru. Nie sądzę jednak, żeby „mój” Józio miał tam wprowadzić specjalnie duży dysonans, zresztą do tego czasu fabryka przejdzie w inne ręce.

Za kilka dni przyjedzie Leon. Mam zamiar powiedzieć Mu bohatersko, że jestem już narzeczoną.

21 sierpnia 1939 r.

Brat Józia Witold żeni się w przyszłym tygodniu. Mój mały naręczony będzie jednym ze świadków. Będzie wszystko doskonale widział i będzie jeszcze bardziej zły, że musimy tak długo na to czekać.

Wejść w bardzo liczną rodzinę, ale na szczęście Józio sam nie bardzo jest tym zachwycony i nie trzeba się będzie z nimi dużo stykać.

Ale też sobie zmartwienia robia, prawda?

24 sierpnia 1939 r.

Mobilizacja!!!

Od samego rana masy nowo zaciągniętych wędrują odprowadzane przez płaczące rodziny na dworzec. „Inteligencja” pakuje manatki i na zbity łeb wynosi się z zagrożonych terenów.

My zostajemy.

Wszędzie widzi się ludzi z olbrzymimi pakami żywności. Ojciec też już przysłał świece i zapalki oraz nieco cukru i kawy. Jawny dowód, że nie zginiemy.

Taka cudowna pogoda, takie słodkie, ciężkie lato, a tu widmo wojny. Boję się o Józia. I Jego, jak miliony innych, wezmą do wojska. Kochane moje słoneczko...

Wejherowo, 25 sierpnia 1939 r.

Napisałam dziś do Józia mój przedśmiertny list... Sama się dziwię, że mi się jeszcze chce żartować.

Miasto prawie że wyludnione. Wszyscy z dnia na dzień czekają wybuchu wojny. Wujek przyjechał dziś po Włodka. Obawiał się, że nie będą mogli wrócić przez Gdańsk. Gdyby tak było, musieliby iść pieszo do Kartuz i stamtąd dopiero pociągami.

Nie się człowiekowi robić nie chce. Tyle mam drobniaków, do których przywiązałam się. Taka jestem młoda i taka przywiązana do życia. Tak bardzo bym chciała, aby był spokój i tak bardzo chcę żyć...

Jak bajka przedstawia mi się rok spędzony w Poznaniu. Tak było słonecznie, tak cudnie, tak dobrze z Józkiem. Wcale mi się wierzyć nie chce, że to rzeczywistość była, a nie sen. Jestem zrezygnowana, ale mimo to zawsze coś się we mnie buntuje — to nie zrezygnowało prawo do życia, do używania młodości, prawo do miłości i szczęścia. Kocham Józia.

Wejherowo, 1 września 1939 r.

O godz. 5-tej rano rozpoczęła się wojna z Niemcami!

2 września 39 r.

Mieliśmy dwa naloty samolotowe po południu i nad ranem, które na szczęście nie wyrządziły żadnej szkody. Ryk syreny zwiastującej zbliżanie się nieprzyjaciela, robi wstrząsające wrażenie. Nerwy, nerwy...

3 września 39 r.

Anglia i Francja wypowiedziały dziś wojnę Niemcom. Istnieje ewentualność wmieszania się do niej kilku jeszcze państw. Czyżby druga wojna światowa?

Pomorze przez wojska niemieckie odcięte od reszty Polski. Nie mamy gazet, ani listów. Składy prawie wszystkie zamknięte.

4 września 39 r.

Bardzo dziś blisko słychać armaty i karabiny maszynowe. Od 4-tej rano do 7-ej przelatywały nad miastem nisko samoloty nieprzyjacielskie. Hel i Gdynia były bombardowane zaraz od samego początku wojny.

Jesteśmy odcięci. Józio nie wie, co się ze mną dzieje. On jest tam na razie bezpieczny, ten mój „mały”.

Jestem przekonana, iż wszyscy sądzą, że nasze miasteczko zapoznało się już z bombami nieprzyjacielskimi, bo jesteśmy tak blisko Gdyni. Na razie dosyć tu jeszcze spokojnie, jednak nie jestem na tyle optymistką, aby twierdzić, że nic nie dostaniemy.

Tyle od nas, krewnych i znajomych, poszło do wojska. Józio jeszcze na pewno w domu. Pójdzie we wrześniu, w połowie. Modlę się codziennie, aby się Jemu i wszystkim nic nie stało.

6 września 39 r.

Dziś samolot nieprzyjacielski, lecący nisko nad miastem był ostrzeliwany. Nawet w schronie, w którym siedzieliśmy, słyszało się wyraźnie grzmot nieustanny karabinów maszynowych i dział przeciwlotniczych.

8 września 1939 r.

Cały dzień krążyły samoloty niemieckie nad miastem. W lasach okolicznych wojsko polskie ostrzeliwuje nieprzyjaciela. Chodzi o Wejherowo. Zdaję sobie sprawę z tego, że chwila jest decydująca.

Wieczór.

Wojska polskie wycofują się. Przez okno widziałam, jak szli przez miasto nucąc: „Wojenko, wojenko, cóżes ty za pani?” Biedni chłopcy.

Masy ludności cywilnej wyszły z wojskiem z miasta.

9 września 1939 r.

O godz. 8.50 wojska niemieckie zajęły Wejherowo. Chorągiew ze swastyką powiewa nad starostwem i magistratem. W starostwie urzęduje już nowy „landrat”.

14 września 1939 r.

Znów jedna chwila w życiu, której nie zapomnę tak prędko. Zajęcie miasta przez wojska niemieckie. Ranek był chłodny, z lekka omglony. Na ulicach pusto. Z głównej ulicy (dziś „Adolf Hitlerstr.”) wyjechały dwa samochody pancerne. W każdym z nich

siedział jeden oficer i kilku żołnierzy z karabinami nastawionymi na wysokość drzwi i okien. Ale w mieście nikt nie strzelał. Wszystko ucichło... Samochody zniknęły mi z oczu i na tle omglonej ulicy pojawiły się patrole piesze.

Jakże bardzo się teraz miasto zmieniło. Nic prawie już nie przypomina dawnego, dobrodusznego Wejherowa. Natomiast jest Neustadt. Czy wiecie, kto jestem i gdzie mieszkam? Otóż: jestem „Fräulein Ursula Olszewski, Neustadt, Schönwalderstr. 3 Deutschland”.

Wszystkie polskie napisy zostały zdjęte i zamazane, na ich zaś miejsce pojawiły się szyldy niemieckie. Liczne chorągwie ze swastyką całkowicie zmieniły wygląd miasta.

Mam zamiar stąd po pewnym czasie wyjechać. Bezwarunkowo i stanowczo. Do Poznania i do Józia. Do Józia... Mój Boże, co też ten mój kochany chłopiec teraz robi? Czy wzięli Go do wojska? Czy jest zdrowy? Nic nie wiem. Jedno jest mi tylko wiadome, że kocham Go niezmiennie, głęboko i żążyć będę do tego, aby być blisko niego. Boję się o niego, bo nie umię mówić po niemiecku. Ale chyba Bóg nie dopuści do tego, aby Mu się coś stało?

Wojna trwa dopiero 14 dni, a mnie się wydaje, że wieki całe minęły od jej wybuchu. Moje jasne wakacje w Toruniu wydają mi się nieprawdopodobne. Nie mogę sobie wyobrazić, że można było studiować w Poznaniu. A już to, że byłam razem z Józkiem, że nam tak dobrze było razem, snem się wydaje. Jakże mi dobrze było, gdy słyszałam Jego trzykrotny dzwonek u drzwi.

Śledziłam słuchem jak wieszal płaszcz w szafie, jak przechodził jadalnię, korytarz i stukał do drzwi mego pokoju. A potem wchodził już bez pukania, bo był mój, mój! Gdy siedziałam przy biurku, podchodził i całował mnie w szyję i w usta, gdy odwróciłam głowę. Gdy leżałam na kanapie, siadał obok mnie, brał za rękę i pytał pieszczotliwie: „Co jest bachorkowi? Żle się czuje?”

Innym znów razem sama podbiegałam do niego, zarzucałam ręce na szyję i przytulałam się z całej siły. On okrywał mą twarz pocałunkami i było nam dobrze, nieskończenie dobrze. A wieczorem przychodził powiedzieć mi „dobranoc”. To były chwile nasze, tylko nasze. Dwoje ludzi kochających się bez zastrzeżeń i — ograniczeń. Byliśmy sobie wtedy tak bliscy, zarówno duchowo, jak i... Jestem zdecydowana wbrew całemu światu wyjść za Niego! Kocham Go i to powinno wystarczyć. A opozycja będzie. Dość nawet silna w postaci własnego Ojca. Ale dam radę. Przekonam Ojca, a jeśli tego nie dokonam, będę musiała wyjść za mąż wbrew Jego przekonaniu. Trudno!

14 września 1939 r.¹⁾

Jak można było zaczynać wojnę wiedząc, jaki jest stan naszej armii? Jak można było twierdzić, że jesteśmy „silni, zvarci, gotowi”? Jak można teraz z uporem odpowiadać, że „walczyć będziemy do ostatniej kuli i ostatniego żołnierza”? Jak można było tylu ludzi dać zabić i tylu unieszczyć! Jak można było? Nie rozumiem i pełna jestem nienawiści.

Zburzyli moje szczęście, a w najlepszym razie uczynili je odległym i wątpliwym. I tyle, tyle innych mniej lub więcej wielkich nieszczęść. Nie rozumiem i pełna jestem nienawiści!

Dziwię się teraz na przykład, jak mogłam chociaż na chwilę, będąc w Poznaniu, rozstać się z Józkiem? Jestem przekonana, że teraz nie opuściłabym Go ani na chwilę. Obawiam się nawet, że trzymałabym Go za rękę, żeby wiedzieć z całą pewnością, że jest przy mnie. Jedno jest dla mnie w tej chwili pociechą, że przed tym wszystkim zaręczaliśmy się. Jest to wieść, która daje pewność, że będziemy się szukać i chyba znajdziemy.

To byłoby okropne, gdybyśmy się tak „rozlecieli” bez tej pewności, że się kiedyś złączymy, na zawsze. Na zawsze — tak chcę, tak bardzo chcę.

...Stałam na balkonie i czekałam na Józia. Słońce świeciło przez gałęzie drzew i jasnymi plamami kładło się na ścieżkach parku. Basen lśnił w słońcu. Było mi dobrze. Nagle zobaczyłam Józia, jak skreślił na naszą ulicę. Patrzy do góry i posyła mi ręką pocałunek. Jest mi dobrze, jasno i szczęśliwie. Po chwili wchodzi do mego pokoju i zaraz na wstępie mówi:

„Taka dziś piękna pogoda. Przejdziemy się wieczorem nad Wartą, chcesz?”

„O, chcę.”

Latarnie już są zapalone, gdy wychodzimy na ulicę. Józio bierze mnie pod rękę i idziemy Placem Bernardyńskim, skręcamy na ul. Raczynskich, gdzie pachną lipy. Z głowami podniesionymi do góry wachamy lipy i śmiejemy się jak dzieci, że to śmiesznie wygląda.

Nad Wartą jest chłodno i wilgotno. Siadamy nad brzegiem i patrzymy na drugi brzeg. Rezultatem podobnego spaceru jest prawie zawsze powiększenie migdałów i wyrzuty sumienia Józia, że pozwolił mi siadać na ziemi.

Chodzimy po jakichś wertepach, gdzie wiatr wieje niemiłosiernie i gdzie Józciu z tego powodu nie może zapalić papierosa. Wracamy znów aleją pachnącą lipami. Wchodzimy na trzecie piętro. Jestem już mocno zmęczona i Józciu strofuje mnie jak małe dziecko, że to niby mogłam powiedzieć, że jestem zmęczona. Cóż, kiedy mi tak dobrze było iść przy nim. Wchodzimy do „naszego” pokoju i Józio przez długi czas nie wypuszcza mnie z objęć, bo „nie mógł mnie przez tak długi czas całować”. Kochany bachorek!

„A teraz kładź się przedziutko. Za dziesięć minut przyjdę powiedzieć dobranoc.”

„Piorunem” załatwiam swoją toaletę wieczorną i wskakuję do łóżka. Przykryta kołdrą po samą głowę uśmiechem witam wchodzącego Józia. Jest nam dobrze, jasno i szczęśliwie.

Jest mi źle bez Ciebie, Maleńki.

18 września 1939 r.

Gdy Ciebie coś boli czuję to tak, jakby w nas jedno biło serce.

24 września 1939 r.

Jedna tylko szyba, a już cały świat.

Twoja twarz, liść kasztana i niebieskie niebo.

Jedna tylko szyba — i już cały świat.

I nie chcę innego.

Janina Welke Siwkowska

Zdaje mi się, że się nam będzie dobrze powodziło... W Niemczech... Śmiać mi się chce. Można było urządzić sobie raj na ziemi mając te pieniądze w Poznaniu.

Chcę mieć motocykl!

Nic się teraz nie dzieje u mnie. Teraz dopiero widzę, jakże miałam bogate życie. Dziś nudy, zastój, nuda, bezruch i tak bez końca. Wygrzebuje więc z popiołów przeszłości niedalekiej rozżarzone węgielki wspomnień i dmucham na nie i przybierają znów żywe barwy.

Był wieczór w moim pokoju. Byłam zmęczona świeżym powietrzem i przechodzką i leżałam z zamkniętymi oczami. Józio pochylony nade mną muskał delikatnie wargami moje włosy i oczy. Oplotłam Mu szyję ramieniem i zbliżyłam Jego usta do moich.

— Szula! Cudnie wyglądasz... Jak mały, kochany dzieciak i jak kobieta... Jesteś śliczna i kocham Cię.

Józio ma chłodne i wilgotne wargi. Silne ramie podłożył pod moje plecy i trzyma w ciepłym uścisku. Jest mi tak dobrze, tak bezpiecznie i sennie.

— Masz po pocałunku rozchylone usta, jak byś nie chciała go spłoszyć. Wyglądasz tak cudownie.

Przeciągam się w Jego ramionach. Wiem, że wyglądam ładnie i cieszę się z tego, bo to dla Niego.

Przytulałam się blisko i zasypiam. Józio naciąga mi kołdrę po szyję, całuje w czoło i mówi:

— Pa, bachorku, do jutro.

— Dobranoc.

Takie to były jedyne, kochane wieczory.

¹⁾ Data powtórzona.

5 października 1939 r.

Żyje teraz człowiek z dnia na dzień, zagrzebany w beczynności po uszy, spędza czas na rekordowym obżarstwie, bo to „potem nie będzie” i nudzi się. Stałam się apatyczna i chyba bomba, upadająca na nasz dom, obudziłaby mnie dopiero.

Polska już należy do przeszłości. Mówiąc o Polsce fizycznej. Wojna u nas skończona, trwa jednak między Niemcami z jednej, a Anglią i Francją z drugiej strony. Będzie się nam dawała dobrze we znaki — obawiam się.

13 października 1939 r.

Tak, niewątpliwie, dużo ludzi poległo, ale nie wszyscy, dużo także wróciło. Wobec tego dlaczego by Józiovi się coś stać miało?

W Wejherowie jeszcze żadnemu porządному człowiekowi nic się nie stało. Wobec tego Józiovi też nic się stać nie może. Tona, chociaż był w „piekle hel skim”, żyje. Wobec tego Józio jest zdrowy. Oto logika leku.

Studia diabli wzięli! Złe? Dobrze? „Nie ma tego złego” itd. Wyjdę bowiem prędzej za Józia, albo zdążyć się gruntownie przygotować do mego nowego zawodu.

21 października 39 r.

Słońce, słońce! Józio napisał!

Wywędrował głuptas aż pod Kłodawę i przez miesiąc nie było Go w domu. Dobrze, że wtedy nie można było pisać, bo tylko martwiłabym się niepotrzebnie, a tak stoję już przed faktem dokonanym i jest dobrze.

23 października 1939 r.

Pierwsze nieszczęście.
Alfons poległ pod Kutnem.

26 października 1939 r.

Witold jest ranny i znajduje się w obozie koncentracyjnym.^{*)} Bogu dzięki, że przynajmniej żyje.

1 listopada 39 r.

Taki zastój, taka nuda panuje teraz w moim życiu, że po prostu pragnę już zmiany nawet w postaci pracy w Niemczech.

Ojciec zawsze już pragnął, żebyin pracowała później w dziedzinie, związanej z Jego zawodem. Teraz więc prawdopodobnie będę studiowała, krótko zresztą, w dziedzinie chemiczno-lekarskiej, a potem będę pracowała w szpitalnym laboratorium. To by mi nawet odpowiadało, bo nie znoszę tylko teorii i długich studiów. Posady takie są podobno dobrze płatne (tak mówi Ojciec), a mam zamiar oszczędzać na „życie przyszłe”.

Żeby tylko nie było tych nudów, tej zabijającej inteligencję i indywidualizm beczynności. Z drugiej znów strony jestem pewna, że czasem będę z żalem wspominała obecne czasy. Taka już jestem „pomyłona”.

2 listopada 1939 r.

Sama nie wiem, jak się to stało, gdy nagle wspomnienie fizycznym wprost bólem targnęło moim sercem.

Było to w dniu imienin Józia. Nazajutrz miałam wyjechać do domu na wakacje wielkanocne.

Późnym wieczorem wyszliśmy jeszcze z Józiem odprowadzić gości. Powietrze było mroźne, niebawem zaczął padać śnieg. Towarzystwo nasze oddaliło się od nas znacznie tak, że zostaliśmy z Józiem i Zdzisiem Norkiem daleko w tyle. Było nam bardzo wesoło. Postanowiliśmy odprowadzić Zdzisia do domu. Koło Zamku wpadł Józiovi pomysł do głowy, aby Zdzisia odwiedzić sankami do domu, tym bardziej, że

słaniał się lekko na nogach. Gdzieś koło Przecznicy zobaczyliśmy stojące sznurem sanki. Wsiadliśmy ze śmiechem i w końcu zajechaliśmy w jakąś małą uliczkę, gdzieśmy naszego towarzysza wysadzili. Tacy byliśmy wszyscy „rozpuszczeni” i zamroczeni, że gdy na pożegnanie Zdzisiu pocałował mnie w policzek, każdemu z nas wydawało się to rzeczą naturalną.

Sanki zawróciły, Zdzisiu brodził w śniegu do drzwi swego domu, a my jeszcze z sanek upominaliśmy go, żeby szedł wprost do domu i nie wstępował gdzieś do jakiegos szynku „na dobranoc”.

— Wiesz, Szula? Jutro już wyjeżdżasz. Będziemy tak długo jeździli, jak długo nam starczy pieniędzy, chcesz?

— Wspaniale! W domu każde z nas musiałoby pójść zaraz do swego pokoju, a tak będziemy przynajmniej dłużej razem, prawda?

I jechaliśmy przez uśpione i ośnieżone ulice, a woźnica miał nas zapewne za wariatów. Lecz cóż nas to mogło obchodzić? Trochę było zimno i ostatecznie nie obyło się bez przygody w postaci wywrotnego konia. Czy ten woźnica domyślał się, że się za jego plecami całowaliśmy? Chyba tak, bo cóż mogą tacy młodzi pasażerowie, jadący nocą po mieście, innego robić?

Wokoło nas była taka prawdziwa, marcowa noc. Nieprawdopodobnie cicho i wprost bajkowo pięknie. Pola na Sołaczu miały wygląd szaro-błękitny. Miasto zasypane było śniegiem i wszędzie cisza. Ulice puste i tylko światło latarni stanowiło jedyny jasny punkt na szaro śnieżnym tle ulicy.

O czwartej nad ranem zajechaliśmy przed dom. Ostatni pocałunek w drzwiach mego pokoju przypieczętował tę rozkoszną eskapadę.

A nazajutrz pojechałam do domu, ale przecież wróciłam. A teraz?

Czyżby to było przecucie, że widzieliśmy się tyle razy „nadprogramowo”? Razem jechaliśmy do Koronowa na „duże wakacje”, spotykaliśmy się w Koronowie. Potem Józio przyjechał nad morze i do nas, i tu zaręczyliśmy się.

Czyżby to wszystko razem wzięte miało być za-dosłuczynieniem za terazniejszą, długą rozłąkę? Dało mi dużo szczęścia, ale teraz jest tylko wspomnieniem, a ja chcę szczęścia zawsze...

10 listopada 39 r.

Po raz pierwszy widziałam z bliska okopy. Szliśmy po owoc do Ustarbowa. Po drodze przechodziliśmy przez linię frontu. O takich rzeczach słyszało się zawsze tylko w opowiadaniach z wojny światowej. Teraz zobaczyłam wszystko na własne oczy.

Wzgórza pocięte pasami okopów. Rozkopana ziemia w miejscu, gdzie stały armaty i karabiny maszynowe. Baraki zbudowane z belek i liści w celu obrony, a raczej w celu zamaskowania się przed samolotami obserwacyjnymi. Byłam w siedzibie sztabu. Jak się to szumnie nazywa, a to był zwykły podkop, podparty potężnymi słupami z wejściem w postaci rowu i ze szeroką szczeliną na obserwację. Po drodze widzieliśmy dwa groby żołnierzy polskich. W lesie dużo drzew strzaskanych albo zgola ściętych.

Teraz wszystko spokojne, ale jakby po gwałtownej burzy.

Nawet tam, chodząc po okopach, nie mogłam sobie wyobrazić ze zwykłą jasnością, jak właściwie taka bitwa wygląda?

Okopy z jednej i z drugiej strony. Dobrze. Armaty, c. i lkm-y przygotowane. W porządku. Z jednej i z drugiej strony żołnierze. I co? Strzelają? Jakże? Przecież to ludzie?

I o ten humanitaryzm rozbija się całe rozumowanie.

11 listopada 39 r.

„Przyływy i odpływy” uczucia w miłości do Józia mają miejsce tak samo, jak w moich przelotnych sympatiach. Co to znaczy?

Poza tym myślę czasem, że On sobie spokojnie siedzi w domu, podczas gdy inni walczą, a teraz siedzą w obozach. To daje dużo do myślenia, ale ja nie chcę myśleć. Nie chcę wywoływać wilka z lasu. Przecież więzienia są w Poznaniu także.

^{*)} Chodzi zapewne o obóz jeniecki.

— Za — nie wiem już ile — dni skończę lat dwadzieścia. Otwieram szerzej z przerwania czy i wierzyć mi się nie chce. Dwadzieścia lat!

— Czy to źle? — spyta ktoś.

— Tak, tak, źle! Rozpaczliwie i boleśnie. — Chce mi się krzyczeć. — Taki cudny okres życia, a ja co?! Co robię? Gdzie jestem?

Wiosna mojego życia — słowa nabrzmiewają goryczą i żalem. Wiosna mojego życia — myśli krzyczą i szarpia się bunt. Nie chcę. Zbyt pięknie przedstawiałam sobie ten okres życia i teraz pokutuję. Chciałam miłości. Ale nie takiej dalekiej, bolesnej, o niepewnym jutrze. Nie takiej raniącej tęsknoty bez nadziei.

Mam chęć stanąć gdzieś, gdzie mnie wszyscy zobaczą i usłyszą. Ja chcę miłości bliskiej. Ja chcę miłości, która pozwoli mi przyculić się i zapomnieć. Ja chcę ręki, która jest mocna i pewna, pieszczotliwa i kochana, abym się na niej oprzeć i całować mogła. Ja chcę — Boże, czego ja bym chciała! Ale czy to trochę miłości, to już tak dużo? Przecież w zamian za to rezygnuję z prawa do bogactwa i z wszystkiego co mi na wet na myśl nie przychodzi.

Buntuję się. Z całego serca. Ale to jest bunt bezsilny i to jest najgorsze.

Czasem, gdy rozsądek dochodzi do głosu, stwierdzam, że nie powinnam narzekać. Pisząc to, myśl moja górkę się uśmiecha. Nie mam co narzekać. Naprawdę.

Ale — mam zamiar być rozsądną. Innym wzięli mieszkania — nam nie. Innym wysiedlili — nas nie. Bliscy ich siedzą we więzieniu — u nas nikt. No? Czy nie doskonale? Właśnie. Tego mi za dużo — tamtego niedostaje. Wszystko na opak.

Jestem teraz zawsze zdenerwowana. To dzięki tej wiecznej niepewności. Scyszę z Ojcem na porządku dziennym. Dawna harmonia nie zaistnieje nigdy.

Często wracam teraz myślami do dawnych znajomych. B.) na pewno po wojnie osiedli się we Francji. Tam da sobie radę. Leon albo w obozie koncentracyjnym, albo... Nie, w to mi się wierzyć nie chce. Každy inny, tylko nie on. On był zbyt młody, zbyt silny, zbyt żywotny. Żałowałabym Go szczerze.

Tak mi dzisiaj myśli po głowie skaczą, jak zające i ich polapać nie mogę. A jedna z nich jest taka... Jeśli Ojciec w żaden sposób nie będzie się chciał zgodzić na ślub z Józkiem, to albo skapituluję (z Ojca), albo — owszem — zgodzę się na kogoś innego, pod tym jednak warunkiem, że zastrzegę sobie, iż pomimo wszystko będą się spotykała z Józkiem w dalszym ciągu (trochę amormalne, ale nie szkodzi), będą do Niego jeździła i pisywała listy, słowem — mój mąż będzie mu siał zgodzić się przed ślubem na to, że będę miała kochankę. A czy się taki głupi znajdzie? Śmiem wątpić — wobec tego kapitulacja.

Mam dość, psiarew!

(Cdn.)

*) W pamiętniku podano nazwisko.

Wspomnienia z młodości

(dokończenie)

Anna Łajming

Rano po dzwonku wyskoczyłam z łóżka i podszłam do okna. Wszędzie stały kałuże, deszcz musiał pluścić przez całą noc. Ochłodziło się. Szumiał silny wiatr, kolebały się wysokie drzewa w parku.

W biurze trudno mi się było skupić. Słyszałam nieustanny tunkot młockarki w stodole i gulgót indyków. Na podwórzu krzątała się żona dojarza, która aż kulała pod ciężarem pełnego wiadra. Cieśla już podniósł szkielet dachu szopy, na którym powiewał kolorowy wieniec. Jednak szef, choć często spacerował po rozległym podwórzu, nie zwracał uwagi ani na cieślę ani na szopę. Toteż kiedy Tchórzewski wszedł do biura, cieśla jakby tylko na to czekał, wśliznął się za nim. Chodziło mu o „dziada”, ewentualnie o jeszcze jedną zaliczkę, które wysyłał rodzinie, a które na zlecenie dziedzica przekazywane przez Tchórzewskiego wypłacałam. Ale tym razem rzadca obojętnym głosem powiadomił cieślę, że dziedzic zrezygnował z dalszej budowy. Resztę należności wypłaci sekretarka.

Cieśla stał przez chwilę nieruchomo jak słup. Na jego bladej twarzy wystąpiły krople potu. Podszedł do biurka i wilgotną ręką podpisał odbiór należności i wyszedł bez słowa.

Zawsze kiedy zabrzęczał telefon podnosiłem słuchawkę z biciem serca. Tym razem dzwonił rotmistrz Sokołowski, a że głos miał podobny do Łajminga, zadyskontowałam. Sokołowski prosił, abym zapytała szefa, czy ma ochotę na brydża?

— Sikorski wrócił wczesnym rankiem z Sopotu i na pewno jeszcze śpi — powiedziałam. Sąsiad chwilę pomilczał, jakby się bardzo zdziwił i prośby nie kazał powtarzać.

Następnego dnia w czasie młocki usłyszałam piekielny wrzask. Ujrzałam zbiegowisko, a po chwili wprowadzono do biura jednego z robotników. Miał

pokrwawioną kuszulę na plecach. Z młockarki wyskoczył kamień i zdarł mu skórę na łopatkę. Zdjęto z niego kuszulę. Ranę obmyłam wodą utlenioną, przyłożyłam gazę i zabandażowałam plecy tak, jak mnie kiedyś uczono w szpitalu. Ohłop poweselał i poszedł do domu.

Kiedy wieczorem wychodziłam z gabinetu szefa spotkałam się z panią Sikorską. Wiedziała już o wypadku. Powiedziałam, że rana była powierzchowna więc ją opatrzyłam, gdyby nie było mu lepiej, zawsze może zabrać się z mleczarkiem do lekarza.

Dziedziczka wysłuchawszy mnie, zdziwiona zapytała zniżonym głosem:

— To pani opatrzyła mu ranę?

Chciałam powiedzieć, że w szpitalu widziałam już obnażonych mężczyzn do pasa, ale tym bym tylko pogorszyła sprawę, więc milczałam.

Szefowa obrzuciła mnie takim wzrokiem, że aż poczułam zimno na plecach.

Deszcz przestał padać dopiero po paru dniach. Zaświeciło słońce i w któreś słoneczne przedpołudnie był telefon z Torunia. Dzwonił Łajming, a ja nie mogłam mu dać konkretnej odpowiedzi. Prosiłam jeszcze o parę dni namysłu.

Za trzy dni była niedziela. Dowiedziałam się, że Łajming przebywa w Gnieszewie u Sokołowskiego, który znając jego rodzinę jeszcze w młodości, opiekował się nim. Aby wyprowadzić wszystkie księgi na bieżąco, w to niedzielne popołudnie także pracowałam. I wtedy usłyszałam galop koński. To przyjechał na koniu Łajming. Zmieszałam się okropnie. Byłam w codziennej sukience, gorączkowo porządkowałam w nieładzie włosy. Ale on niczego nie zauważył. Rozmawialiśmy bardzo długo zanim wyraziłam zgodę na małżeństwo. Natychmiast powiadomił mi o tym pana Sikorskiego. Chodziło o dwa dni

urlopu dla mnie na wyjazd do rodziców. Szef złożył nam gratulacje. Pani Sikorska postanowiła uczynić to, jak się wyraziła, dopiero po powrocie od moich rodziców, co miało nastąpić w następną niedzielę.

O wszystkim doniosłam rodzicom i już w czwartek otrzymałam odpowiedź. Mama pisała:

„Teru ma wieme, czemu te tak rzodko piszesz. A nic nie napisałaś co to za jeden ten twój kawaler i co on robi? Le to, że teru, czej mosz tako fejn robotę, chcesz się żenic. A czemu tak chutko? Zebe le nie boł pijok? Bo pijok to je bijok! Okunka Florian też się chutko ożenił i jak mu szło? Młynorz ich oboje wywałoł ruten, a że ni mieli gdzie isc, ze zmortwienia le głowa mu zabolala i umarł. Okunków nawet nie jechali na pogrzeb, bo to bolo dalek a bana je drogo. Piszę ce to na ostrzege. Tak to je, jak człowiek chwyto dwie sroci za ogon. To se tak letko mówi: ożenic. Ale z czym? Landowskich Łucja ju szła na szterdziesiątkę i do żenioci się nie kwapiola, a jeno fejn chłopca dostała i do Chojnic się ożeniola. A ta Leosia Windelec, co tak naszygo Janka chcala, ożeniola się z tym młodym Sisielą z Poloszką; jeno aż na Półmack, gdzie ten Murawiec sedzy, bo gdzie dzys młode ludze mają mieszkac? Dłotego rób co chcesz, jes staro dosc. Wszetoci się żenia, żeń się i te Leno zebeś się dobrze statkowała. Bo wuj Albert z Wilczewa z Józefką, co u niego służola, mo nieszlubne dzecko. Ksadz go doł wołac, ale on nie szedł. Piszę ce to na ostrzege, zebeś wiedzola, co se może taczimu dzewusowi przedarzec. Alfons przedoł porę funtów miodu, zebe sobie kupic cos na skórę, głępi bies, kupioł sobie mandolinę. Teru le wiedno brzdąko a mnie to nerwuje. Janek jesz z inszyna knopami nareszce wepsnał się do tój Gdyni i pisił, że miol szcześnie dostac robotę. Wiele przejechało nazód. A ten stolorz z tym jednym oczem, co to od nos do mlyna szedł, miol się żenic z tą kulawą Berto, ale jak do tego przeszło, ona go raptownie nie chcala, bo se nameszola, co ze sobą chce dwoje starych ledzy? Ona kulawo a on ślepi. A ta Franciszka Somionczono z Kaszube zaru po pogrzebie obzerala się za chłopem, bo co to je za gburstwo bez chłopca? I prowde mo. A tak jesme zdrowi, le Agate mnie je żol, że leży i nic ji pomoc ni mogę. I jesz mnie w głowie nurtuje, co to może bec za jeden, ten twój? Na banę po ciebie przejedze Alfons a nie tata, bo koń ju se dziebło ulagodził a tata ju nie je taczim flink jak downi”.

Do domu wyjechałam w sobotę sama. Wówczas młodym ludziom nie wypadalo jeździć razem, zresztą mój przyszły mąż przebywał w Gniszewie i miał przyjechać dzień później. Po drodze, w Tczewie zrobiłam jeszcze zakupy. Na ul. Hallera kupiłam u modystki letnią czapeczkę do jasnego płaszcza i sandały. Odwieczną pilotkę i czarne, zamszowe czółenka kupione niegdys w chojnickim lombardzie, mogłam nareszcie wyrzucić.

Na peronie w Lubni powitał mnie Alfons. Konia zostawił w zajeździe u Turowskiego, skąd nie widział przejeżdżającego pociągu. Alfons rozmawiał i patrzył na mnie inaczej niż przedtem. Był w czarnej, gumowej pelerynie i kiedy wiatr zawiął peleryna się nadeła, koń się spłoszył i zaczął się szarpać.

Kiedy zajechaliśmy przed dom na progu pokazała się ciocia ze łzami w oczach. Pokazałam jej wianek na głowie i pierścien na palcu, a ona uśmiechnęła się rzewnie i serdecznie mnie uściśnęła.

Rodzice wprowadzili mnie do drugiego pokoju, gdzie musiałam się wypowiadać. Kiedy mama między innymi zapytała, czy aby on jest dobrym katolikiem, powiedziałam takim bezdusznym głosem, jak Tchórzewski, cieśli o skończonym zarobku, że nie jest katolikiem a prawosławnym. Mama chwyciła się za głowę i zrobiła ruch, jakby chciała wstać, została jednak, spłotła dlonie i zmartwiona zaczęła narzekać na wyraźny palec boży.

— A bodej bes tam z twoimi fizmatentami! — warknął ojciec i machnął ręką.

Mama była zniechęcona i odeszła do kuchni, a ja długo i serdecznie rozmawiałam z ojcem o mojej pracy, o dobrych pracodawcach i o tamtejszej uro-

dzajnej glebie. A kiedy ojciec na chwilę się zamyślił, zauważyłam u niego mocne oznaki starości: był szpakowaty i lekko przygarbiony; z piersi razem ze śmiechem wydobywał mu się ochryply świst, jak niegdys Heringowi...

Na drugi dzień w niedzielę pojechałam z Alfonsem po gościa na dworzec. Po przywitaniu się, pierwszym jego pytaniem było, czy rodzice nie są przeciwni naszemu związkowi. Czułam, że mój przyszły mąż jest jakiś stremowany. Serdecznie przywitał się z Alfonsem. Cieszyło mnie, że gość zachwycał się okolicą, w której wyrosłam, starym kościołem w Lesnie i pachnącym sosnowym lasem.

W Parzynie na przywitanie gościa wybiegł z domu ojciec ubrany uroczyście w jaskółkę i wąskie spodnie. Nabral nawet jakiejs gietkości i żywo wprowadził nas do domu, gdzie przedstawiłam mojemu przyszyłemu mężowi matkę.

Podczas ogólnej rozmowy mama więcej milczała, patrzyła z ukosa, jakby mu nie dowierzała. Siedziała nachmurzona, a jej twarz przypominała mi wujka Edla. Mój przyszyły mąż przypuszczał, że była mu nieprzychylna. Dlatego rozmawiając z ojcem o bieżących sprawach, niespokojnie zerkał na mnie i drgnął nerwowo, kiedy zegar wybił godzinę. Wtedy mama bez przeproszenia wybiegła do kuchni, by przygotować obiad.

Na domiar złego do kuchni weszła zrozpaczona Rekowska. Otrzymała od księży Palotynów z Krakowa podziękowanie za przesłaną im ofiarę, a ona nic o tym nie wie. Wysłała tylko ostatnią ratę za centrufę. Mogła popłacać blankiety i wysłać blankiet za książeczki misyjne, które dostarczał Teoderek z Kaszuby. Zaraz napisałam w jej imieniu do księży wyjaśnienie, dołączając właściwy z prośbą o przelanie kwoty odpowiedniej firmie. Rekowska dziękując opowiedziała, że była z tą sprawą aż w Lendach u Franusia, ale on leży chory, bo ma wodę w kolanie, które jeszcze za Niemca służył sobie na rowerze. Na pewno już z łóżka nie wstanie.

Mama znając Franusia, bardzo się tym przejęła. Dlatego po obiedzie, kiedy zostaliśmy z rodzicami sami i nastąpiła jakaś kłopotliwa cisza, a mój przyszły mąż ukradkiem spojrział na zegarek, mama zaczęła mu opowiadać starą historię o Franusiu, który okulał w wypadku rowerowym i nie mógł już zostać ani leśniczym ani nie otrzymał agencji pocztowej, którą wydrzeć chciał takiej Alenie Czapiewskiej, a teraz leży na to...

Nieznacznie trąciłam mamę w ramię, a mama natychmiast urwała jak na komendę. Na szczęście ojciec powrócił do poprzedniego tematu, o chorobach krów.

Wyszedł z pokoju, zostawiając ich samych. Wróciłam po dłuższej chwili, kiedy już było po oświadczeniach. Słyszałam tylko jak mąż zapewniał rodziców, że mogą być o mnie spokojni, będzie dla mnie dobrym opiekunem.

Mama była za tym, aby nie spieszyć się ze ślubem. Łajming jednak tłumaczył, że na drugą połowę sierpnia zaplanował urlop i w tym czasie chcemy wziąć w Tczewie ślub i wyjechać zaraz w podróż poślubną do Poznania, na Powszechną Wystawę Krajową i do Torunia. Rodzice wreszcie zgodzili się. Wtedy mąż podziękował rodzicom za wychowanie jego przyszłej żony i za zaufanie, a mama, choć przytakiwała, zmrużonymi oczyma patrzyła w okno.

Mój przyszły mąż poweselał, a nawet pobrzdał z Alfonsem na mandolinie. Zbliżał się czas odjazdu. Nazajutrz rano musiałam być w pracy. Tchórzewski zrobił się jakiś mrukliwy, był zmęczony i niechętnie mnie zastępował. Poza tym na stacji w Tczewie miały być konie z Gorzędzieja i Gniszewa.

Wyjeżdżaliśmy już razem jako narzeczeni. Alfons zjechał i już mieliśmy wsiadać do wasagu, kiedy spostrzegłam brak rękawiczek. Cofnęłam się do izby. Na środku pokoju stała rozgorączkowana mama, tajemniczo mrugnęła do mnie i powiedziała tak głośnym szeptem, że gdyby gość stał za drzwiami, zrozumiałby każde słowo:

— Ten tu, jak żyw żywota, więc się nie pokoże! I machnęła ręką.

— A czemu?

— A temu, że on się nawet nie spytał, wiele te z doma dostaniesz?...

Nie wiedziałam co na to odrzec i prędko wyszłam. Ojciec na pożegnanie długo nam kiwał maciejówką.

Zauważyłam, że mój szef, pan Sikorski ma kłopot. Później dowiedziałam się, że w skrytości szukał kupca na Gorzędziej. Dlatego wyraził życzenie, abym pracowała u niego do końca jego pobytu. Dawał nam nawet mieszkanie nad biurem, o które w mieście było tak trudno oraz konie do dyspozycji. Mąż się nie zgodził.

W dniu moich imienin otrzymałam od posłańca z Gniszewa paczuszkę z listem i wiązką róż. W pudełku był złoty pierścionek z rubinem. Nie przepadałam za biżuterią, ale różę bardzo mnie ucieszyły. W tym dniu zjawili się także w biurze ks. Wilczewski, by skorzystać z telefonu i jednocześnie przekazać wiadomość o biskupim zezwoleniu na nasz ślub kościelny. Czekałam na telefon z Torunia. Wreszcie zadzwonił i w słuchawce usłyszałam głos Łajminga. Od razu zapytałam: pan Łajming?

— Ależ nie! Tu mówi taki stary, łysy rotmistrz Sokołowski! — Przeprosiłam. Zapytał, czy otrzymałam pozostawioną przez Łajminga dla mnie przesyłkę? A potem dał jeszcze jakieś ważne polecenia dla szefa, prosząc bym o tym pamiętała i żartując dodał, że inaczej ślubu nie da.

W tym dniu pracowałam do późnego wieczoru. Zawsze tak było kiedy zbliżała się wypłata. Tego wieczoru jeszcze zadzwonił Łajming z Torunia. Uzgodniłszy, że ślub cywilny weźmiemy pierwszego sierpnia w Gniszewie i będę nadal pracowała w Gorzędzieju, dopóki pan Stroinski nie znajdzie dla nas pokoju w Tczewie, po czym dopiero weźmiemy ślub kościelny.

Pierwszego sierpnia wstałam wczesnym rankiem i otworzyłam okno. Niebo było bezchmurne, świeciło słońce. Z kuchni słychać już było uderzenia młotów, w dalekim obejściu piał koguty, porykiwały krowy. W polu żniwa były w pełni, a ja ubierałam się w czarną jedwabną sukienkę, którą kupiłam w Tczewie i w której jechać miałam do ślubu w Gniszewie. Gotowa do wyjazdu poszłam jeszcze do biura. Szef dał mi czek na dwa tysiące złotych prosząc, abym wracała przez Tczew i z banku pobrała pieniądze na wypłatę dla robotników. Pracowałam do chwili, kiedy przed biuro zajechało lando z Gniszewa. Na tylnym niskim siedzeniu jakby schowany siedział Łajming. Wyskoczył z powozu i wszedł do biura by podać mi płaszcz.

I oto siedziałam obok przyszłego męża i w tym dniu przyjąć miałam jego nazwisko. Dobrze jest iść przez życie razem z serdecznym przyjacielem i opiekunem. Nie była to z mojej strony żadna wariacka miłość, jak do subiekta z Brus, a raczej coś, gdzie przeważa szacunek, tak jak to było w stosunku do nieżyjącego Barana z Chojnic.

Pamiętam, mijaliśmy pola gęsto zastawione sztygami, ukwiecone łąki i równiny bez lasów. Z dala ukazał się nam Tchórzewski na koniu. Pędem zbliżył się do nas, zeskoczył z konia i z wymuszonym uśmiechem złożył nam życzenia. Całując moją rękę nie spojrzał mi w oczy, jakby czuł jakiś żal, choć później w Tczewie chętnie do nas zaglądał, huśtał nasze dzieci. Odjeżdżając coś jeszcze do niego mówiłam, on jednak się nie obejrzał i to na chwilę zmąciło mój dobry nastrój.

Aktu ślubu udzielił nam pan Sokołowski. Jako świadkowie byli nieznani mi panowie z Warszawy, goście pana domu. Panj Sokołowska wraz z Francuzką bawiły za granicą. Pamiętam, że ręka mi drżała, kiedy składałam już ostatni podpis: Anna Łajming, z domu Trzebiatowska. I jak potem składano nam gratulacje i zaproszono do wielkiego salonu na obiad. Za ogromnym okrągłym stołem siedzieliśmy od siebie w dużej odległości. Potrawy obnosiły dwie pokojówki. Dwudrzwiowe drzwi balkonowe szeroko stały otwarte, a wychodziły na wspólny ogród pełen róż. Było tam o wiele ładniej niż w Gorzędzieju.

Odjechaliśmy tym samym wozem do Tczewa. Na moim miejscu leżała wiązanka różowych róż. Prócz sprawy w banku, chcieliśmy obejrzeć proponowane nam przez pana Stroinskiego mieszkanie, wolne od piętnastego sierpnia i pozalaćwać inne osobiste sprawy. Postanowiliśmy, że zwolnię się w połowie sierpnia, na jeden dzień pojedę do domu po resztę rzeczy, a ślub kościelny weźmiemy siedemnastego o godz. 9-tej rano. O godz. 11-tej mieliśmy pociąg do Poznania, gdzie kolega męża załatwił dla nas hotel i bilety do opery. Poszliśmy też do księgarni i drukarni „Gońca Pomorskiego”, by zamówić zawiadomienia o ślubie. Mój przyszły mąż oglądał wzory druku a ja rozglądałam się po biurze nie przypuszczając, że za parę tygodni w tym samym biurze obejmę pracę w dziale ogłoszeń. Oglądaliśmy też wystawy sklepowe i póki mąż kupował rakietę tenisową, ja weszłam do sklepu i, zamiast kupić sobie potrzebne białe buciki, kupiłam naboje do wiatrówki Alfonsa. Nie umiałam rozsądnie gospodarzyć pieniędzmi i przez długie lata musiałam księgować wydatki domowe, zanim mąż zaczął oddawać mi od razu całą pensję na gospodarke.

Czternastego sierpnia nie było w majątku ani jednego wolnego konia aby mnie odwieźć na stację. Nawet szofer zatrudniony był w polu. Rzeczy zostawiłam w Gorzędzieju. Więc odwiózł mnie samochodem przy pięknej pogodzie sam dziedzic, mimo że zrobiłam mu taki kawał, zostawiając biuro w same żniwa. Zdziwiona byłam jego ofiarnością i szczerobliwością w tym dniu, ale on bywał rozmaity. Często niemożliwie skąpy, bo nieraz przychodziło mu do głowy kontrolować ilość groszowej dykstryny w butelce, którą wlepiąłem dokumenty do akt. Wówczas na dworcu Sikorski jeszcze kupił dla mnie bilet. Odprowadził mnie później na peron, gdzie przystanęliśmy przy wagonie III klasy, choć jeżdżaliśmy IV-tą i wręczył mi bilet. Ja podziękowałam mu za posadę, on życzył mi szczęścia w życiu. Wchodząc do wagonu, wstrzymywałam łzy, bo ciężko mi było rozstać się z takim pracodawcą.

W domu pakowałam pościel i bieliznę do ogromnego kosza. Mama swoje wątpliwości co do zajęcia mego przyszłego męża wypowiadała na głos: — Chłop co nie umie secierą zawiadować, le w papierach grzebac i piórem drapać, to ju nie je chłop.

Ja milczałam! Biedna mama nie przypuszczała, że za parę lat wyrazi się o nim jak o najlepszym i najczulszym synu.

Zauważyłam, że i ojciec wodził za mną smutnym wzrokiem. A ciocia zmartwiona coś mi na migi oznajmiała, czego zrozumieć nie mogłam, dopóki nie zaprosiła mnie na górę. Tam otworzyła swoją czarną skrzynię i pokazała pożarte przez mole wełniane chusty i szale. Była zrozpaczona i machnęła ręką. Do kufra sypała naftalinę i pieczętówiciele odkurzała skrzynię z zewnątrz. Nikt z nas nie przypuszczał, że 16 lat później spali się ta skrzynia z całym domem podczas działań wojennych w roku 1945. Posiedzieliśmy na niej przez dłuższą chwilę, a ciocia wspominając różne sprawy z przeszłości zapytała o mego męża. Powiedziałam, że wrócimy tu oboje po dwóch tygodniach wprost z Torunia. Otworzyłam górne okienko. Alfons krzątał się przy pasiekach. Drogą, na bosaka brnął w piasku jakiś wędrowiec z zarzuconymi przez ramię butami. A że był to człowiek nieznan, z cudzej parafii, ludzie powychodzili z chat i przypatrywali się jemu dopóki nie znikł w lesie. A gdy słońce już wisiało nad jeziorem, sąsiad Rekowski chodził po swoim ogrodzie, zbierał kamyczki i oglądał je. Te, które w promieniach zachodzącego słońca świeciły się niby diamenty, chował do kieszeni. A zachód słońca był złoty i czysty. Zapowiadała się długotrwała pogoda. Z górnego okienka patrzyłam też na moje góryste pola i lasy, które opuszczałam. Był to mój ostatni paniński wieczór w domu rodzinnym.

Gospodynin w Tczewie przyjęła mnie serdecznie. Zaprowadziła do modystki, która przygotowała mi wianek z welonem i poprawiła kupioną suknię. Nazajutrz rano, w dniu ślubu, pomogła mi się ubrać. Byłam już gotowa, minęła godzina 9-ta a mąż się

nie zjawiał. Nie chciałam usiąść. Stałam na środku pokoju ubrana na białą i razem z gospodynią niepokoiłam się tym bardziej, że czarna limuzyna Sokołowskiego już czekała przed domem. Stałyśmy tak przez chwilę, a gospodyni przepowiadała, że to nie-dobra wróżba — tak czekać będę codziennie na męża przez całe życie.

Pamiętam, że w tym dniu wszystko odbywało się w pośpiechu. Po akcie ślubu i lampce wina w restauracji we czworo, pędem jechaliśmy do domu, a przebrawszy się, spieszyliśmy znów na dworzec. W Poznaniu okazało się, że pociąg przybył z opóźnieniem i ledwo zdążyliśmy się w hotelu zameldować, znów pędziliśmy do teatru.

Gospodyni niecierpliwie wyglądała przez okno na ulicę. Co chwilę drzwi się otwierały, ale to przychodzili pocztowcy z telegramami. Ja już ze zdenerwowania dostałam lekkich dreszczy, kiedy do pokoju wpadł zdyszany mąż z bukietem w rękę. Okazało

się, że właśnie na ten bukiet czekać musiał w kwiaciarni. Pani domu zdziwiona, że jeszcze nie jesteśmy z sobą na „ty”, czym prędzej przeżegnała nas święconą wodą i odjechaliśmy do kościoła. Było już grubo po 9-tej.

Rotmistrz Sokołowski z drugim świadkiem oraz ks. Steinem oglądali stare zewnętrzne mury zabytkowego kościoła Św. Krzyża w Tczewie.

— No, dzieci! — zawołał basem na całe gardło Sokołowski. — Czekaliśmy na was.

Weszliśmy do chłodnej świątyni i, jak mi się zdało, zbyt spieszenie zbliżyliśmy się do głównego ołtarza i zbyt głośno zabrzniały organy, bo aż się wstrząsnęłam. Po wysłuchaniu krótkiego przemówienia kapłana, klęcząc ze wzruszeniem powtarzałam słowa przysięgi: — „Ślubuję ci wierność, miłość i nie opuszczę cię aż do śmierci...”

Koniec

Z Riwiery do wolnego Rzymu

Franciszek Rutkowski

NA RIWIERZE

Na dworcu poinformowano mnie, że OT — Leitstelle znajduje się nad Jeziorem Garda, dokąd udałem się autobusem. Tam otrzymałem bilet do Verazze. Wiosna była w pełni. Wspaniały nadjeziorny krajobraz barwily kwitnące brzośkwinie. Później, kiedy jechałem już pociągiem nie mogłem oczu oderwać od widoku za oknem.

W Genuj spotkałem, znajomego mi jeszcze z Rygi, Niemca Roeselera, od którego dowiedziałem się, że nasza jednostka stacjonuje w Savona. I rzeczywiście w koszarach znalazłem całą naszą grupę, a więc Fichtnera, który był tutaj kierownikiem i bliskich mi ludzi: Wacka Pawlaka, co mnie najbardziej ucieszyło, Krzeńskińskiego, Bronisława Krefta i wielu innych. Po kilku dniach zostałem pomocnikiem magazyniera w Albissola, pięknej miejscowości nad morzem. Razem z Pawlakiem i jakimś Niemcem zamieszkaliśmy w hotelu „Wanda”. W niedzielę 16-tego czerwca wybraliśmy się z Wackiem do San Remo, miasteczka rozlokowanego na galeriach wykutych w skałach. Na ścianie pewnej willi zauważyliśmy tabliczkę z napisem, że tu mieszkał Ignacy Kraszewski. Jakoś miło nam to było stwierdzić.

Niemcy spodziewali się desantu od strony morza, więc „nasza” firma budowała od tej strony bunkry. Często nad Albissolą pojawiały się alianckie samoloty zwadownicze, ale któregoś dnia był nalot bombowców. Schroniłem się wraz z innymi w wykutym w zboczu schronie. Kiedy po nalocie wyszedłem z tej sztolni miałem wrażenie, że całe miasto leży w gruzach, kurz i pył przesłaniał wszystko. Kiedy pył opadł stwierdziłem, że miasteczko wcale nie ucierpiało, chmury dymu i kurzu pochodziły z Monte Cepucini, na której szczycie budowano bunkier. Jedną z bomb przebiła tunel kolejowy, gdzie pracowali nasi robotnicy. Było kilku zabitych, głównie Włochów. Następnie dnia jechaliśmy do Romano. W drodze zaatakował nas aliancki samolot. Zeskakując z wozu zwichnąłem nogę i musiałem udać się przypadkiem środkiem lokomocji do Mediolanu. W szpitalu spędziłem blisko dwa tygodnie, pod czułą opieką siostry zakonnej Swinarskiej, która pochodziła gdzieś spod Lubawy. Dzięki jej interwencji miałem

wspaniałą opiekę lekarską i znaczną prolongatę kuracji. Czas spędzałem na hojnie dostarczanej mi lekturze, między innymi i „Boskiej Komedii” Dantego, którą nabyłem w Mediolanie.

W kilka dni po moim przyjeździe do Romano opuszczaliśmy to miasteczko w wielkim deszczu, przenosząc się do Mede. W Voghera dołączyli do nas trzej Włosi, dwaj studenci z Turynu i majster drogowy Ugolini, którzy otrzymali przydział do naszej grupy. Szczególnie utkwil mi w pamięci Ugolini, którego nazwisko skojarzyło mi się z nie-szczęsnym Ugolino z XXXIII pieśni Dantego, a to z powodu przekleństw, jakich przedtem nie byłem nawet w stanie sobie wyobrazić. Ten stary wyga, wiele lat spędził gdzieś w afrykańskich koloniach włoskich, mimo przekleństw, był wspaniałym towarzyszem. Z humorem twierdził, że ma już przygotowane miejsce w którymś tam kręgu piekła.

W Mede odkomenderowano nas do Mezzana Bigli, gdzie wkrótce zdobyłem wielu przyjaciół. Szczególnie sympatyczna była rodzina Mariani, u której byłem zakwaterowany. Dziadek, patriarcha z jakąś przyjemnością rozmawiał ze mną, a jego małoletnie wnuczki, Anemarie, Katarzyna i Emilia bardzo się o mnie troszczyły. Moja torba była czarodziejska, nigdy nie ubywało z niej owoców. Wspaniali ludzie. Ubodzy, ale o złotych sercach.

W dniu, w którym wracaliśmy do Mede spadł śnieg. Słońce właśnie wschodziło i w jego czerwonych promieniach stosunkowo wysokie, białe wiejskie domy do połowy zanurzone w opadającej mgłę wyglądały jak góry lodowe na oceanie.

W Mede prawie codziennie miałem gości z Mezzano i to z prezentami, owocami i ciastem, że aż mi było przykro, a szwabi zaczęli na mnie patrzeć podejrzliwie.

Niemcy z naszej grupy wyjeżdżali na kurs wojskowy. Schachtmeister Rudel oświadczył mi, że ja także muszę pojechać. Z jakiej racji? Przecież Auslanderów to nie dotyczy? Wacek nie jechał, Janczak też, nawet nasi dwaj Hiszpanie byli z tego wyłączeni, a więc czemu ja? Odmówiłem. Szwab zeżłościł się i stawiał mnie do raportu przed Frontführerem von Klommmhaus. Ten z początku ry-

czał na mnie, jak to Niemcy potrafią, ale w końcu jednak udzielił mi głosu, abym uzasadnił odmowę. Wyjaśniłem, że jestem Polakiem, nie korzystam z praw volksdeutsche'ów i w razie czego nie mogę walczyć przeciw moim braciom, czy sprzymierzeńcom. Wysłuchał mnie ciepłowie i ku memu zdumieniu powiedział, że rozumie ludzi z Pomorza, którego historyczne dzieje były tak zmienne i różnorodne. Podeszedł do mnie, uściśnął mi rękę i kazał odmaszerować. Sprawa więc była wygrana. Rudeł wściekły stał jak zmyty pies. Przez te kilka dni nieobecności Niemców gospodarzyliśmy po swojemu. Kiedyś pewnego wieczoru wracali z hotelu „Italia”, nasz współtowarzysz Janczak potknął się na bruku i zawołał „Diabla Italia! Doprawdy Pan Jezus tu ni miał letko”.

Po powrocie z kursu naszej niemieckiej grupy nadszedł rozkaz przeprowadzki, tym razem do Casale. Kiedyś zbliżyli się do Padu opanovalo nas przynębienie. W promieniu kilkuset metrów od mostu wszystko było straszone od bomb. Samo miasto nie było piękne, a koszary dobyły nas do reszty. Ze zmartwienia poszliśmy wieczorem do teatru. Dawano „Paese delle campane”. Gra była słaba, ale zawsze rozrywka. Któregoś dnia w owym czasie zarządzone alarm, bo partyzanci zabili jakiegoś faszystę, ale dla nas ważniejszy był inny fakt. Otóż Wackowi udało się poprzez jakiegoś agenta nawiązać kontakt z partyzantami. Powzięliśmy więc decyzję, którą dawno nosiliśmy w sobie. Spakowałem niezbędny, obciążający bagaż, przede wszystkim książki i potajemnie oddałem go na przechowanie zaufanemu Włochowi. Czekaliśmy tylko na dogodną okazję, by zmienić naszą drogę życiową.

WSRÓD GARIBALDCZYKÓW

Wszystko układało się dobrze. Następnego dnia z polecenia Wuja pojechać miałem do Mede, a Wacek na jakikś most na Padzie. Powiadomiliśmy łącznika partyzantów. Wczesnym rankiem ruszyliśmy na służbowych rowerach w drogę. Było ciemno i mgliście. Kiedyś się zbliżali do Padu poranna mgła zgęstniała. Wjechaliśmy na most bardzo ostrożnie, gdyż znajdował się w naprawie. Rzeki nie było widać. Ostrożnie, wąskimi kładkami posuwaliśmy się naprzód. Przejechawszy most, zatrzymaliśmy się przed skromną gospodą. Lekkie stuknięcie w okno i ostrożnie rozwarły się drzwi. Weszliśmy przez sieni do małego pokoiku, gdzie powitał nas gospodarz i przedstawił nam przewodnika. Wypiliśmy po wermucie i nasz przewodnik, którego fizjognomia nie budziła zbytniego zaufania, dał znak, że czas w drogę. Dopiero gdzieś po dwóch godzinach, kiedyś z szosy w polną drogę, zaczęło świtać. Teren wydawał się bezludny. Gdzieś tam rosły drzewa i krzewy, ale i te znikły, kiedyś zataczając wielki łuk, znów zbliżyli się do rzeki. Nareszcie stanęliśmy nad korytem Padu. Do brzegu dobijał właśnie prom, na który czekało mnóstwo ludzi. Na nasz widok cofnęli się wszyscy i weszliśmy na prom jako pierwsi. Przewodnik zapewnił nas, że najgorsze jest już poza nami, gdyż tereny po tamtej stronie rzeki są kontrolowane przez partyzantów. Nareszcie i przeciwny brzeg. Daliśmy naszemu Charonowi napiwek, a jego zdziwione oczy zdawały się pytać: „Czy jesteście jeńcami partyzantów, czy zbiegami z wojska?”.

Już w szybszym tempie przejechaliśmy jakąś wioskę i po chwili znaleźliśmy się u podnóża wyrosłych nagle gór. Wjechaliśmy w ciemny jar. Po pewnym czasie zatrzymał nas głos wartownika z posterunku na stoku. Przewodnik zamienił z nim kilka zdań w dialekcie i ruszyliśmy już pieszo stromą drogą, aż doszliśmy do jakiejś wsi. Zatrzymaliśmy się przed budynkiem komendatury grupy partyzanckiej. W izbie zostaliśmy przedstawieni komisarzowi, starszemu już mężczyźnie w ubraniu cywilnym. Po spisaniu niezbędnych formalności wybraliśmy sobie pseudonimy. Pawlak – Walter, ja – Franc. Następnie komendant brygady zaprowadził nas do znajdującego się na zboczu obozu – distaccamento. Komisarzem politycznym naszej grupy był student filologii, zwany Mister, a komendantem student architektury z Torino – Pieve. Otrzymaliśmy broń i trzykolorowe wstążeczki, które przypięliśmy do bluzy. Nasza grupa była bardzo barwna. Większość nosiła czerwone koszule lub pulowery, czerwone berety, albo inny drobny kolorze czerwonym. Wierzchnim ubraniem była bluza lub płaszcz koloru khaki.

Minęło kilka tygodni. Na świecie dużo się zmieniło, ale nie nadchodził upragniony koniec wojny. Dużo nadziei wiązaliśmy z włoską ofensywą. Zginęło kilku garibaldczyków, były kilka razy alarmy, ale obywateli się bez większych potyczek. Trzy strzały w nocy lub wczesnym rankiem wprawiały w ruch wszystkie grupy, każdy chwycił za broń. W tych godzinach alarmu byliśmy wszyscy przedziwnie zjednoczeni. Najczęściej jednak alarmy i przyjazdy republikanów miały miejsce o świcie. Chłód przejmował wtedy ciało do szpiku kości, oczy uświatły przebieg porannej ciemności, a ucho uchwycić najmniejszy szelest.

Którejś nocy miałem wartę. Długo patrzyłem na Wielki Wóz. Stał gotowy do drogi na niebieskim dziedzińcu z dyszlem skierowanym na północ. Wystarczyło pójść przy tym dyszlu i dojść na własne podwórze.

W marcu stoczyliśmy zaciętą bitwę z oddziałami Brygada Nera w pobliżu Casalino. Byli ranni i zabici. Następnie utarćka z kolumną niemiecką miała miejsce niewiele dni potem, przy szosie Turyn – Mediolan, w pobliżu miejscowości Pontestura. Brygada nasza wzięła do niewoli kilku Niemców, których dowództwo naszej dywizji wymieniło na wziętych do niewoli garibaldczyków.

Któregoś wieczoru dowództwo, przewidując marsz na Casale, nakazało nam trzymać się w pobliżu distaccamento. Zebraliśmy się więc wszyscy na bajecznie kwiecistej łące i czekaliśmy. Ponieważ do północy żaden rozkaz nie nadszedł, wróciliśmy na kwatery. Noc była piękna, więc siedzieliśmy sobie przed domem i palili papierosy, gdy nagle rozległ się głos dzwonów z pobliskiego kościołka. Głos dzwonów w dolinie i o tej porze? Czyżby wieściły światu pokój? Przypuszczaliśmy, że może zajęto Berlin. Tymczasem dzwony rozkołysały się na dobre. Zbiegliśmy w dół do wioski, by się dowiedzieć o co chodzi, a tymczasem ludzie pytali nas o to samo. Wreszcie dowiedzieliśmy się o przyczynie tego poruszenia. Otóż partyzanci wyzwolili i zajęli szereg miejscowości w Piemoncie. Dzwony więc obwieszczały światu, choć może nieco przedwcześnie, że Manfredato jest wolne. Wysłane sztafety przyniosły wieść, że głosy dzwonów dobywają się ze wszystkich dolin i łączą się na szczytach gór w zgodny akord: „Manfredato jest wolne!” Na placu wsi zebrała się cała ludność. Rzucali się sobie w ramiona, całowali i płakali ze szczęścia, a dzwony były bez ustanku. Rankiem przyszedł rozkaz, że mamy pojechać do Casale i być zająć. Zrobił się ruch. Za chwilę podjechały po nas samochody.

KAPITULACJA NIEMIECKIEJ GRUPY ARMII C

Był to wielki triumfalny przejazd, ze wszystkich naszych wozów brzmiała radośnie pieśń „Avanti populo alla risossa, bandiera rossa, bandiera rossa...”. W tym okresie we Włoszech wszystkie grupy partyzanckie mimo różnego zabarwienia politycznego zgodnie walczyły z wspólnym wrogiem i ten dzień i następne były ukoronowaniem ich wysiłków, ofiar i walki. Tego dnia byliśmy zarzucać kwiatami.

W Casale wjechaliśmy najpierw na zamek. Za chwilę sprowadzono tu grupę niemieckich żołnierzy i rozbrajano ich. Nieco później nadeszła pod partyzancką eskortą cała znana mi grupa z Organizacji Todt. Na polecenie dowództwa Pawlak i ja musieliśmy selekcjonować Niemców i Polaków. Wśród obecnych jednak nie było ani naszego Truppführera Fichtnera, polakożercy Rhodogo, ani Frontführera von Klommlhausa, któremu chciałem się zrewanżować jakimś wspaniałomyślnym a dopuszczalnym gestem. Przed poddaniem się grupy popelnili samobójstwo. Pierwsi dwaj podobno nie wrócili z urlopów. Sądzę raczej, że z tych urlopów nie próbowali wrócić.

Tymczasem na placu zrobiło się zamieszanie. Wybuchł granat przez kogoś rzucony. Jednemu z naszych ludzi wypłynęły prawie wszystkie wnętrzności, inny miał bardzo pokaleczone nogi. Rannych było więcej. Dopiero po chwili dowiedziałem się od Wacka, że i on jest ranny w nogę. Na szczęście niegroźnie. Nosił wysokie buty i to może zmniejszyło siłę uderzenia. Miał parę odcinków w nodze i też musiał udać się do szpitala.

Silna i dosyć dobrze uzbrojona grupa faszystów włoskich i Niemców znajdowała się jeszcze w tzw. inspektoracie i nie chciała się poddać. Szczególnie bały się faszystów. Ich parlamentariusze prosili o zawieszenie broni do

godz. 9 wieczór. Zgodzono się na to. Ja zaś i kilku towarzyszy otrzymaliśmy nakaz udania się do Casalino i przywiezienia pare ciężkich karabinów maszynowych. W Casalino tymczasem utworzono coś w rodzaju sądu wojennego, który urzędował w byłej siedzibie naszego dowódcy. Co chwilę wyprowadzano kogoś z domu, a odgłos strzałów mówił, jaki zapadł wyrok. Po niespokojnej nocy, której ciszę przerywały wystrzały egzekucji, wczesnym rankiem ruszyliśmy z powrotem do Casale

Tu okazało się, że grupa, która zamknęła się w inspektoracie, poprosiła o prolongowanie rozejmu do 9 rano, na co wyrażono zgodę. We wczesnych godzinach rannych nasza grupa zajęła miejsce na jednym z rogów placu, ustawiała tam ckm i czekała na godzinę dziewiątą. Było chłodno. Nagle podbiegła do mnie mała dziewczynka, prosząc mnie na kawę. Odmówiłem, jednak prawie równocześnie jakiś jegomość wciągnął mnie do swego mieszkania na filiżankę kawy i świeże bułeczki. Gospodyni zaczęła mnie wypytywać: kim jestem, skąd itd. Nagle na ulicy rozległy się strzały, potem całe serie. Wybiegłem zaniepokojony, ale w bramie już jakiś młodzik uspokoił mnie, że to strzelają na wiat, gdyż nadeszła wieść, że partyzanci zajęli Mediolan. I znowu jak przed dwoma dniami w Casalino ludzie szaleli z radości, rzucali się sobie w objęcia, wielu płakało ze szczęścia. W tym momencie radości podeszła do mnie szczupła panieneczka w niebieskiej sukience zapytując, czy nie zechciałbym w ten pamiętny dzień przyjść do jej domu na obiad. Jej mamusia i ona byłyby z tego niezmiernie rade. Stanąłem zakłopotany i spojrzałem na zegarek. Godzina była wczesna i do obiadu jeszcze daleko. „Dobrze, ale o której mam przyjść, jeśli mi okoliczności pozwolą?”. „O pół do pierwszej, jeśli można, bardzo prosimy” – odrzekła i podała mi swój adres. Miała w oczach coś urzekającego, że nie mogłem odmówić.

Tymczasem moi koledzy odsuwali na bok ludność cywilną, gdyż nadjechali parlamentariusze. Wziąłem zatem i ja delikatnie za ramię moją nowo poznaną sympatię i odprowadziłem do bramy. Uśmiechając się skinęła mi ręką, co mogło znaczyć, a więc do zobaczenia.

Parlamentariusze przyjechali; omówić warunki poddania się. Jakże to mogły być warunki? Bezwzględna kapitulacja i tyle! Odjechali. Huk wystrzałów na mieście jeszcze nie ustał. Po mniej więcej godzinie, zatrzepotała nad inspektorem biała chorągiew. Wtedy całe miasto ogarnął szal radości. Otwierały się bramy i okna wszystkich domów, o z nich wychylały się rozradowane twarze. Zatrzepotały trzykolorowe flagi na domach i samochodach. Podzielałem tę powszechną radość, byłem teraz doprawdy zupełnie wolny.

Na przyrzeczony jednak obiad o oznaczonej godzinie pójść nie mogłem. Byłem zbyt zajęty, a poza tym zostałem zaproszony przez komendanta brygady na uroczysty obiad do hotelu „Milano”. Strasznie mi było brak w tych radosnych chwilach Wocka, a przypuszczałem, że również jemu musiało być w szpitalu smutno, więc wyrwałem się na chwilę, aby go odwiedzić. Na szczęście rana nie było groźna, co mnie uspokoiło.

Do zaproszonego domu poszedłem dopiero pod wieczór. Byłem tam później jeszcze kilka razy. Ostatni raz trzeciego maja.

Pierwszą noc w wolnym Casale spędziłem w hotelu „Milano”, gdzie po długim czasie spałem jak król. Następnego dnia moja brygada zakwaterowała się w czerwonych, półartylerijskich koszarach. Zastaliśmy tam niesamowity bałagan, który stopniowo uporządkowaliśmy. Życie w koszarach to nie dla nas! – wyrwało się z niejednej piersi przyzwyczajonej do swobody i nieograniczonej przestrzeni. Choć nie brakowało nam niczego, nawet fryzjerzy strzygli i golili nas gratisowo, a wino znajdowało się teraz nagle w każdym domu, ale...

W APULII

Nie byliśmy z Wackiem zainteresowani rozrachunkami wewnętrznymi Włochów. Mieliśmy ponadto własne plany. Dusila nas tęsknota za domem, a wydawało się, że teraz będzie możliwy powrót do Ojczyzny. Ruszyliśmy więc wczesnym rankiem, zdaje się 7-mego maja 1945 r., na pożyczonych rowerach do Mediolanu, niby po informację, ale właściwie w przekonaniu, że już nie wrócimy. Przeje-

chaliśmy Mortarę i dopiero w Voghera zatrzymał nas jakiś partyzant. Kiedyś mu pokazali nasze partyzanckie legitymacje, zasalutował pięścią, przeprosił i znikł. O godzinie 11-tej stanęliśmy w Mediolanie. Było święto (zdaje się Wniebowstąpienia) i biura aliantów były nieczynne. Oddaliśmy rowery do przechowania na stacji i poszliśmy oglądać wyzwolone miasto. Zaszliśmy również do katedry. Owiąło nas w to gorące południe chłodne wnętrze starej budowli. Katedra zbudowana z białego marmuru jest równie piękna zewnątrz jak i wewnątrz, tysiące kolumnerek, wieżyczek, baldachimów i figur.

Niebawem natknęliśmy się na placu na kolumnę samochodów. Byli to żołnierze polscy z 2-go Korpusu. Uściski nie miały końca. Umówiliśmy się na spotkanie wieczorem. Wieczorem, przy wermucie, opowiedzieli nam dzieje 2-go Korpusu, swego tułactwa. Ich zdaniem nasz powrót do Polski był jeszcze niemożliwy. Radzili nam poczekać aż się trochę wszystko ustabilizuje. Nasza radość zmieniła się w cichą rezygnację. Nazajutrz spotkaliśmy się z polskimi oficerami, którzy radzili nam podobnie i proponowali wspólny wyjazd na południe. Zdecydowaliśmy się i ruszyliśmy z nimi w kierunku Bolonii. Dzień był piękny. Wkrótce przejechaliśmy Pad, miniliśmy Piacenzę i dotarliśmy do wzgórz, wśród których leży Bolonia. Wszędzie widziało się znaki wojny i coraz więcej naszych żołnierzy! Pod wieczór stanęliśmy na polskiej placówce w Castello S. Pietro. Po dobrej kolacji i odśpiewaniu po tylu latach „Wszystkie nasze dzienne sprawy...” poszliśmy spać z chaosem w głowie.

Nazajutrz 13 maja pojechaliśmy wszyscy na mszę polową. Miło było popatrzeć na nasze oddziały, dobrze ubrane i słyszeć polskie pieśni kościelne w wykonaniu orkiestry wojskowej i usłyszeć po polsku ewangelię. Po południu przyjechali po nas samochody, by powieźć nas dalej. Przebiegiwano, że ze względów formalnych będziemy musieli przejść kwarantannę. Trzeba sprawdzić przeszłość i dokumenty różnych ludzi, którzy zgłaszają się do polskich oddziałów, zdać niemieckie graty i przejść badania sanitarne. Ciężarówka zawiozła nas do Forlì. Tu kazano nam wysiąść i ku naszemu zdziwieniu zaprowadzono nas do obozu jeńców. Szkot przeprowadził rewizję osobistą. Po kilku godzinach zjawił się polski oficer łącznikowy i przeprowadził nas do polskiego obozu. Za dwa dni przyjechali po nas wozy 2-go Korpusu i ruszyliśmy dalej, na południe. Jechaliśmy wzdłuż Adriatyku, wśród drzew i ogrodów oliwnych i przez miasteczka z wąskimi, brudnymi uliczkami. Nocą stanęliśmy w Tivoli. Nazajutrz przejechaliśmy przez Bari i pod wieczór stanęliśmy w polskim obozie przejściowym „Jolanta”, położonym na skalistej płaszczynie w grupie drzew oliwnych. Przeszedłszy gruntowną dezynfekcję, otrzymaliśmy żołnierskie mundury i zażywaliśmy względnie odpoczynku. Od czasu do czasu miały miejsce pogadanki, a pod koniec nawet rekolekcje. Pewnego jednak dnia zaczęto przydzielać nas do formacji. Mnie wybrał mjr Kirchmeyer do swego oddziału żandarmerii. W dzień później samochód zawiózł nas do Arnessano, małego południowego miasteczka, gdzie była nasza kwatery. Z Wackiem po tak długiej wspólnej włóczędze musialem się rozstać. W Arnessano spędziłem 10 tygodni.

Dni wypełniała nam nauka regulaminów, prawa i kryminalistyki, nauka o broni i musztra. Dokuczały nam straszne upały. W czasie musztry pot zalewał oczy. Kiedy więc była przerwa uciekaliśmy pod drzewa oliwne, w ich skąpe cienie. W czasie żaru liście drzewa ustawiają się pionowo do słońca. Wylewaliśmy z hełmów pot i ciężko dysząc łapaliśmy rozgrzane powietrze, które zdawało się parzyć nozdrza i płuca.

19 lipca poszedłem wieczorem za miasto i usiadłem za ogrodem oliwnym, przy winnicy. Wówczas podeszedł do mnie jakiś Włoch, poczęstował śliwkami i rozpoczął rozmowę, a mnie tak nie chciało się rozmawiać. Po chwili przybiegły dwie dziewczynki, może jego wnuczki i poczęstowały mnie jeżynami. Ile lat nie jadłem tego owocu? Przypomniała mi się z czasów dzieciństwa łąka nad jeziorem, na skraju której rosło tyle tych krzewów.

Dowiedziałem się, że w Alessano przebywa Wacek. Pojechaliśmy do tego miasteczka, położonego na samym końcu napiętka włoskiego buta. Moje informacje były jednak błędne. Nie zastałem go tam. Po drodze zwiedziłem Lecce i wróciłem wieczorem. Tu dowiedziałem się, że za kilka dni zmieniamy miejsce pobytu. Kurs trwał zatem od 4 lipca do 4 sierpnia, plus tydzień przygotowawczy, razem 10 tygodni.

Po trzech dniach podróży stanęliśmy w Urbino. Do miasta otoczonego murem i ozdobionego malowniczym zamkiem zjeżdżaliśmy stromą serpentyną. Na tych drogach mieliśmy się uczyć jazdy na motocyklu. Miasteczko sympatyczne, z własnym uniwersytetem. Czekając na kurs, którego jak się później okazało nie było, musiałem poćwiczyć nasz pluton w mustrze aż do czasu opuszczenia Urbino. Naszym nowym miejscem postoju był pałac położony 152 m nad poziomem morza, nie opodal Porto di Potenza Picena. Przez sześć tygodni kursu była teoria. Praktyka wynikała dość nieoczekiwanie. W nocy zbiegli dwaj więźniowie i trzeba było urządzić pościg. W kilka dni później otrzymałem list od przyjaciela z lat szkolnych Franciszka Zbika, jak się okazało studenta teologii Seminarium Duchownego w Rzymie. Nareszcie odezwał się ktoś mi bliski.

Sprawa moich studiów zdawała się być realna. Z dowództwa zażądano opinii o mnie. Nareszcie też odbyć się miał odroczony kurs motorowy. Kupiłem kilka książek i na gwałt zacząłem się uczyć włoskiego.

W dzień wolny od zajęć wybraliśmy się całą paczką do Loreto, którego atrakcją jest Domek Nazaretański. Według legendy został on przyniesiony tu przez aniołów, kiedy Turcy zajęli Ziemię Świętą. Domek zbudowany ze zwyczajnej wypalanej cegły, na zewnątrz obudowany jest marmurem. Wygląda jakby wstawiono go do szafy ozdobionej bogato posągami i reliefami. To jest ponoć dzieło Bramante. Nad nim wznosi się potężny kościół gotycki z XV w.

Zamiast na kurs motorowy wysłano nas na kurs uzupełniający żandarmii angielskiej do Senigallii. W dzień przed wyjazdem wezwał mnie do siebie sympatyczny por. Wierzbicki i zapoznał mnie z opinią, jaką mi wystawił. Myśl o studiach dodawała mi siłę i otuchy. Na kursie, prowadzonym przez Anglików, panował straszny dryl. Kurs ukończyliśmy 15 grudnia i po dwóch dniach znaleźliśmy się znowu w Urbino. Na szczęście nie zatrzymaliśmy się tu długo. W przeddzień wigilii Bożego Narodzenia nasza grupa wyjechała na kurs psów policyjnych. Pocieszano nas, że kurs motorowy zawsze jeszcze zdołamy odbyć, a teraz jest okazja skończenia tak specjalistycznego kursu, który nam, żandarmom na pewno się przyda.

W samą wigilię zebraliśmy się o godz. 5-tej w świetlicy na wspólną wieczerzę. Było nam trochę smutno i spotkanie nasze specjalnie się nie przeciągnęło. Po odśpiewaniu kilku koled niektórzy poszli z opłatkiem i keksem do swych psów, inni rozeszli się na kwatery.

15 lutego nadszedł rozkaz, że 17 mam wyjechać przez Anconę, gdzie jest punkt zbiorczy, na studia do Rzymu. Zatem zamknąłem 9-miesięczny okres wojskowego życia, spędzony na różnych szkoleniach i kursach. W przeddzień wyjazdu poszedłem pożegnać się z moją ulubienicą Matką. Byłem w tym oddziale od 23 grudnia, ale tego nie żałowałem. Pierwszego dnia psy powitały mnie ujadaniem, jednak już następnego większość z nich przychyliła merdala ogonami. Najpierw przydzielono mi olbrzymią, piaszkową wilczycę. Frau, której przewodnik był w szpitalu. Ten, kto nadał jej to imię (a kto, łatwo zgadnąć) dobrze znał jej temperament. Szła przy mnie, a właściwie ja przy niej, powolna, z pewną pogardą w mądrych ślepiach, które zdawały się mówić: „Co ty tam wiesz”. Przywykła do mnie szybko, ale kiedy tylko wrócił jej przewodnik, już tylko tolerowała moją obecność. Wtedy przydzielono mi bezpańską bokserkę, właśnie Matkę, już z angielskiej szkoły. Kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy w klatce, wydała mi się ucieleśnieniem brzydoty. Wkrótce jednak miałem się przekonać, jak względne jest pojęcie piękna. Uważałem ją później za najpiękniejszą z całej psiarni. Kiedy zawołałem „Matko! lei!”, kładła się posłusznie jak żaba, a cały oddział wybuchał śmiechem, była jego pieśń. Elegancko robiła przeskoki, jak miała na to ochotę. Jej radość z naszych rannych spotkań udzielała się i mnie. Odchodząc po raz ostatni od klatki, odwróciłem się kilka razy. Jej wzrok śledził mnie nieustannie, a mordka wyrażała głębokie wzruszenie. Dojechał mnie cichy skowyt żalu, skargi czy pożegnania.

Wieczorem odbyło się towarzyskie spotkanie. Rano więc był kłopot z odjazdem. Wreszcie kierowca Chróściel, choć niewyspany, zdecydował się odwiedzić mnie do Ancony. Jechał ostrożnie, co nie było w jego zwyczaju, a jednak mimo to przed Loreto zawadził karoserią o drzewo. Na szczęście zabrał mnie do Ancony mijający nas inny wojskowy samochód.

Punktualnie o godz. 8.15 wyruszyliśmy do Rzymu. Szosa wiała się zygżakiem wśród gór o gołych zboczach albo porośniętych jakąś roślinnością. Gdzieś w późnych godzinach popołudniowych osiągnęliśmy Kampanię z charakterystycznymi dla niej krajobrazu piniami. Nareszcie wyłoniła się panorama wiecznego miasta. Roma – w tym krótkim wyrazie zawiera się historia wielu narodów i olbrzymiego imperium, wspaniałej kultury i wielkiej religii, i mojej wówczas nadziei.

Wspomnienia z wojny ⁽⁴⁾

Alfons Filip

PRZEPROWADZKA Z CZARNEGO DO KWIDZYNA

Roboty ze sprawami organizacji było dużo i przybawało coraz więcej. Do tej pory robiłem to chaotycznie a należało uporządkować.

Przed wszystkim konieczne było utworzenie odpowiedzialnych rejonów. W każdym rejonie należało wyznaczyć przedstawiciela organizacji, który by kierował powierzonym mu rejonem a szczególnie pomagał radą naszym ludziom. Poza tym w każdym rejonie, niezależnie od przedstawiciela czyli komendanta rejonu, konieczny był również obserwator. Rola obserwatora miała polegać jedynie na obserwowaniu okolicy oraz komendanta danego rejonu. Tak zorganizowałem rejon Łasin. Komendantem został tu Antoni Karpiński z Szembruła, a obserwatorem Jan Kowal z Nogatu. Jeden o drugim nie wiedział.

Aby właściwie prowadzić całą organizację trzeba było się więcej ruszać. Każdą niedzielę musiałem wykorzystywać na wyjazd. W Czarnem takich warunków

nie miałem, tu wszyscy mnie znali. Przed przyjęciem kierownictwa organizacji rozmawiałem w młynie z Polakami z niedużego obszaru, z kilku tam wsi. Wyслуchiwałem wszystkich nowin. Teraz to nie wystarczało.

A Draht i mój żandarm stawali się coraz więcej podejrzliwi. Jeśli wróciłem z wyjazdu późno wieczorem to na drugi dzień pytali się gdzie byłem. Wracając, zachowywałem się cicho, żeby nikt mnie nie słyszał, jednak Draht zawsze wiedział o której godzinie wróciłem i niby to po przyjacielsku radził mi, żebym nie chodził wieczorami, bo gdy napotka mnie Landwache (straż ludowa) będą miał nieprzyjemności.

Do Kwidzyna jeździłem tylko w te niedziele, w które odbywały się nabożeństwa dla Polaków, to znaczy raz w miesiącu, w pierwszą niedzielę. Z Kwidzyna wracałem pociągami popołudniowymi, aby nie wzbudzić podejrzeń. (W tym czasie była trasa kolejowa Kwidzyn—Kisielice i dalej szła do Biskupca. Na tej trasie była stacja Rozajny, odległa od Czarnego

3 kilometry. Teraz tej trasy nie ma, została w 1945 roku rozebrana). Gdy jechałem do Wawrowic na spotkanie z Florkiem, to już przedtem meldowałem Drahtowi, że w niedzielę chcę jechać do starej znajomej. Draht naturalnie godził się na taki mój wyjazd, bo, jak mówił z uśmiechem, każdy musi się rozerwać.

Jednak na dalszą metę było to niemożliwe. Miałem do wyboru albo zaniechać energicznego prowadzenia organizacji w rozmiarach w jakich się podjąłem i żyć spokojnie u Drahta, gdzie miałem ciężką pracę, ale za to jakieś takie koryto, albo przenieść się do Kwidzyna i prowadzić organizację właściwie. Wybrałem to drugie. Gdybym został w Czarnem, byłbym całkowicie obezwładniony. Poza tym Draht projektował zaangażować na miejsce Kazi księgową, Niemkę. Przy takim obrocie sprawy nie mógłbym w młynie za wiele rozmawiać z naszymi Polakami, a także im pomagać, kiedy w kantorze byłaby Niemka.

Aby wydostać się od Drahta i przenieść się do Kwidzyna, musiałem obmyśleć dobry i pewny sposób. W Czarnem, u Drahta, jak również u ich wójta zameldowany byłem jako Geselle, czeladnik, ale bez zawodu o który mnie nie pytano, a ja też im nie mówiłem. Teraz chciałem to wykorzystać. Ale jeszcze musiał mi szkodzić pył młynski. W czerwcu 1943 roku zacząłem sobie smarować spojówki oczu sokiem z fajki. Skok z fajki to chyba jedyny sposób na wywołanie choroby oczu, bo gdy raz zalałem oczy sokiem z cebuli to chyba nie dłużej niż po godzinie oczy pięknie mi zbielewały i nie było śladu po chorobie.

Po czterech, może sześciu tygodniach odcznej choroby, Draht łaskawie wysłał mnie do lekarza do Kwidzyna. Wysyłając dał mi w zapieczętowanej kopercie list do lekarza. W tym liście Draht pisał „...ten Polak wcale nie ma chorych oczu, tylko udaje...” i prosił lekarza, aby mnie dobrze zbadał. Listu naturalnie lekarzowi nie dałem. Lekarz ogólny w Kwidzynie po zbadaniu posłał mnie do okulisty do Grudziądza. Draht dał mi znów list o tej samej treści. I tego listu nie oddałem. Okulista stwierdził chroniczne zapalenie spojówek i zastrzegł w opisie choroby, że nie mogę pracować w pyłe, np. w młynie. To mi wystarczyło. Draht po każdym moim powrocie pytał, czy lekarz nie dał dla niego listu i co mówił na jego list. Odpowiadałem jednakowo: „Owszem, dałem lekarzowi list, ale on po przeczytaniu rzucił go do kosza”.

Najgorsze miałem poza sobą. Został mi jeszcze Urząd Zatrudnienia i musiałem tak lawirować, aby dostać przeniesienie do Kwidzyna. Pomógł mi w tym jeden z moich ludzi, wspomniany już Zbigniew Czysz. Załatwił mi pracę w ślusarni, w której i on pracował. Właściciel ślusarni, jak się nie mylę, nazywał się Bertram. Udało mi się tam wkręcić, bo podałem się za czeladnika ślusarskiego. Zbigniew Czysz dał mi także mieszkanie. Miało ono wyjście na dwie ulice, co było mi bardzo na rękę. Do Kwidzyna przeprowadziłem się w połowie lipca 1943 roku.

Tutaj całkowicie zmieniłem postępowanie. O ile w młynie, w Czarnem, byłem normalnym, na ogół dość energicznym człowiekiem, w Kwidzynie na ulicy i w ślusarni stałem się niepozornym ciamajdą.

Nie przypuszczałem nawet, że to moje ciamajdostwo uratuje mnie przed wpadnięciem w ręce Gestapo. Zresztą przez cały czas okupacji miałem zawsze bardzo wiele szczęścia. To nie była moja mądrość, ani spryt, to było szczęście.

W tym mniej więcej czasie Draht zwolnił Kazię i zaangażował Niemkę. Kazia zaczęła pracować w piekarni w Kwidzynie; Czysz postarał się również o mieszkanie dla niej. Właścicielem piekarni gdzie pracowała Kazia był dawny działacz polonijny. Nazwiska tego piekarza nie pamiętam, może Klammer ale nie jestem pewny. Po dojściu Hitlera do władzy stary piekarz wycofał się z życia politycznego i przeistoczył się w poprawnego Niemca. Hitlerowcem nie był i po cichu sprzyjał Polakom.

Zabrałem się energicznie do pracy w organizacji. Możliwości miałem świetne. Praca w ślusarni trwała 10 godzin dziennie, o 17-tej kończyła się. Po

tej godzinie nikt nie patrzył gdzie i po co wychodzę oraz kiedy przychodzę. Przychodziło do mnie dużo Polaków jak również i ja wychodziłem. W niedzielę wychodziłem poza miasto na odległość nieraz 15 kilometrów dla nawiązania kontaktu z naszymi ludźmi. W wędrownkach po Kwidzynie i poza Kwidzyn pomagał mi trochę Zbigniew Czysz. Badałem teren, rozmawiałem z ludźmi, którzy nie budzili zastrzeżeń, zapraszałem do siebie. Teraz widziałem, że przejście do Kwidzyna usprawniło mi prowadzenie organizacji. Nasi Polacy z terenu, ze wsi, przyjeżdżali raz w miesiącu do kościoła i w tym czasie mogłem z nimi kontaktować się.

Szczególnie nabożeństwa dla Polaków pomagały w kontaktowaniu się z ludźmi z terenu, a wejście z dwu ulic do mojego mieszkania ułatwiała mi ukrywa nie spotkań.

Razu pewnego przyszło do mnie kilku ludzi z propozycją wstąpienia razem z nimi do tajnej organizacji. W toku rozmowy dowiedziałem się, że po Kwidzynie kręci się jakiś gość i werbuje ludzi. Ci, co przyszli do mnie byli bodajże hydraulikami. Widocznie pracując gdzieś na mieście rozmawiali z sobą po polsku, a ten drań-prowokator podsłuchiwał i przyczeplił się do nich. Muszę zaznaczyć, że ci ludzie nie byli zapaleńcami, ale mężczyznami w średnim wieku, koło 40-tki i zdawali się być rozsądni. Niemniej musiałem być ostrożny. Oświadczyłem im, że nie mogę się do tej organizacji zapisać i również im tego nie radzę. Przekonałem ich, bo później dowiedziałem się od jednego z nich, że odmówili facetowi i mieli spokój.

Jednej niedzieli, w połowie sierpnia 1943 roku, pojechałem do Torunia do komendy korpusu. W tym dniu w komendzie byli też mój brat Adolf i Florek. Zdałem sprawę z działalności i dostałem polecenie: „Na ile możliwe wyjdź z działalnością organizacji poza powiat Kwidzyn”. Komendant tłumaczył mi (zresztą sam to widziałem), że Polacy na terenach Niemiec zdani są na łaskę losu. A trzeba tych ludzi podtrzymać na duchu, szczególnie rozpowszechniać naszą gazetkę itd. Dostałem polecenie objąć działalnością powiaty Sztum, Malbork i Elbląg. Wydać polecenie było łatwiej, aniżeli wykonać je. Ale stopniowo miałem zamiar wykonać polecenie mi zadania.

WPADKA

Przy końcu sierpnia 1943 r. słychać było między naszymi Polakami, że zakłady Schichau'a w Elblągu (obecnie Zamech) zbierają mężczyzn na tokarzy i spawaczy. W środę 1 września (te daty dokładnie pamiętam) dostałem wezwanie do Urzędu Zatrudnienia i tam też dali mi skierowanie do Schichau'a. Miałem jechać natychmiast. Ja jednak czekając na polecenie z komendy korpusu przeniesienia się do Elbląga — zaplanowałem wyjazd na poniedziałek 6 września. Od środy wieczór do niedzieli południa miałem odprawy z moimi podkomendnymi. W rozmowach ostrzegałem wszystkich przed prowokatorami, zabroniłem kontaktów z różnymi gadułami. Poza tym mówiłem moim ludziom, że prawdopodobnie przeniosę się do Schichau'a.

W niedzielę 5 września wysłałem Kazię do komendy korpusu do Torunia. Tam na dworcu czekała na nią szwagierka mojego brata, Kłodnicka. (Kłodniccy już nie żyją). Zabrała ona Kazię do siebie, bo w komendzie korpusu było już Gestapo. Komendant korpusu zdążył zwiąć i ukrywał się w innym miejscu. Kłodnicka była tylko sympatykiem organizacji, ale była wtajemniczona w działalność organizacji. Przez specjalnego kuriera umożliwiła Kazi porozumienie się z komendantem, od którego Kazia otrzymała polecenie dla mnie, abym przeniósł się do Schichau'a i z Elbląga kierował całością.

Poza tym Kazia spotkała w Toruniu swojego kolegę z szkolnych lat, niejakiego Walka. Ten wziął od Kazi nasze adresy i zapewnił, że następnego dnia, to jest 6 września przyjedzie kurier do nas do Kwidzyna.

W poniedziałek 6 września 1943 r. wczesnie rano wyjechałem do Elbląga i zameldowałem się w biurze przyjęć Schicha'a. Tu dowiedziałem się, że we wtorek o godzinie 12 mam zgłosić się na komisję lekarską a w środę jeszcze na jakąś inną i dopiero w czwartek stanąć do pracy. Przy zameldowywaniu się dostałem z biura przyjęć skierowanie do hotelu robotniczego i kartki żywnościowe (niemiecka pedanteria).

Mniej więcej około godziny 9 byłem już wolny, załatwiłem w biurze przyjęć wszystko. Odniosłem walizkę z rzeczami do hotelu robotniczego. Tam zastałem całą wieżę Babel — narodowości z całej Europy. Walizkę oddałem w portierni — portier mówił świetnie po polsku. Po załatwieniu tych wszystkich czynności postanowiłem powrócić do Kwidzyna, bo tam miał przyjechać kurier z Torunia a we wtorek rano wrócić do Elbląga.

Po przyjeździe do mojego mieszkania w Kwidzynie, około godziny 16, gospodyni przywitała mnie przykrą wiadomością. Powtórzę w przybliżeniu jej słowa: „Co jest z wami? Po was była policja! Wasze rzeczy policja zabrała!”

Po tak miłej wiadomości nogi mi zwaciały, ale trzeba było szybko się otrząsnąć. Ze spokojem i z wielkim zdziwieniem odpowiedziałem: „Jakim prawem zabrali moje rzeczy? Idę zaraz na policję po rzeczy”. Wyszedłem, ale nie na policję. Bocznyimi ulicami obrałem kierunek Gardej — Szembruk, do Karpińskiego. On wiedział, że jak przyjdę wieczorem, będzie oznaczać to wpadkę, że na piętach mam Gestapo.

Do Elbląga wyjechałem w skórzanej kurtce i żółtej koszuli, jakie nosili gestapowcy, w czapkę i krawacie i tak ubrany powróciłem do Kwidzyna. Przez miasto musiałem iść pomału, aby nie zwrócić na siebie podejrzenia. Szczęśliwie wyszedłem za Kwidzyn, doszedłem do lasu. Tu zrzuciłem kurtkę i schowałem ją pod mech oraz zdjąłem krawat i czapkę. Czapki rzucić nie mogłem, bo mam głowę niemiarkową (nr 60), schowałem ją pod koszulę na brzuchu i ścisnąłem paskiem od spodni, założyłem okulary. Znając mentalność oszczędnych Niemców byłem więcej jak pewny, że do głowy żadnemu z nich nie przyszłoby podejrzewać kogoś o porzucenie takiej kurtki.

Tak przebrany wyszedłem na szosę. Aby mieć coś w ręce, uciąłem po drodze witek i machając nią szedłem. Szedłem może z pół godziny, gdy usłyszałem za sobą szum samochodu. Nie oglądając się skrzyłem w pole i szedłem niby do pracujących tam ludzi. Samochód minął mnie. Dyskretnie obejrzałem się, rzeczywiście to była stalowa limuzyna, jaką jeździło Gestapo.

Po odejściu od szosy około 100 metrów, gdy samochód już odjechał daleko, aby nie wzbudzić podejrzenia u ludzi pracujących na polu, siadłem w bruzdzie niby dla potrzeby fizjologicznej. Po wróceniu na szosę maszerowałem już pewniej. Wiedziałem, że drugi raz tą samą szosą Gestapo nie będzie jechało. Mogła mnie chwycić tylko Landwache, ale ta zebrać się mogła nie prędzej jak za 3 godziny, kiedy ja powinienem być już za Gardej w lesie. Do lasu Landwache nie wchodziła, o tym wiedziałem. Pogwizdując maszerowałem pomału, aby pozorować spacer.

Około godziny 10 wieczór, 6 września 1943 r. wszedłem do domu Antoniego Karpińskiego w Szembruku. Najgorsze miałem za sobą. Karpiński naprawiał w kuchni rower. Stał tyłem do drzwi. Pamiętam, że powiedziałem cicho „Cześć, Antek!”

Karpiński obrócił się do mnie i usłyszał: „O Jezu, gonia cię!”. Obracając się, trzymał jeszcze dętkę z koła w ręku, ale jak stanął twarzą do mnie już nic w ręku nie miał. Złapał się rękoma za głowę i usłyszał: „O Jezu, co teraz?”.

„Daj jeść, głodny jestem”. Nic na razie więcej nie chciałem mówić, bo wiedziałem, że dostał jakby szoku. Dał mi chleba ze smalcem i surowego mleka. By-

łem bardzo głodny, w tym dniu prawie nic w ustach nie miałem. W trakcie jedzenia obmyślałem plan rozmowy z Karpińskim. Mieszkał on na wybudowaniu, daleko od wsi, tuż przy lesie. Nikt nie może go podejrzewać, że przetrzymuje trefnego delikwenta, bo przecież jest ich listonoszem. Jadłem i nie odzywałem się. Wieczór u Karpińskiego i w ogóle cały dzień 6 września 1943 r. będę pamiętał, choćbym żył 100 lat. Rano była gęsta mgła i dosyć zimno. Koło południa rozjaśniło się i było ciepło. Po południu nawet gorąco. Wieczorem oziębilo się, ale było jasno, gwiazdzicie.

Nareszcie przemówił Karpiński: „Słuchaj, czy naprawdę cię gonia?” Odpowiedziałem nawet wesoło: „Teraz chyba już nie, teraz albo jedzą kolację, albo śpią”. To go rozruszało. Nawet roześmiał się. Zaczęliśmy rozmawiać, opowiedziałem mu w krótkich słowach przebieg dnia, nic nie mówiąc o ewentualnym aresztowaniu Kazi. Karpiński już uspokoił się i zapytał co ma robić, jakie mam zadania dla niego.

Powiedziałem, że posiedzę u niego parę tygodni. Poprosiłem jednocześnie, żeby nazajutrz, jak będzie w Nogacie z listami, wstąpił do Kowala. Chciałem żeby Kowal przyjechał do mnie, miałem z nim jeszcze mały rozrachunek.

Karpiński po wysłuchaniu moich relacji zaprowadził mnie na siano do stodoły, gdzie zamieszkałem. Chyba w środę przyjechał do mnie Kowal. Poleciałem mu, aby w najbliższą niedzielę pojechali z Łaskiewiczem, piekarzem z Czarnego do Kwidzyna do młodszego brata Łaskiewicza żeby ostrożnie dowiedział się co jest z Kazią (bo Kazię znał) i czy były w Kwidzynie aresztowania. Za tydzień Kowal miał mi zdać dokładną relację z wykonania polecenia. Poza tym chciałem wiedzieć co słychać w Czarnem, czy Gestapo było u Drahta.

Wiadomość z Czarnego przywiózł mi po paru dniach Karpiński. U Drahta Gestapo było, poza tym w Czarnem był spokój. Draht tylko opowiadał, że Filip i Kazia są aresztowani. Stąd wiedziałem już, że Kazię aresztowano. Byłem jednak pewny, że Kazia nikogo nie wyda, że mogą ją bić, męczyć, ale ona na pewno nic nie powie. Żał mi było dziewczyny, ale z drugiej strony byłem spokojny, że nie będzie dalszej wpadki. Czekałem z niecierpliwością na wiadomość z Kwidzyna. Gdy siedziałem w tej stodole, na całym obszarze powiatu kwidzyńskiego Niemcy szukali kogoś — chyba mnie, Landwache dzień i noc rewidowała wszystkie pojazdy.

WALEK

Siedząc w sianie i czekając na wiadomości z Kwidzyna, rozmyślałem nad wpadką i aresztowaniem Kazi. Skąd Gestapo miało mój i jej adresy? W toku rozmyślenia wracałem myślą do Walka, kolegi Kazi. To była dziwna postać. Przebywał w obozie jeńckim gdzieś głęboko w Niemczech. Z początkiem 1943 roku został przewieziony do obozu w Toruniu. Tutaj miał możliwość wychodzenia na miasto. Kazia miała w Toruniu ciotkę, u której w latach szkolnych mieszkała na stacji. Kiedy Kazia jeździła do Torunia w sprawach organizacji, u tej ciotki spotykała się z Walkiem. Spotkali się również 5 września i wtedy Walek wziął od niej nasze adresy. Właściwie tylko dzięki temu, że miał przyjechać kurier z Torunia, ja wróciłem do Kwidzyna i uniknąłem aresztowania. Na pewno kiedy Gestapo nie zastało mnie w Kwidzynie, pojechali za mną do Elbląga, bo jak mi donieśli z Kwidzyna, po moim wyjściu z mieszkania za godzinę Gestapo było po mnie drugi raz — widocznie przyjechał z Elbląga. Siedząc w sianie stale przemysliwałem „co to był za kurier? co miał przywieźć? czy przyjechał? czy w ogóle miał przyjechać jakiś kurier?”.

(Cdn.)

Urocześnie w cządze roku ⁽²⁾

Aleksander Labuda

ZÓPUSTĚ

Nówieselszim cządem roku je gwēs karnawał. Je to czas od Nowé Roku do zópustów. Lědze no wsę mają tej wiele czasu. Jidą i jeżdżą se na goscę twę. Wieczór młodzieżna jidze na muzyci i rozgracęje, a starszi lědze schódają sę u sąsada, howorzą i prawią powióstczi i brawędę o dówných czasach.

Czej sę uszëkuje dobrô saniówka – tej jadą kuligiem o dalszych wsów. Starszi sódają na waszczci i sanie, a z młodszich kóždy na swoje soneczci. Na pierwszych saniach jadą muzykańcë, co muzykują ob drogę i w karczimie dozgrówny wsę. Czej sę ju natanćowalë rësą wesoło naziódka dodóm.

W tim jistnym wiesolim cządze roku kolędęją kseża w swoich parafiach. Skłódają wizytę kóžderny katolëcczi rodzëznie i wnósąją błogostawieństwo Bosczy w chęće.

Karnawał, kolędę, kulidzi, muzyci i rozgracęje kuńcą sę na trzecym dniu zópustów.

W niedzielô zópustną

Przëszlë zópustë do nas,
Bë užëwac póczy czas:
Miąska dejta tu na stół,
Niech chco pudze całi wół,
Niech choc pudą kurë, wulczy
I te smaczny gulë, gulczi:

Plinće pieczta, kuchë, kuchci
I niech będze kawior ruszci!
Niech muzyczka rznie od ucha,
Choc je buten zawierucha:
Pojmë w tunë na wëmiónczi,
A o dodóm – ani zmiónczi.
(lëd.)

We wtórk o dwanósti w nocë

Kuńcą sę ju zópustë,
Kuńc ti wieldzi rozpustë!
Niech przindą lědze do se!
Niech skrëcha pudze w niebiosie
Za wszëtci gorchë w tim oządze
Na morzu i na lądze.
Niech Bóg nama przebóczy
I nóm zobaczëc roczi!
(lëd.)

Pierwi le bogatszi lědze pieklë na zópustë kuchë i kuszczi, a biedniëszci – le plinće. Przez

trzę dni piekiwalë bialczi plinószczi, rôz z mączci tej zôs z bulew. Calëchnô wies pôchnëła za plinćama.

Pujkowa patelnia

W Stajszewie, dze no jesz do niedówna żelë czarownice, bialcëskô narzëkalë na te mólë fabryczny patelnie. Ale Pujka (przezwelë go tak, jize miól gromisti i widzali wås), co na miól tislewną rodzënë, dól so u kowôla zrobic dëcht rëmięwną patelnię, co mia jaż pół metra strzędnicë. Plinć upiekli na taczci patelni sygnął dlô wszëtczich domócech.

W zópustë Pujkowa patelnia mia wieldzi odbët, wëdrowa od sąsada do sąsada – jaż na ostatku dosta dzurkę i cekła. Otrók Pujków dól ję na złomiszczë zamiast do muzeum w Kartuzach.

Post

Wieldzi post
Mrzawny gost
Wëznie wama brzëcha,
Bo z tim zjësztu krëcho:
Nie dō miąska
Ani kąska,
Nie dō sadła
Bësta zjadła.
Le jesz grzibka –
Abo ribka
Na stół jidze.
A dëcht w biëdze
Zupę z brzôdku
Zjész dëcht rôdku.

(lëd.)

abo:
Mijó wieldzi post
Ten mrzawny czas;
Jidze Jaster Gost
I witô nas.

(lëd.)

JASTRĚ

Urocześnie jaster abo Wielgonocë obchódajemë w niedzielę i poniedzólk na zymku midzë Sztrumianą (25 sztrumiana) a kuńcem lëkwiatu.

Palmowô Niedzela

W Palmową Niedzelę reno żorgają knópi wierbowi wietewczci z rozpuszczonëma pëczkami. Kóž-

di z domôcech zjôdô jeden pęczuszk – prcëm
wszelejaczim chërom, osoblëwie chorobom gar-
dła.

Renëchno sôsôd jidze do säsada, uderziwô go
letko wietewką i gôdô:

Wierzba bije, jô nie bije
Za tidzeń – wioldzi dzeń:
Za noce trzë
A trzë – Jastrë!

(lëd.)

Wioldzi Piątk

W Wioldzi Piątk kol wieczora knôpi jidą do je-
zora, raszci abo błotka i tę zobocą w zebny wo-
dze. Takô kąpiel barni bodej od wrzodów, strë-
pów i jinszych chërow.

Święta

W niedzielę jesz przed wschodem słuńca hali-
wają so ze sztrëmienia, co no ze wzenika na
wzanik plënie – wodę wielgonocną. Ta woda mô
bodej moc uzdrowotną, wësëbtelniô miazdrę
i barni od wszelejaczich chër skórnych.

Lëdze skłôdają so zëczbë – Alleluja! Jidą i ja-
dą do koscoła na Rezurekcję. A doma ju czekô
na nich bokadny pokrzësnik: jajeczno praznica,
jôjka na cwiardo, czelbasa, sér, kuchë i kuszczi.

W pierszi święto lëdze sedzą doma, nôprzôd
w drëdzi święto lëdają sę goscëc.

Dëguse

W drëdzi święto dëcht renëchno chodzą knôpi
po wsë dëgowac. Wëkustrzony we wietewczy ja-
lówca abo brzôzk jidą od chëczy do chëczy, dë-
gują wszëtczech spiochów, przede wszëtczim dze-
wuse. A te, choć wrzeszczą, redë sę dają dëgo-
wac, jize to przënieśe jima zdrowie, pięknôtę
i szczescë w miłoce.

W niejednych okalach parobce dëgują i oblë-
wają dzewuse wodą wielgonocną. Czej te nie
zrobi, dzewus robi z taczim kawalerem kuńc:

Żalówôł jes kroplë wodë,
Nima z nama zgodë!
Z tobą na muzyczi
Nie pudę ju wicy!

(lëd.)

Lëdze z lepszego stónu nie chodzą dëgowac.
Ale colematô zjawi sę u nich knôpiczk z wietewką
jalówca w ręce, pozdrwiô, stanie kol dwierzi
i gôdô wiërtë z głowë:

Dëguse, hej dëguse!
Biada, chto jesz w łôzku je!

Bo jak kôze stôrô zwëcz,
Chôdômë dzys z chëczë w chëcz
Z wietewkama najich brzôzk
Powënëkac spiochów z łôzk.
Uczimë jich rano wstac,
Nie dac chowie długo żdac:
– Cobë kruszka dojiła,
Całą beczkę mlëczka da;
– Cobë bucza wôzëła,
Kôzdô trzë centnarë mia;
– Cobë kluka klukała,
Co dzeń po dwa jôjka mia,
Żëbë bëło z czegu dac
Tim, co chodzą dëgowac.

(A. L.)

abo:

Dëguse jidą, dëguse jidą,
Chowejta, dzëwczëta, nodzi!
W rëkach trzimają zelony bidë,
Zadadzą ból wama srodzi.
Przësza tu jesma na dëgusa,
Zaspiewac chcëma o Christuse,
O Christuse, co z martwych wstôł,
Alleluja! Alleluja!
Przësza tu jesma na dëgusa,
Nas, gospodëni, nie opuscë!
Jôj nama, plinców, nie żalujta,
Wszëtczech bogato obdarujta!
Dëguj! Dëguj! Dëguj! – wołają knôpi,
Dëgują dzewczëta różgą.
Choc ból je përzne trôpi,
Dorënczi szafują ful gôrzczą...
Christus z martwych wstôł, Alleluja!
Prëklôd nóm swój dôł, Alleluja!
Ostańta z Nim wszëtcë na wiecz,

Alleluja!

Ma jidzëma terô do jinech chëczy,

Alleluja!

(K. Derc.)

Zajk wielgonocny

Po dëgusach malinczi dzôtczy, skërne le wstô-
ną, wëbiegną buten zazdrzec do gniôzdów, co je
so wczora uszëkowałë na podworzim abo w ogo-
dze. Tam bo je gwës zajk zniostli!

Wiele ucechë mają dzôtczy, co jesz w ne zajka
wierzą – z jego zniostlech jôjków i bômków jajo-
watëgo sztôtu.

Zajku, zajku
Zniesë nama
Choc po jajku!
Jem le sama!
Nie bój że sę,
Bo sę ceszë
Z taczich jajków
Dobrech zajków.

(lëd.)

Ze Słownika Sychty

Wierzenia i zwyczaje związane z rolnictwem i rybactwem

Opracował Jerzy Treder

Wierzeń i zwyczajów jest w Słowniku Bernarda Sychty ogromna moc, zatem nie da się ich w miarę kompletnie tak prosto zaprezentować. Przedstawi się tu wobec tego fakty nie tak powszechnie znane, jak np. *dëgusë*. Nieco wierzeń i zwyczajów odnotowano przy kultach, przesądach, wróżbach, snach, wiedzy ludowej itp. Niżej zgromadzono fakty odnoszące się do pracy na roli i morzu oraz niektóre inne sposoby zabezpieczania się przed żywiołami.

Zacznijmy od zwyczaju stosowanego w KOWALSTWIE: Przez kowadło przekładano niegdyś ucznia kowalskiego podczas wyzwolin (Stężycy) II 222. Z wierzeniami łączy się inny zwyczaj: Kowół kładzie na noc dwa żelazła na krzyż, *żebë djôbeł nie włôżł do kuzni* (Mściszewice). Robią krzyż po zgaszeniu ognia i zbijają młotek z kowadła, *żebë djôblë nie gospodarzëlë ob noc w kuzni* (Stężycy) II 221.

HANDEL DOMOKRĄŻNY I USŁUGI: Kupiec domokrażny wjeżdżając niegdyś do wsi wołał: *Białczy, pojta kupiac, bo jô wama w jizbę wjadę* (Kępa Żarnowiecka) I 100. Jajecznik skupujący jaja wołał kiedyś, wjeżdżając do wsi: *Hańdel na mańdel jedze, szëkôjta jaja* (Kępa Żarnowiecka) II 8. *Białczy, białczy, jô cënëję garczy, bo jem doktorem od dzur – wołał ongiś lutownik wjeżdżając do wsi* (I 126). Do handlu porównaj nado przysłowia: *Borkowiôn umiérô, a jesz hańdlëje. Borkowiôn konô, a se jesz pitô, czë na tamtim swiece będze co do hańdlowaniô* (II 59). Idzie w nich o Bórkowianach zamieszkujących wieś Bórk i okolice w pobliżu Jeziora Gowidlińskiego w Kartuskiem. Mieli oni opinię nieuczciwych kupców i dlatego nazwa ich stała się synonimem szachraja, oszusta i krętacza (I 59).

RYBOŁÓWSTWO. Przysłowie mówi: *Lesôcë żëją z grzib, a Rëbôcë z ryb* (IV 308). Rybakowi do bize: *Rëbôk spi, a jadra mu łowią* (Jastarnia), aczkolwiek: *U rëbôka miech piëniëdzy abo gardło wodë* (Jastarnia), *Rëbôk czësto nie wrôcô do dôm*. Ci z kraju drwią z rybaka: *Nôglëpszi człowiek to rëbôk, bo on z wodë wëcygô mokré linë, a jesz w ręce plwie* (Kępa Swarzewska), na

co rybak odpowiada: *Rëbôkowi jic na krôj* (ląd) to sromota. *Bëlnëgo rëbôka grôb je w morzu* (IV 307). O rybach mówi też porzekadło: *Chto za żëcô wiele jôdl rib, temu to na grobie wëpomnq* – żartobliwa aluzja do pierwszych liter *r* i *p* umieszczanych na nagrobkach, a oznaczających „*requiescat in pace*” (pn-zach) VII 263.

Ryba ma zastosowanie w obrzędach, np. na weselu, i w lecnicztwie: *Wątroba od rëbë lëczq suchotë i zapalenië plëc* (Rewa, Mechelinki). *Żôlc od rëbë przëklôdajq na odmiarzłë i na chorë oczë* (Zatoka Pucka). Nieobojętny jest czas łowienia ryb. Starzy, doświadczeni rybacy znad jezior twierdzą, że najlepiej łowi się im ryby, szczególnie szczupaki, przed deszczem, a węgórze, gdy kwitnie groch. Ponoć także w niedzielę i święta zapewniony jest obfity połów na skutek pomocy ze strony złego ducha. Jeśli jednak rybacy w te dni nie łowią, to jedynie dlatego, ponieważ boją się kary, polegającej na bezustannym łowieniu ryb po śmierci, lub żeby jeszcze tego samego dnia zamiast ryb nie przynieśli do domu diabła. Łowienie w dni świąteczne surowo potępia opinia publiczna, co wyraża się m. in. w nadawaniu obraźliwych przezwisk, np. *Gnójcë*. O ile wierzyć można przysłowiu, rybactwo, zwłaszcza lądowe, na ogół mało przynosi zysku rybakom kaszubskim, ponieważ *Pan Bôg co dzwëjąc lat wëplôcô rëbôka*. Pociuszają się i gorszą rybą: *Dobrô i płotka, cziej szczëpôka ni ma*. Rybakom morskim, szczególnie z Jastarni i Boru, dobry połów wróży sen o drzewach, marny zaś połów i nierzadko nieszczęście wróży sen o burzynie. Wierzenie: *Złodziej ryb i sieci będze musiał po śmierci rozwiązać wszystkie węzły skradzionej sieci w miejscu, gdzie ją skradł* (Piecho-

wice) IV 305-306. Piątego dnia Pan Bóg stworzył rëbë i temu nôlepi łowi sę rëbë w piątk. Gódają, że w piątk lëchi początk, ale dlô rëbôka to je ribny dzień (Zatoka Pucka) IV 307. Matka Boskô Wëgornô (7 X) pozostaje w związku z odbywającymi się w tym czasie połowami węgorzy (Przymorze) III 59. Rëba jidze! – sygnał dawany rybakom, nawet w kościele podczas nabożeństwa, oznaczający, że zanosi się na połów, ponieważ zbliżają się ławice do brzegu. Na sygnał ten rybacy biegną nad morze (Przymorze) VII 263.

Każda osada rybacka ma swego patrona reprezentowanego zazwyczaj w kapliczce przydrożnej. Rybacy modlą się o dobry połów, zwłaszcza do św. Piotra, Mikołaja, a w Jastarni do św. Michała, zamawiając nabożeństwa w kościele, odbywają procesje w dni krzyżowe i w dniu św. Marka szczególnie na Helu i w Swarzewie. Wyjeżdżając na połów zdejmują czapkę i mówią: Dôj, Boże, szczeslëwi połów (IV 130). Matka Boskô Rëbackô – święto Matki Boskiej Szkaolerskiej (16 VII), połączone z odpustem w Swarzewie, zwanym rëbacczim. Rëbacczi tuńc – taniec obrzędowy wykonywany wyłącznie przez mężczyzn w korkach na nogach i z kuflem piwa w rękę. Rybacy wypowiadali tak swą radość w związku z wyruszeniem na połów, albo z powrotem z pomyślnego połowu (Przymorze) IV 308.

Rybacy morscy łączą się w tzw. maszoperie, zajmujące się wspólnym połowem i podziałem ryb (Przymorze). O podziale ryb decyduje wkład sprzętu rybackiego i pracy. Tak np. w Kuźnicy każdy rybak musi posiadać co najmniej dziesięć żaków i część niewodu. Kierownik maszoperii, tzw. szëper, dzieli połowem jednakowo wszystkich maszopów. Wdowa otrzymuje tylko połowę przydziału przypadającego na maszopa, o ile nie cygnęła sieci, o ile zaś szła do pomocë, otrzymuje całowiti part (Zatoka Pucka), czyli tzw. dzël (Karwia, Dębki). Może ona także w swoim zastępstwie posłać dorastającego syna lub kogoś obcego, z którym dzieli się swym partem na połowę. W dzień Trzech Króli odbywa się zabawa rybacka, tzw. maszopskô (III 57). W święto to gromadzą się szëprowie ze swoimi załogami w chëczy jednego z rybaków, gdzie planują roboty na rozpoczęty nowy rok. Przy okazji darują sobie urazy, całują się jak bracia, nazywając się wzajemnie drëchami. Narada kończy się poczęstunkiem i muzyką, czyli maszopską. W dawnych czasach na takiej naradzie podawano puczyć piwo, uchodzące za lepsze od gdańskiego. Przed wypiciem piwa rozlewano niewielką ilość tego trunku na ławę, a potem siadano na nią: Czedë buksë przëlepiłë sę do ławë, piwo bëło dobrë (Przymorze) V 250. Każda maszoperia wiązała kiedyś co roku wspólnie swój własny niewód na łososie. Po tej zespołowej pracy odbywało się w zapusty poświęcenie niewodu oraz uczta w domu szypra, polączona z tańcami około niewodu, będąca jakby inauguracją zorganizowanej maszoperii. W dzień św. Józefa zaczynało po raz pierwszy łowić nowym niewodem. Połowę pierwszego połowu łososi otrzymywał w Kuźnicy ksiądz (III 251). Od połowu łososi ksiądz w Jastarni otrzymywał dawniej jedną czwartą czyli tzw. mędel, kościół zaś dwa mędle (III 26).

Połowy odbywały się na tzw. toniach, tj. przeszerzeni wód, na której ktoś ma prawo łowić. Koźdi rëbôk mô swoje tonię. Tonie posiadają także maszoperie. Cenne z uwagi na stare tradycje rybackie są nazwy poszczególnych toni. Sychta wymienienia tonie z jeziora Klęczno w Potęgowie, z jeziora Białego tamże, z jeziora w Łapalicach (V 736).

Inne zwyczaje rybackie. Rëbôcë przewiazają czerwionë blewiczczë do sęców, żebë jich nicht nie zarocził (IV 333). Rybacy w Rewie kurzëłë piérwi swiconym zelim jadra, jak one bëłë uroczone (pn) II 308. Do większych łodzi przybijają obrázky św. Piotra lub innych apostołów (Rewa) III 22. Na Helu suszą morsziëgo kura (kurek szary) nad kominkiem i zawieszają na nitce u sufitu, aby wskazywał im kierunek wiatrów (III 113). I jeszcze dwa wierzenia: Flundra mô krzëwi pësk, ponieważ pyszna i zazdrosna skrzywiła się na wieść o tym, że ryby okrzyknęły śledzia królem. Stąd poszło porównanie: Mô krzëwi pësk jak flundra (I 284). Szczeslëwi marëna, co sę dostonie w królestwo rafów, bo tam bądze mógł żëc dali, ale on sę tam w rëbë zamieni i mdze służył morszi pannie, chëtëna je królewą raf (Kępa Żarnowiecka) IV 292.

ROŚLICTWO. Rybacy wżgardzają gburem: U gbura to je za ostatnô dzura. Ponoć na półwyspie modlą się: Od póltora drewna (cepów), drzewianëgo grzebienia (grabi), krzëwëgo żelaza (kossy) wëbawi nas, Panie. Gbur kaszubski ma jednak wielkie poczucie własnej godności, o czym świadczą przysłowia: Gbur to mur, dzys mu gapa oczë wëdzobie, a witro on dali zdrzi. Jak u gbura ni ma, to nigdzie ni ma. Gbur spi, a mu rosce (I 314).

W adwence ziemia spi i je chorô, cziej sę ję orze (I 2), a więc w zimie ziemi orać nie wolno, może się bowiem rozchorować i zaprzestać rodzić (I 378). Dzień św. Józefa uchodzi za początek wiosny. W tym dniu gbur odkładał dawniej choć jedną tylko skibę, nawet gdyby śnieg pokrywał pola, zgodnie ze starym przysłowiem: Na świętëgo Józwa przez pole brôzda (II 109). Przystępując na wiosnę do orki, gbur klôł przôdë na sjece chlëb w pierszą brôzdę i gôdôł: Na jimië Boszczië (Puzdrowo) II 34. Natomiast w domu żona jego nie zapalała światła, żebë pole nie świecëło lësq banią (śr) III 334.

Matka Boskô Séwnô (8 IX) uchodzi za najodpowiedniejszy czas do rozpoczęcia zasiewów jesiennych (III 58). Gbur kaszubski sieje zazwyczaj sam. Sieje w milczeniu i uroczystie. Rozpoczynając sëwbę zdejmuje nakrycie głowy, żegna się i pierwszą garść ziarna rzuca w ziemię na krzyż. W dniu zakończenia siewu domownicy oblewają wodą i obsypują zbożem wracającego gospodarza. Pomyślność siewu (Sierakowice) zależy też od tego, czy podczas niego nie odezwią się z wieży kościoła dzwony bijące na Anioł Pański (V 6-7).

Na św. Małgorzatę (10 VI) sadzą brukiew, choćby panowała największa susza, ponieważ świętô Măłgorzata ob noc polëwô wrëczy (śr) III 42. W Żarnowcu sadzą ogórki w wigilię Wniebowstąpienia Pańskiego, o godzinie 14, miano-

wicie w chwili, gdy pielgrzymki z kościoła w Wejherowie wyruszają na Kalwarię. Wówczas teli mdze gurk, wiele lédztwa jidze na Górë (I 385). Bulwë sadzą, cziej niebo je popriskónie drobni-mo blónama, tej one mdą miolë wiele pod krzem (pn). Bulwë może wiedno sadzëc, le nié na Jakuba i Filipa (I V), ani w krzizewé dnie (9 V). Cziej lédze jidą bulwë sadzëc, to jeden drédzięgo musi przewrócëc, żebë bulwë bëłë wieldzië (Brzeźno Szl.) I 89.

W celu wywołania urodzaju owiązuje gospodarz w wieczór sylwestrowy drzewa owocowe słomą, budząc je słowami: Spisz, a nie rodzysz, nie spij, a rodzë (IV 333). Porównaj: Podczas obrzędowego obwiązywania drzewek na urodzaj w wigilię Nowego Roku dzwonią i wołają głośno: Jędrzné jabka, jędrzné krëszczi, jędrzné slëwë, jędrzné żëtko na ten nowi rok. Nie biegôsz, nie zwonisz, nie wolôsz, tej nic nie chce rosc, tej ani brzôd, ani zbożë nie są jędrzné, bo oni tego nie czëją (pn) II 90. Na gałęziach drzew rosnących dookoła Grabowiska (cmentarza końskiego w Mściszwicach) zatykano niegdyś końskie czaszki (I 352), ponieważ urodzaj na polach wywołuje czaszka końska zawieszona na drzewie (VI 27).

Jest zwyczaj, że w bulwach, czyli podczas wykopek, dówają lédzom dopôłnik (pn-zach) I 231. Według prawa ludowego za robotę przy kopaniu ziemniaków względnie wrywaniu brukwi pracownicy otrzymywali ongiś krój (skraj pola), na Kępie Żarnowieckiej otrzymują jeszcze dziś (II 234). Za związanie ostatniego snopa żniwiarka otrzymywała kiedyś od gburą miskę mąki i bochen chleba, a za wykonanie ostatniego krza bulew koszt ziemniaków (śr, pn-zach) I 25-26. Porównaj: zajca uchwacëc czyli zakończyć kopanie ziemniaków; za schwytywanie zajca otrzymywano w nagrodę bochen chleba (pn) VI 173. Za ostatni cierz bulew otrzymywał chłopiec od dziewczyny całusa, jeśli jej pomógł w kopaniu (II 319).

Do rosnącej na polu kapusty nie będzie miała czarownica przystępu, gdy się ją ograbi lub oborze (III 333). Chyba to refleksem oborywania wsi, żebë cholëra ni miała do ni przistępu (I 227). Marchew wykopują dopiero po św. Jadwidze (po 15 X), ponieważ święto Jadwiga kładze lëżkę miodu w marchew i temu ona je słodko. Podobnie tłumaczą sobie słodycz brukwi (III 50). Marchew chroni przed żóltaczką (Kępa Oksywska) III 59. Marchew dostarczała niegdyś na całym Pomorzu żóltego barwnika do masła (III 50). Mak na polach, ogrodach rozsëwô w adwence Grzenia, czie on ziemię chce uspic na zëmę i temu go je tak wiele (Puzdrowo) III 38. Nie należy robic torfu, cziej miesąc odbiëró, albo – jak l-naczej mówią – cziej miesąc je na twardim scho-dze (V 372).

Co dzień gospodôrz jidze przed spaniem do chlëwa i żegnô wszëstką chowë. Na całych Kaszubach zawiadamiają chowë o zgonie jej właściciela (II 51). Krowę świeżo ocieloną powinna po raz pierwszy wydoić sama gospodyni. Rozpoczyna ona dojenie na krzyż, ciągnąc po trzykroć za każdy strzyk i skierowując mleko na ziemię. Po wydojeniu kreślą znak krzyża, osobno nad wymieniem krowy, osobno nad mlekiem, celem odwrócenia czarów (VI 73). Cziej krowa chce

stanąc, doją ją ostatny rôz w niedzielę i trzë razë żegnają wimię (V 148). Nólëpi w niedzielę zasëszëc krowę, tej ona na dniu sę oceli. Nigdë nie powinno sę zasëszëc krowë na schodze miesędza (V 40). Cziej krowa zeżgrze podwójny kłos, bédze mia pôrkę (śr) II 175. Świnie zdechlë chówają na cëzy zemi (pn-zach) V 201. Cziej konie nie chcą żgrzëc, to trzeba jim szëtopierza wmurowac w kum (Wejherowskie) II 296. Przôdë na swiece gospodarze nie sprzedôwałë starëgo konia swëgo chowu, ani go nie zabijałë. Na zô-pustë kupialë krowę na zabicë, żebë obszczëdzëc krowë włôsnëgo chowu (VII 100). Zgrzëbnë klaczë nie zaprzigają w pogrzebowi wóz, bo może porzëcëc (II 156). Przed udaniem się na pasterkę budził niegdyś gbur razem z domownikami zwierzęta domowe odzywając się: Më terô jidzë-më na pasterkę, pojta z nami (Kartuskie). Również udawał się do sadu, gdzie w podobny sposób budził drzewa (Wejherowskie) IV 42. Porównaj podobnie pod hasłem gwioźdzka I 389, gdzie też o dawaniu zwierzętom lepszej paszy na gwioźdzkę, nawet kurom i rybom (I 390-391).

Nasadzanie drobiu rozpoczyna się już wczesną wiosną. Jaja pod gësë trzeba klasc na nowiu i pod dobrim znakiem. Za taki pomyślny znak uchodzą gwiazdozbiory barana, byka, lwa i wagi, natomiast dzień św. Józefa bez względu na jakikolwiek znak uchodzi za dzień najbardziej dla tej czynności odpowiedni w myśl zalecenia: Na świętego Józefa je wiedno dobrze nasadzëc gësë. Kury nasadzają również na nowiu w dzień ciemny, pochmurny, żebë jaja bëłë cemnë (zależone). Jaja podłożonë pod kurę w dzień jasny biwają colemalo pustë. Żebë kurczëtom są lzi wëlôżalo z jajów, dobrze je dac kurze jaja w dzień święti, a nigdë w dzień świętëgo, a ju przenigdë w dzień męcennika (śr). Żebë sę lëglë kokoszczë, dają pod kurę mniëszë jaja, żebë sę lëglë kurczë, dają wieldzi jaja (Jamno). Nasadzanie drobiu odbywa się w milczeniu późno wieczór, cziej ju całë chëcëcë połôżëłë sę spac, a to temu, żebë gąsătka czë kurczătka baro nie piszczalë, le chutko chodzëłë spac. Żebë one sę o ten sôm czas wëkluwalë i potem bëłë żërnë, powinna białka po dwa jaja klasc i przë tim jesc. Nie oplacy sę nigdë dawac jôj pod klukę czë bëkë na świętëgo Marka, bo bëłno kurczëta i gąsëta z jajów wëlëzq, ju one lôtają jak Mark po piekle (II 74).

Dzercë piór odbiwało sę przôdë w zôpustë (I 263). Wtedy też u rybaków odbywały się tzw. zesziwinë, a u rolników np. tańce obrzędowe wokół lnu. Len odgrywał niegdyś wielką rolę w obrzędach zapustnych, mających na celu pomyślność wegetacyjną. Tak np. białczy skôkalë wësok, żebë jim len urôł wësoczi (Sierakowice, Puzdrowo, Gowidlino). Istniało silne przekonanie, że należy w zapusty koniecznie tańczyć dla wywołania urodzaju lnu. Najbardziej powszechny był magiczny taniec na dobri len wykonywany zwykle przez starszą kobietę naokoło lnu lub z garścią lnu za pasem (śr.). Posag panny młodej obliczano niegdyś według tego, wiele ona miała wałów lnianëgo płótna (II 353). Wiëc piërwi lë-dze okraczëwalë lnem gromice do posjëceniô na pamiątkę, że Matka Boskô przëdła len (Sulëczyño) I 366

Do czasu drugiej wojny światowej istniał tu i ówdzie na Kaszubach zwyczaj, że gdy gospodarz po raz pierwszy podczas żniw zjawił się na polu, obstępili go kosmicę z kosami, a grabiōrczi słomianym powrozem okręcały mu ramię. Gdy gospodarz w towarzystwie żony przybywał na pole, żniwiarki wiązały jich razem, jego za prawę, a ję za lewé remię. Ponieważ powitanie takie uchodziło za wielki zaszczyt, gospodarze ze wstydem wracali czym prędzej do domu, gdy im tego zaszczytu odmówiono. W podobny sposób witano na polu dorosłe dzieci gospodarza oraz ich gości. Z okręconymi powrósłami wokoło ramion wracali do domu (VI 308). Po zakończeniu żniw, mianowicie podczas ożniwin, podrzucali brakōwczǝ (dziewczyny grabiące zboże po raz pierwszy) w górę, w zamian za co musiały się wykupić (Puzdrowo) VII 20. Oknem podawała niegdyś przēdnica (przodownica) wieniec dożynkowy (III 307). Dokosnik plece krutkę (wieniec ze zboża) (Kępa Żarnowiecka) I 227. Klōszi z marchwią – w Puzdrowie obrzędowa potrawa podczas dożynek (II 169). Zōpolę (przedział w stodole, gdzie się składa zżęte zboże) kropią święconą wodą, bez tego Kaszēba nie wewieze zbożō (VI 184). Rek wrzucony w zōpol chōni zbożē przed mēsiami (Wejherowskie) IV 315. Klēcza (patyk przy wozie żniwnym) mō odstraszcē mēsē i złē duchē (śr.) II 163. Pierwszą furę zboża należy wywieźć wśród największej ciszy. Jim cēszi sę wewieze, tim cēszi bēdą sę zachowywalē mēsē. Pierwsze cztery snopy układa na krzyż sam gospodarz (V163). Krōla (pierwszy snop) umieszczają na środku sęsieka, dopiero naokoło krōla ustawiają dalsze snopy. Krōla młōcą na końcu. Zwyczaj wiązania dożynkowego krōla znany był dawniej zarówno na dworach, jak między chłopami. Jadąc z krōlem do domu śpiewano: Jedze krōl z naszēch pōl prosto do stodōl, a cziej krōl wlēze w dōm, zdżinie biēda, bōl (Kępa Żarnowiecka) II 257. Święcony piolun rzucają w zōpol, cziej z pierwszą fōrą wjadą na klepisko, žēbē w stodolę piorēn nie trzasł (IV 284).

GODZENIE SŁUŻBY: Piērwi na Michała godzēlē służbę (I 335). Na świętēgo Michała rzi-dzēlē wic piērwi dzēwczǝ, a na świętēgo Mōrcēna parōbkōw (pn) III 165. Wiēc piērwi rządzēlē czelōdz na świętēgo Mōrcēna, zōs potem colemało na Nowi Rok (IV 391). Dzēwka musi przīnc o wieczōr na służbę, tej ona mdze cali rok słu-żēla, bo jak ona przīndze reno, to ona nie do-służy roku (Podjazzy, Puzdrowo, Tuchlino) I 264. Chto chutko jōdō, chutko robi. Jak chto jōdō, tak robi (II 67), a porównaj zwyczaj: Piērwi, cziej dzēwkę rządzēlē, dalē ji jesc. Cziej ona chutko jadła, to ji nie urządzēlē, bo ona bē za poma-linku robiła (śr) I 264.

INNE ZWYCZAJE I WIERZENIA: Nigle chlēb wsōdzō w piec, trzeba piec przeżegnac. Dzes białka piekła chlēb i zabōcza przeżegnac piec. Jak ona chca ten chlēb wējāc, tej go w piecu nie bēlo (II 34). Nasza nēnka, nigle nowi chlēb zacznie krajac, to ona go przedtim przeżegnō. Nigle zaczinōmē jesc, to mē sę žegnōmē (VI 285). Poświęcone kłosy zboża przechowują do jesienno siewu lub dodają bydłu do sieczi

(III 59). Jak sę cēgōnka rozgorzi, zarosce trōwā podworzē, czyli gospodarstwo upadnie (śr) IV 109. Porównaj: Po wyjściu Cyganki z domu sypią sōl w ogień, by ni mogła nikomu złe zrobic (IV 332).

HODOWLA OWIEC. Szēper abo owczōrz cie-szył się ongiś na Kaszubach wielkim poważa-niem, m. in. lēcził lēdzy i chowē, ob zēmę przādł doma welnę, a ob lato wiązł na polu nogawice, rękawice i wēpsē dlō siebie i jinēch (V 248). Oz-naka owczarza: Owczarze kaszubscy gwizdałē na charakterystycznej piszczōwce, umieszczonej na zgietym końcu leszczynowej laski pasterskiej, z którą tworzyła jednā całość. Zнали ją też ow-czarze z Kociewia (III 349). Porównanie głupi jak szimbarskō owca zawiera aluzję do wsi Szym-bark w Kartuskiem, znanej niegdyś z hodowli owiec. Przysłowie: Na święti Krziż (3 V) owce strziż (Zabory). Wierzenie: Starō panna bēdze przed pieklim owce pasc, a stari kawaler bēdze je nawrōcōl (Zabory) III 348. Na gromiczną pas-tur z mili widzōl wilka w owczarni, jak słuńce, bo bēdą mu owce chorzałē (III 350), też: Słurice świecqcē w Nowi Rok szkodzi chowie (V 198).

ZWYCZAJE PASTERSKIE: Jak to grzmi, nōstarszi pastur z robi czijem krąg, a w tim kręgu krziż, žēbē zli duch w ten krąg nie wlōzł i tej wszēcē posturze w ten krąg wchodzą (I 381). W Stōri Rok o dwanōsti w nocē pasturze trzaskają ba-tigami, žēbē krowē sę jim nie gżēlē ob lato (Sie-rakowice) I 397. Przed zachodem słońca gęsiarki mówią: Jesz trzē malē chwiluszczi chodzta, moje piluszczi (Puzdrowo) II 63. Czie pastur zom je zēmno, tej oni nodzi wkłōdają w świezi krowińc, a jesh czims przēkriwają, žēbē to ceplo trzymało (Wejherowskie) III 212. Piōskem zarzucają pas-turze odżin na polu, a tej na ten piōsk naplwią i robią na nim czijem krziż. Corocznie późną wiosną, w oznaczonym dniu, odbywały się na dworach ostrzēžēnē (strzyżenie owiec). Obrzęd rozpoczynał się wyprowadzeniem owiec z owczar-ni do moczēdła (stawu), gdzie je moczono i ka-pano. Na przodzie przy dźwiękach harmonijki kroczył owczarz z długimi włosami, w dużym, sło-mianym kapeluszu na głowie i z długą laską pas-terską w ręku. Cziej owce ju bēlē wēkōpōnē, tej szēper zaprowadził je nazōd z muzyką do ow-czarni. Owca z nōlepszą welną to bēla ta krō-lewō. Jej rēno (welnę) przywiązywał owczarz do drąga zwanego motowidlem i szedł z nią przed owcami. Motowidło wkopywano na środku pod-wōrza, po czym naokoło motowidła odbywała się zabawa taneczna, podczas której właściciel owiec raczył wszystkich obficie wōdką. Pod ko-niec zabawy chwymano owczarza. Po związaniu mu nōg wieszono go na taczce do moczēdła, ale już nie przy dźwiękach harmonii, lecz wśród gło-sów naśladowujących beczenie owiec. Tam myto i strzyżono mu włosy (Kępa Żarnowiecka) III 345-346.

WIERZENIA I ZWYCZAJE ZWIĄZANE Z ŻY-WIOŁAMI. W ostatni dzień oktawy Bożego Cia-ła zanoszą do kościoła wianki do poświęcenia. Służą one do obkadzania domu i zabudowań gospodarskich, by je uchronić od pożaru i

grzmotu. Po roku pokruszone wianuszki podaje się bydłu, by przywrócić mu apetyt. Wyniesione na pole chronią od gradu i sprowadzają urodzaje (III 317). Poswięcone winôszczki z rozchódnika (rośliny) kładzą w zópoli na sztêrzech swiężêch snopach polożonêch na krziż, żebê grzmot nie trzasł w stodołę (IV 350). Poświęcone w kościele palmy zabierają do domu, ponieważ posiadają właściwości atropeiczne, jak to wynika z poniższych przykładów: Palmê zatikajg za balgę pod dakem abo za obrazê w jizbie, żebê piorën nie trzasł nigdê w chêcze. Nigle wjadą z pierszq fôrą do stodołê, kładzg w zôpol dwie palmê na krziż, żebê w nię nie uderzêło. Jedni wtikają palmê w ziemię na polu, żebê dobrze rodzêła i gród nie potłukł zbożêgo. Jini zanôszajg palmê w chlêw, żebê chowa nigdê nie chorzala, abo do pszczolów, żebê dôwałê wiele miodu. Bialczy wkłôdajg palmê w gêsê gniôzda, żebê gqsątka szczeslêwie wêlôzałê z jajów. Dobré gospodênienie wiedzq, jak palma je pomocnô, żebê sê mlêko nie psowało. Rêbôcê rzeszajg palmê w sêce, żebê czarownice nie odebrałê jim szczescêgo, cziej oni wêjadq na rêbê (też Kociewie i Bory) VII 217. Chto w Niedelę Palmowq zjê trzê baszczi od swiconêch palmów, w tego grzmot w tim roku nie uderzi (pn-zach) VII 8. Lêdze biorzq glowiencki (ciernie swięcone w Wielką Sobotę) do dóm i wtikają pod balgę, żebê chronilê budinczi przed grzmotem (Chwaszczyno, Osowa, Kielno, Koleczkowo) I 328. Cziej to sê żalisknie na krziż, tej to wiedno uderzi (III 22). Gromica odgóniô djôbla,

grzmot i odżin (I 366). Według legendy Nôswiętżó Panna szla bez las ze zapôlonq gromicq i odstrôszala wilczy. I temu piérwi lédze, cziej oni jachalê abo szlê bez las, pôlêlê odżin, żebê odnêkac wilczy (I 366). Tu i ówdzie (np. Kujaty i Tuchlino) robiq krzyż zapalonq gromnicq na belkach stropowych, żebê piorën nie trzasł w chêcze (I 366). Kur (ozdoba dachu) bróni budinku przed piorënem (II 300). Piorën nigdê nie trzasnie, dze jaskulczy majq gniôzdo (I 331). W lëpê nigdê piorën nie uderzi, bo lëpa to je swiętê drzewo (II 355). Ognia od piorëna ni musi gasêc (I 307).

Baro niebezpiecznô je grzmotówka w nocê, bo o tim czasu nôwiêcy zlich duchów krqcy sê po swiece. Niekiedy uważa siê grzmotówkê za istotê żyjącq, która wszêtko widzy i czêje. Podczas tej burzy z grzmotem nie wolno siê śmiać, głośnie gadać, robić lub gasić ognia, stać przy piecu, ścianie i oknie (pn) I 381.

Kalmusem strojilê piérwi w Zeloné Swiãtci dwiêrze, a jedni rozdrzucalê kalmus po podworzim (II 121). Zdarza siê niekiedy, że zwonê same zwonig, ostrzegajqc wiês przed nieszczêciem, np. pożarem, gradobiciem, zarazq, wystqpieniem morza z brzegów itp. (VI 254).

Jak głoši tradycja, wróble żyly niegdys w tak duzych ilościcach, że staly siê prawdziwq plagq rolnictwa. Żeby zachêcić ludnośc do ich tępienia, pobierano zamiast pieniêdzy opłatê w postaci wróblích glów z okazji otwierania szlabanu na rogatkach miast (Kêpa Żarnowiecka) VI 108.

Przed układem kępińskim (19)

Między Nakłem a Anagni

Jan Powierski

KRZYŻACY A WYBUCH WOJNY NAKIELSKIEJ

Podczas gdy w Polsce latem 1255 r. groził wybuch wojny pomorsko-wielkopolskiej, Krzyżacy umacniali swoje pozycje w Prusach i Inflantach. Mistrz krajowy inflancki Anno von Sangershausen podjął niszczycielską wyprawę na Żmudź, która nie przyniosła jednak podporządkowania tego kraju. Zapewne już po tej wyprawie Anno udał się na Ozylię, gdzie rozszerzył w dniu 27 sierpnia 1255 r. przywileje dla tamtejszych zachodniofińskich mieszkańców. Chodziło może o uciśnienie narastającego niezadowolenia Ozylijczyków, które mogłoby być niebezpieczne w okresie zbrojnych walk ze Żmudzinami i dyplomatycznych zatargów z arcybiskupem ryskim Albertem Suerbeerem, jego sufraganami i chyba też estońskimi lennikami króla duńskiego. Wkrótce potem przybył do Inflant i Sambii sam wielki mistrz Popop von Osternohe, któremu rozmowy z Annonem nie zajęły wiele czasu bowiem

już 20 września przebywał w Kłajpedzie. W październiku, w wyniku narad z Annonem król litewski Mendog nadał Krzyżakom faktycznie nie podlegające mu terytorium Zelonii, leżącej dziś w południowo-wschodniej części Łotwy i w północno-wschodnim skrawku Litwy. Mendog zawiadomił też o nadaniu papieża. Annonowi niewątpliwie chodziło o umocnienie praw do spornej z arcybiskupem ryskim ziemi, Mendogowi zależało na utrzymaniu sojuszu z rycerzami zakonnymi w celu wspólnej walki ze Żmudzią — wszak na wyprawę Annona wysłał posiłki.

Na terenie Prus tymczasem — może pod koniec lata, gdy Poppo udał się do Inflant — pruskie plemiona Skalowów i Nadrowów wraz z sąsiednimi Jaćwiegami postanowiły umocnić pogranicze ze świeżo opanowaną przez Zakon Sambią. Jaćwiegowie uznawszy widocznie zabezpieczenie dwu wymienionych plemion przed agresją krzyżacką za sprawę najważniejszą, poszli na kontynuowanie polityki ustępstw wobec Rusi, godząc się na uiszczenie kolejnej daniny Danielowi halickie-

mu. W każdym razie Jaćwiegowie, Nadrowowie i Skalowowie budowali nad Pregołą gród Welawę, który miał bronić Nadrowii przed wyprawami krzyżackimi z Sambii i Natangii. Jednak pozostawiony w Welawie jako dowódca załogi nadrawski nobil Tirsco nieoczekiwanie przeszedł na stronę Krzyżaków. Była to nie pierwsza i nie ostatnia zdrada współplemieńców przez nobilów, którzy obawiając się, że w trakcie walk obronnych z Zakonem uzbrojone masy ludowe nie pozwolą się eksploatować, gotowi byli godzić się nawet na utratę niepodległości, gdyby Krzyżacy zagwarantowali im dziedziczne posiadanie majątków.

Komtur królewiecki Burchard v. Hornhausen wykorzystał teraz doskonałą znajomość terenu Tirska. Wziąwszy go więc za przewodnika wkroczył do położonej nad Łyną u jej ujścia do Pregoly ziemię Unsatrapis i zdobył tam jeden z grodów. Unsatrapis i broniącą nadal swej niepodległości część Natangii stanowiły aktualnie jedyne jeszcze tereny pruskie, pozostające poza zasięgiem podboju krzyżackiego na obszarze na zachód od dolnej Łyny, groźne dla panowania zakonnego, gdyż mogące posłużyć jako wrzynający się między Sambię a Barcję przyczółek dla ewentualnej kontrofensywy wolnych ludów bałtyjskich. Wyprawa Burcharda miała zadania rozpoznania terenu i przygotowania większej wyprawy. Burchard niewątpliwie był poinformowany, że właśnie na wyprawę do Prus szkuje się margrabia brandenburski Jan I, który nie chciał być gorszy od swego brata Ottona III, kilkakrotnie już biorącego udział w krucjatach pruskich. Margrabiowie brandenburscy byli zbyt rozsądni, by we własnej Marchii poczynić jakieś nadania dla Zakonu. Brandenburgia była jednym z nielicznych krajów niemieckich, w których Krzyżacy nie mieli posiadłości. Za to, jak już widzieliśmy poprzednio, margrabiowie należeli do najaktywniejszych uczestników krucjat pruskich. Nie można zupełnie wykluczać możliwości, że świadomie dążyli do zagwarantowania sobie na przyszłość sojuszu z Zakonem, by wspólnie z nim wziąć w kleszcze ziemie polskie. Od dawna bowiem margrabiowie rościli pretensje do zwierzchnictwa nad Pomorzem Zachodnim, uzyskując do tego kraju — i następnie tracąc — uprawnienia z nadeń władców niemieckich z dynastii Hohenstaufów. Może już wówczas apetyty ich sięgały też na Pomorze Gdańskie, niedawno przecież uzyskały uznanie zwierzchnictwa przez książąt Pomorza Zachodniego Barnima i Warcisława. Jednocześnie margrabiowie mieli też apetyty na Wielkopolskę, której bezpośrednimi sąsiadami zostali po zajęciu należącej poprzednio do książąt śląskich ziem lubuskiej. Przemysł I stawiał im jednak skuteczny opór. Teraz więc, gdy Jan I przygotowywał się do krucjaty do Prus, zaś Przemysł I musiał toczyć wojnę o Nakło, doszło między tymi władcami do porozumienia. Jak zwykle w średniowieczu miało być ono umocnione przez nawiązanie koligacji małżeńskich. Ułożono więc gdzieś jesienią 1255 r. zawarcie w przyszłości związku małżeńskiego między synem Jana I i jego pierwszej żony Zofii duńskiej, urodzonym około 1238—1240 r. Konradem, a córką Przemysła I Konstancją, urodzoną w 1245 lub 1246 r. Na przeszkodzie małżeństwu stało jednak bliskie pokrewieństwo, gdyż Konrad i Konstancja byli praprawnukami Mieszka III Starego (od którego Jan I wywodził się naturalnie po kądzieli). Przewodniciele margrabiego Jana udali się więc do kurii papieskiej z prośbą o dyspensę, tłumacząc, że zawarcie małżeństwa jest potrzebne tak dla pokojowego uregulowania konfliktu, jak również dlatego, że podobno podobano się królowi rzymskiemu Wilhelmowi holenderskiemu. Dodatkowym argumentem dla papieża była jednak zapewne informacja, że Jan I zamierza wziąć udział w krucjacie. Nie znamy bliżej takich powiązań politycznych, które wyjaśniałyby nam, dlaczego Wilhelm holenderski miałby być zadowolony ze wspomnianego małżeństwa i tym samym z sojuszu brandenbursko-wielkopolskiego. Do aktualnie najgroźniejszych przeciwników Wilhelma należeli broniący swej pojętej w duchu republikańskim niepodległości Fryzowie. Wspólnym wrogiem Wilhelma i margrabiów brandenburskich mogła stać się Lubeka, umacniająca właśnie swe polityczne powiązania z innymi miastami północnoniemieckimi późniejszej Hanzy. Czy jednak istniały

związki między Fryzami, Lubeką i Pomorzem Gdańskim, jedynym krajem, który mógłby wyjaśniać postawę Wilhelma wobec Wielkopolski, trudno stwierdzić bez specjalnych badań.

19 grudnia Aleksander IV, który rezydował w tym czasie w swej siedzibie laterańskiej w Rzymie, udzielił dyspensy na małżeństwo między Konradem a Konstancją. Z poselstwem brandenburskim niemal na pewno działał przedstawiciel Zakonu, który następnego dnia uzyskał od papieża wezwanie, skierowane do biskupa ołomunieckiego Brunona, by zajął się sprawą naruszenia praw i posiadłości Zakonu w Neplachovichach (pod Opawą). Jak widać, pozostający dotychczas pod specjalną opieką Przemysła Otokara II czeskiego Krzyżacy w drugiej połowie 1255 r. byli zagrożeni w swych posiadłościach morawskich. Czyżby wiązało się to z planami władcy czeskiego wspólnej z książętami polskimi, a więc konkurencyjnej wobec Zakonu, walki z poganami? W każdym razie na terenie władztwa Przemysła Otokara sytuacja Krzyżaków uległa pewnemu pogorszeniu.

Od początków stycznia do początków marca 1256 r. w kurii papieskiej przebywali natomiast przedstawiciele biskupa krakowskiego Prandoty, którzy uzyskali wówczas szereg bulli papieskich, dotyczących kultu św. Stanisława i odpowiednich odpustów, potwierdzenie szerokiego immunitetu, udzielonego Prandocie przez księcia Bolesława Wstydliwego — wraz z papieskim listem pochwalnym do tegoż księcia, dokumenty broniące praw majątkowych i przywilejów episkopatu i duchowieństwa polskiego, zwłaszcza w Małopolsce. Ostatnia z tej serii bulla papieska obejmowała wreszcie zatwierdzenie tradycyjnego prawa biskupów krakowskich do zajmowania pierwszego miejsca i głosu wśród episkopatu polskiego, naturalnie po arcybiskupach gnieźnieńskich (4 marca). Aleksander IV nie wystawił natomiast wówczas ani jednego aktu, dotyczącego spraw misji i krucjaty przeciw poganom. Albo więc biskup Prandota sam był wstrętnieśliwy w tej sprawie, albo też w kurii papieskiej nadal dobrze bronione były interesy Zakonu Krzyżackiego.

Margrabia Jan zapewne wczesną zimą 1255/6 r. wyruszył do Prus, może przez Wielkopolskę i Kujawy, gdzie drogę otwierało mu porozumienie z Przemysłem I i sojusz tego ostatniego z Kazimierzem Kujawskim, gdzie czekała go jednak niespodzianka. Zima opóźniała się, drogi były rozmokłe i trudno było zorganizować rejsę na ziemie pogańskie. W tej sytuacji wojska brandenburskie wycofały się nic nie dzielawszy. Gdy zaś wreszcie nadeszły mrozy sam komtur królewiecki z siłami Zakonu, podległych Sambów i może niektórych innych grup pruskich uderzył ponownie na Unsatrapis, zdobył tu jeden gród, zaś załogi trzech pozostałych grodów poddały się, przekazując Burchardowi jako rekojmiję wierności zakładników. W drodze powrotnej, wzmocniony posiłkami z Unsatrapis komtur królewiecki zlikwidował ostatnie punkty oporu w Notangii. Zostały w ten sposób zaokrąglone granice państwa krzyżackiego w Prusach, wyprostowane linie obrony i przygotowany grunt pod dalszą w miarę możliwości ekspansję na Nadrowie i potem na Jaćwię.

Widać stąd wyraźnie, że wiążący siły książąt polskich konflikt wojenny między Piastowcami a Świętopełkiem i jego synem Mściwojem dobrze służył interesom Krzyżaków, którzy spokojnie mogli zająć się ekspansją na wschódzie swego państwa.

Zakonowi zagroził jednak kryzys wewnętrzny. Oto wielki mistrz Poppo v. Osternohe opuściwszy Prusy udał się do Włoch, gdzie w Rzymie z nieznanym przyczyn — podobno ze względu na podeszły wiek (chociaż żył jeszcze potem dłuższy czas) zrezygnował z kierowania Zakonem. Dokładnej daty rezygnacji nie znamy. Trudno więc stwierdzić, czy seria bulli Aleksandra IV dla Zakonu z 11 marca została wystawiona przed, czy po tej rezygnacji. Papież ponowił wówczas wezwanie swego poprzednika (Innocentego IV) do dominikanów ze wschodnich i północnych Niemiec, Czech z Morawami, Polski i krajów skandynawskich, by na tych terenach głosili krucjatę do Prus i Infant. Odpowiedzialnym za tę krucjatę miał być prowincjał dominikanów niemieckich, którym był wówczas znany

filozof i teolog Alfred zwany Wielkim, mistrz Tomasza z Akwinu. Alfred przebywał zresztą wówczas w kurii papieskiej w związku ze znanym nam już procesem z profesorami Sorbony.

Nowe zezwolenie na krucjatę dla wsparcia Krzyżaków było konkurencyjne w stosunku do niedawnego wezwania do krucjaty dla poparcia książąt polskich. Był to więc sukces dyplomatyczny Zakonu, o który najprawdopodobniej postarał się jeszcze sam Poppo v. Osternohe.

DRUGA FAZA WOJNY NAKIELSKIEJ

W tym czasie trwała nadal wojna wielkopolsko-pomorska. Wróćmy więc do tekstu głównego o niej źródła, Rocznika kapitulary poznańskiej:

W roku Pańskim 1256 książę Przemysł ze swoimi wojskami i z rycerzami brata, Bolesława, i z panem księciem Kazimierzem zeszli się w Nakle i za radą mądrych mężów poszli aż do grodu Pomorzana, który zwany jest Raciąż, i otaczając ze wszystkich stron wojsko to podłożyło zewsząd dookoła ognie, aby przez to strażniczy grodu zostali zastraszeni i przekazali gród w ręce księcia Przemysła. Ci [strażnicy] mężnie stawiając opór nie chcieli grodu przekazać jako mężowie, którzy przyrzekli wiarę swemu księciu, dopóki ogień gwałtowny nie objął całego grodu wraz z przebywającymi w nim ludźmi. A gdy Polacy zobaczyli, że Pomorzanie są już zrozpaczeni, ruszyli w ogień i wydobyli z ognia mężów i kobiety i dzieci, ile mogli wydobyć. Zostali schwytni wśród nich kasztelan Sokół, wojski, chorąży i przekazani w ręce księcia Przemysła. Rzeczy zaś wspomnianych ludzi jedne zostały spalone, pewne, których ogień nie objął, wydobyte przez Polaków. Tamże zostali spaleni ludzie wielcy i mali i liczny ich dobytek. Uciekli bowiem do tego grodu w obawie przed Polakami liczni Pomorzanie ze swoimi dziećmi i rzeczami.

Warto zwrócić uwagę na bohaterstwo pomorskich obrońców Raciąża (leżącego obecnie pod Tucholą, która wówczas miała dużo mniejsze znaczenie), jak również na akcję ratunkową Wielkopolan i Kujawian gdy przekonali się, że obrońcy nie będą już stawiać dalszego oporu. Trudno sądzić, by akcja ta podyktowana była tylko chciwością okupu i łupów. Wyprawę na Raciąż podjęto niewątpliwie w środku lub pod koniec zimy (po nastaniu mrozów). Tym razem nie przysłali posiłków ani Bolesław Wstydlivy, ani Siemowit mazowiecki, być może obawiający się nowego najazdu pogańskiego (który mógł być groźny ze względu na kryzys w stosunkach między Romanowiczami halicko-wołyńskimi a Litwą). Nie oznaczało to jednak zerwania sojuszu między Bolesławem Wstydlivym a Przemysłem I. Ten ostatni 14 lutego w Poznaniu, może tuż przed wyprawą raciąską, potwierdził przez jednego ze swych rycerzy nadanie dóbr na rzecz templariuszy. Czy miało to jakiś związek z podjęciem przez Bolesława Wstydliviego planu nadania Łukowa nie Krzyżakom, lecz właśnie templariuszom, nie wiemy.

Oddajmy jednak znowu głos Rocznikowi kapitulary poznańskiej:

W tymże również roku w Wielki Post książę Świętopełk ze swoimi synami i z bratem swoim zebrałszy niewiele wojsk dla dostarczenia zapasów do starego Nakla [przysłali] i gdy był pod nowym gródkiem [obłężniczym — J. P.] spróbował, czy nie mógłby w jakiś sposób przypodkowno zdobyć ów gródek, chociaż spostrzegł licznych obrońców. Naradziwszy się jednak ze swoimi polecił wojsku sporządzić drwa sosnowe, zastosować je jako pochodnie, aby mógł wspomniany gródek podpalić. I gdy gotowe drwa Pomorzanie wyrzucili do fos i zobaczono, że do celu nie nadają się, zachęcił ich [Świętopełk Pomorzanie], by wrócili po drewno, aby w większej ilości napelnili fosy. Polacy zaś jako mężowie przeczorni i w wielu rzeczach doświadczeni, gdy zobaczyli, że Pomorzanie odeszli po drewno a owe drwa, które już były rzucone nie zostały podpalone, wyszli uzbrojeni [z grodu] i wszystko usuwając przy pomocy przegotowanych do tego narzędzi owe drewna podpallili i ogniem zniszczyli. Pomorzanie zaś widząc taką chytrą i przezorność Polaków przestali już rzucać dalej drwa, lecz jako mężowie najsilniejsi, zbrojni ze swoimi tarczami i faszynami zbliżyli się z ukrytymi kamiennymi procami a także z machinami zaczęli atakować gród. Lecz miłosierny Pan nie opuszczając sprawiedliwych ludzi, Polaków [tu, jak i gdzie indziej] Polacy = Wielkopolanie J. P., którzy słusznie bronili] dziedzictwa Polski [Wielkopolski], które Pomorzanie osmieliłi się siłą księcia Polski [Wielkopolski] pozbawić, — łaskawy był siebie samego ofiarować dla pomocy Polsce [Wielkopolsce], niosąc im z nieba pomoc, dając im siły i wytrwałość zwalczania swoich wrogów, ponieważ jednak dość wątpli o życie, i za pomocą Boga wówczas wyrzucili nieprzyjaciół z grodu. A mówi się, że wtedy Pomorzanie zostali zabici aż do śmierci [!] w liczbie 20 a 60 ciężko rannieni niemal śmiertelnie. Bitwa ich trwała zaś owego dnia od przedpołudnia do godziny komplety [kompleta —

w chwili po zachodzie słońca — J. P.]. Tak książę Świętopełk straciwszy nieco ludzi wycofał się pobity.

Z powyższego przekazu widać, że po wyprawie raciąskiej inicjatywa działań zbrojnych przeszła w ręce Świętopełka.

Co tymczasem działo się z innymi książętami polskimi? Zbyt mało mamy do dyspozycji źródeł, by odtworzyć całą działalność polityczną tychże. Wiadomo jednak, że Bolesław Wstydlivy w początkach lutego zwołał dzielnicowy wiec rycerstwa małopolskiego do Obrazowa niedaleko Sandomierza, a więc we wschodniej części swego władztwa. Być może obawiał się kolejnego najazdu pogan. Może rozpatrywano też sprawę stosunków z Rusią, jest bowiem możliwe, że Daniel halicki miał pretensje do Bolesława o brak poparcia w czasie walk z Mongołami. Niedawny kryzys w stosunkach między Romanowiczami a Mendogiem stawiał też pod znakiem zapytania postawę władcy litewskiego wobec Polski. Może kontynuowano też narady w sprawie Łukowa, przeznaczanego teraz już templariuszom. Zapewne zdecydowano też skontaktować się z Konradowiczami.

Siemowit Konradowic w kwietniu naradzał się zapewne z biskupem płockim Andrzejem, który uzyskał wówczas od księcia nowe nadania i przywileje. Andrzej niewątpliwie w porozumieniu z Siemowitem i Kazimierzem zdecydował się wystąpić ponownie z oskarżeniem Krzyżaków o niedotrzymanie umów w sprawie dochodów i posiadłości w ziemi chełmińskiej. Kazimierz Kujawski z kolei może na wieść o rezygnacji Poppona v. Osternohe postanowił przystąpić do bardziej energicznego działania. Poppo był jedyną osobą w ścisłym kierownictwie Zakonu, z którą kiedyś książę kujawski blisko współpracował w czasie wspólnej wojny ze Świętopełkiem. Jego rezygnacja mogła więc w oczach Konradowicza znaczyć, że ostatecznie Krzyżacy nie wywiążą się z korzyści dla niego punktów umowy inowrocławskiej, zwłaszcza w kwestii połowy ziemi lubawskiej. Postanowił więc zwrócić się ponownie do papieża z oskarżeniem Zakonu o złamanie postanowień papieża Innocentego IV w sprawie ziem Galińdów i Polekszan i o potwierdzenie klątwy, rzucanej w 1254 r. przez legata papieskiego Opizona z Mezzano. Książę kujawsko-łęczycki mógł liczyć też na poparcie polskiego episkopatu, zwłaszcza zaś trzech biskupów, których diecezje obejmowały tereny jego dzielnic, to znaczy poza Andrzejem także arcybiskupa Pełki i biskupa Wolimira, z którymi stosunki układały się jak najlepiej, gdyż uczynił na ich rzecz wiele ustępstw w sprawach przywilejów i dóbr.

Najpóźniej pod koniec maja wyruszyło więc z Polski poselstwo, reprezentujące wymienionych biskupów, księcia Kazimierza a może i pozostałych Piastowiców, zainteresowanych problematyką polityki bałtyjskiej.

Już nieco wcześniej wiadomość o rezygnacji wielkiego mistrza Poppona dotarła do dostojników krzyżackich, którzy w maju lub czerwcu wyruszyli z Inflant i Prus w kierunku Niemiec. 29 czerwca we Frankfurcie nad Menem byli obecni obydwaj mistrzowie krajowi: Anno von Sangershausen inflancki i Dytrych von Grüningen niemiecki i pruski, były komtur królewiecki Burchard von Hornhausen, a niewątpliwie i inni, a także biskupi: Henryk kuroński, Henryk sambijski i Heidenryk chełmiński. Tu rozstrzygnięto toczący się od pewnego czasu spór między biskupem sambijskim, a konwentem królewieckim o trzecią część dochodów z Sambii, której wspomniany konwent nie chciał biskupowi wypłacić, stwierdzając, że wielce kosztowne były i budowa grodu królewieckiego, i jego utrzymanie i wreszcie obrona Sambii. Wybrani na arbitrów biskup Heidenryk i były komtur Burchard zobowiązali konwent do zapłacenia biskupowi sambijskiemu 200 grzywien w zamian za zrzeczenie się przez biskupa dalszych roszczeń do dochodów z okresu przed niedawnym ustanowieniem przez Henryka wójta biskupiego w osobie Volperta. Był to pierwszy, ale nie ostatni poważny konflikt między biskupem sambijskim Henrykiem v. Strittberg a resztą Zakonu Krzyżackiego.

Wystawiony zaś w tej sprawie dokument pozwala właśnie stwierdzić obecność wszystkich wymienionych osób we Frankfurcie. W związku z tym, że wśród członków Zakonu istniało prawdopodobnie dość znaczne stronnictwo uważające, że głównym terenem działania Krzyżaków winna być Palestyna (gdzie niedawno Zakon zyskał nowe nadania ale musiał się bronić przed pretensjami joannitów do zwierzchnictwa nad Krzyżakami), dostojnicy pruscy i inflanccy śpieszyli się, by dopilnować wybrania na kapitule generalnej Zakonu takiego wielkiego mistrza, który by zwracał należną uwagę na krzyżackie posiadłości nad Bałtykiem.

ALEKSANDER IV ZNOWU ZMIENIA ZDANIE

Tego papieża nie cechowała ani stałość ani wierność danemu słowu. Zawsze jednak dbał o to, by umocnić przewagę papiestwa nad władzą świecką i występować w roli sędziego. Temu celowi miała służyć między innymi bulla z 18 sierpnia 1255 r., w której Aleksander IV odwołał wszystkie tak swoje, jak swego bezpośredniego poprzednika przywileje, udzielone osobom duchownym i świeckim, zakazujące rzucania klatwy na te osoby. Uprowadzając wydarzenia możemy powiedzieć, że bulla ta mogła być wykorzystana także przy rozpatrywaniu skarg polskich przeciw Krzyżakom.

28 stycznia 1256 r. poległ w bitwie z Fryzami król rzymski Wilhelm holenderski. Otwierało to przed papieżem możliwość nowych manipulacji politycznych, mających na celu pełniejsze podporządkowanie Włoch i Niemiec. Aleksander IV wykluczył możliwość uznania praw do korony ostatniego legalnego potomka Hohenstaufów w męskiej linii, Konradyna. Tym bardziej dotyczyło to naturalnego syna Fryderyka II, Manfreda, który wiosną i latem odniósł dalsze sukcesy w walce z welfami na terenie Królestwa Sycylii, zdobywając ostatecznie też Neapol. Manfredowi papież przeciwstawiał od pewnego czasu syna króla Anglii, Henryka III, Edmunda, któremu nadał Królestwo Sycylii. Gdy jednak na terenie Niemiec część książąt i biskupów zaczęła wysuwać kandydaturę na króla rzymskiego brata Henryka III, Ryszarda z Kornwalii, papież przestraszył się, że może to prowadzić do odnowienia planów połączenia Niemiec i Królestwa Sycylii i odbudowania potęgi Hohenstaufów w rękach Plantagenetów. Do tego nie chciał dopuścić, chociaż nie wypadało też wprost sprzeciwiać się kandydaturze Ryszarda. Z zadowoleniem więc papież przywitał wysunięcie innej kandydatury, mianowicie Alfonsa X kastylijskiego. Teraz wreszcie Aleksander IV mógł występować w roli sędziego i rozjemcy. Pojawiła się też przelotnie kandydatura margrabiego brandenburskiego Ottona III, istniała — Przemysła Otokara II. Te jednak nie miały wielkich szans. Panowie niemieccy obawiali się władcy, który miałby oparcie w znacznych posiadłościach dziedzicznych na terenie Niemiec.

Trudno stwierdzić, czy Krzyżacy pozbawieni właśnie wielkiego mistrza, podzieleni na dwie co najmniej frakcje, byli w stanie zająć jednolite stanowisko wobec nowych problemów, i to stanowisko po myśli papieża. Być może Aleksander IV nie zapomniął też rycerzom zakonnym konszachtów z Manfredem, coraz bardziej niebezpiecznym przeciwnikiem. Zachęcenii jego sukcesami gibelini zaczęli podnosić głowę nawet w miastach państwa papieskiego. W Rzymie panowało znaczne niezadowolenie z rządów welfickiego senatora Emanuela de Madio i dochodziło tu często do zamieszek. Papież wolał więc opuścić Wieczne Miasto i ponownie przenieść się

do bezpiecznego Anagni. Tu właśnie dotarło poselstwo polskie.

Najpierw 3 lipca Aleksander IV zajął stanowisko w sprawie prokuracji legackich. Odwołując się teraz na odrębność polityczną Polski papież zezwolił arcybiskupowi gnieźnieńskiemu jego sufraganom i całemu duchowieństwu prowincji gnieźnieńskiej, by uiszczali prokurację tylko tym legatom, w których prowincji wyraźnie i w sposób pełny wymieniona będzie Polska, nie zaś wszystkim legatom lub nuncjuszom, wysłanym do Niemiec i nie podanych bliżej krajów sąsiednich.

Warto przytoczyć obszerny fragment następnej bulli, z 15 lipca 1256 r.:

Aleksander biskup [rzymski, sługa sług bożych] itd. czcigodnemu bratu [Tomaszowi] biskupowi wrocławskiemu i umiłowanym synom... przeorowi braci kaznodziej [dominikanów — J. P.] w Chełmnie i bratu Bartłomiejowi z zakonu braci mniejszych [franciszkanów — J. P.], kaznodziej krzyża przeciw poganom Polski, pozdrowienie [i apostolskie błogosławieństwo]. Jako kochany syn nasz szlachetny mąż Kazimierz książę Kujaw i Łęczycy, pobożny kościół rzymski, przedstawił nam z własnej inicjatywy, pewni poganie, którzy w owych stronach zwani są pospolicie Jentusi [Jaćwiegowie — J. P.], sąsiadujący z jego ziemiami, chcą dobrowolnie wrócić do wiary chrześcijańskiej i poddać się jego panowaniu, a szczęśliwej pamięci Innocenty papież, nasz poprzednik, temu i kochanemu synowi naszemu męzowi Bolesławowi księciu Krakowa i Sandomierza nadał podobno, by jakichkolwiek pogan pobliskich lub sąsiadujących z ich ziemiami [Kazimierz i Bolesław — J. P.], którzy dobrowolnie oraz bez wojny i mlecza chcieliby wrócić do wiary chrześcijańskiej i poddać się ich panowaniu, wolno im przyjąć i jak innych chrześcijan trzymać w swych rękach, opiekować się i także we wszystkim bronić, nie zważając na zezwolenia, które, jak mówi się, zostały nadane wcześniej kochanym synom braciom Domu Niemieckiego [Krzyżakom — J. P.] z tychże stron, aby przyłączyli do swego władztwa tych pogan z owych stron, których mogliby podporządkować sobie wojną i mleczem. Ponieważ zaś godne łaski winno być nawrócenie nieprzymuszone, a sam bóg służyć przymuszonych nie przyjmuje, nakłonieni prośbami tego samego księcia [Kazimierza — J. P.], nakazujemy, abyście z mocy aurytety naszego przeciw wszystkim dzierżyli i bronili wspomnianych pogan i jakichkolwiek innych, chcących dobrowolnie wrócić do tejże wiary.

Dalej następuje formuła, zezwalająca na nakładanie kar kościelnych na wszystkich sprzeciwiających się poleceniu papieskiemu, bez względu na poprzednie zalecenia.

Z przytoczonej bulli widać, że papież został przekonany przez przedstawicieli polskich i zmienił zdanie w sprawie polityki bałtyjskiej, udzielając znowu poparcia Kazimierzowi Kujawskiemu i Bolesławowi Wstydliwemu.

W trzy dni później papież ustosunkował się do supliki biskupa płockiego Andrzeja i jego kapituły, którzy skarżyli się na złamanie przez Krzyżaków umowy polubownej w sporze o dziesięcinę, ziemię i posiadłości, prawa, jurysdykcję i dochody kościelne w ziemi chełmińskiej (rzekomo położonej w diecezji płockiej). Aleksander IV polecił więc biskupowi wrocławskiemu Wolimirowi a także przeorowi dominikanów chełmińskich i scholastykowi wrocławskiemu, by wezwali mistrza i braci Zakonu w Prusach do respektowania umowy a w razie odmowy rzucili na nich kłatwę, przeciw której Krzyżacy nie mieliby prawa do apelacji.

Tak więc starania polskie przyniosły ponownie pełny sukces. Sytuacja z 1253 r. powtórzyła się.

Z punktu widzenia dziejów Pomorza Gdańskiego istotne było, że Krzyżacy musieli znowu zająć się kontracją dyplomatyczną, jak również i to, że ponowne zwrócenie się Kazimierza Kujawskiego ku sprawie polityki bałtyjskiej i rywalizacji z Zakonem skłaniało go do odstąpienia od udziału w wojnie nakielskiej a w dalszej perspektywie do polityki zbliżenia z Świętą Petką.

(Cdn.)

Nakładem PWN w 1979 r. ukazały się dwie książki poświęcone malarstwu gdańskiemu. Jedną z nich – „Malarstwo tablicowe w Gdańsku w 2 poł. XV w.” jest autorstwa Adama S. Labudy z uniwersyteckiego ośrodka poznawskiego, uczynią prof. Gwido Chmarzyńskiego znakomitego znawcy sztuki Ziemi Chełmińskiej, Pomorza Gdańskiego, Zachodniego i Prus Książęcych, a zarazem syna znanego nam dobrze wybitnego historyka prof. Gerarda Labudy. Monografia Adama S. Labudy, wysoko oceniana przez środowisko historyków sztuki, wypełnia istotną lukę w badaniach nad sztuką późnogotycką Gdańska i Pomorza. Autor omawia nie tylko dzieła, ale również uwarunkowania historyczne i socjologiczno-artystyczne, w których one powstały.

Opracowanie drugie, Teresy Grzybkowskiej z uniwersyteckiego środowiska warszawskiego, prezentuje dorobek gdańskiego malarza Andrzeja Stecha, który urodził się w 1635 r. w Słupsku jako syn Henryka (też malarza) i Anny z domu Krassen. Liczne dzieła z bogatej spuścizny Andrzeja Stecha, obok malarstwa religijnego, historycznego, batalistycznego, alegorycznego i mitologicznego obejmującej portrety, martwe natury i ilustracje naukowe, poza muzeami, głównie Muzeum Narodowym w Gdańsku i Biblioteką Gdańską PAN, znajdują się w kościołach oraz katedrach w Oliwie i Pelplinie. (tr)

FRAGMENTY KUTRA W SKANSENIE WE WŁADYSŁAWOWIE

Przy okazji społecznej akcji złomowania 15-metrowego kutra dębowego w Rybackiej Stoczni Remontowej „Szkuner” we Władysławowie, budowanego seryjnie w latach 1947 do 1949 w Stoczni Rybackiej w Gdyni, gdzie jeszcze wtedy pracowali tacy szkutnicy jak: Franciszek Ledke, Franciszek Rauchfleisch (późniejszy kierownik Agencji PRS we Władysławowie), Konrad Gapski, Stefan Rhode, Dampc i wielu innych – udało się uratować fragment części dziobowej i rufowej tego kutra i umieścić w skansenie MOKSiR we Władysławowie. Części te są darem młodzieży zrzeszonej w ZSMP przy w/w stoczni, która też prze transportowała je w dniu 15. 10. 79 r. do skansenu. Zespół wykonawczy to: Joachim Budzisz, Marcin Derc, Marian Dobrołęcki, Zbigniew Kaczmarek, Gerard Kleba, Wojciech Kuźel, Kazimierz Modzelewski, Andrzej Muza, Stanisław Pipka, Ryszard Piotrowski, Zbigniew Wolszon, Roman Zelewski. Kierował akcją mgr inż. Anatol Nowicki.

Inicjatywa przekazania fragmentów kutra do miejscowego skansenu wyszła od dyrektora Nadmorskiego Parku Krajobrazowego mgr inż. Tadeusza Rewolińskiego i od niego podpisanego, który przekazał również charakterystykę techniczną kutra. Należy podkreślić, że takich fragmentów kutra nie posiada nawet Centralne Muzeum Morskie – Oddział Rybołówstwa w Helu.

Feliks Grochowski

KLEKA

PIEŚNI KASZUBSKIE ADAMA ŚWIERZYŃSKIEGO

Na półkach księgarń muzycznych ukazał się śpiewnik kompozytora Adama Świerzyńskiego zatytułowany „Pięć pieśni kaszubskich na chór mieszany a cappella”. Pieśni ze śpiewnika Świerzyńskiego noszą tytuły: „Kapala się z chłopcami”, „Kole granic nie ma rlic”, „Przed dwór zajechali”, „Pieśń bez słów”, „Pocóżes mi moja matko...”. Śpiewnik został wydany przez Stowarzyszenie Marynistów Polskich i Polskiej Związek Chórów i Orkiestr. Prawykonanie pieśni kaszubskich Adama Świerzyńskiego nastąpiło na VII Koncercie Muzyki Marynistycznej w 1977 roku w Warszawie, który to zresztą odbył się z okazji 350 rocznicy bitwy pod Oliwą. Jerzy Jaroszewicz omawiając program tegoż koncertu napisał: „Cykl pieśni kaszubskich jest efektowny i bogaty, przypuszczać należy, że na stałe wzbogaci niezbyt obszerny repertuar marynistyczny polskich chórów”. Adam Świerzyński komponując muzykę do pieśni kaszubskich korzystał z materiałów folklorystycznych zawartych w zbiorach Oskara Kolberga – „Dzieła wszystkie. Pomorze” – oraz ze zbioru Lucjana Kamińskiego „Pieśni ludu kaszubskiego”.

12 listopada 1979 r. w Muzeum Narodowym w Warszawie odbył się wiecór muzyczny, na którym zaprezentowano również pieśni kaszubskie Adama Świerzyńskiego. (s.j.)

„ZŁOTA IGŁA 1979”

W listopadzie ub.r. nastąpiło rozstrzygnięcie ogólnopolskiego konkursu hafciarzkiego „Złota Igła 1979”. Organizatorami konkursu są – corocznie – redakcje „Nowej Wsi” i „Gospodyni”. Tym razem nadesłano 4000 prac. Ośmioosobowe jury przyznało między innymi III nagrodę w dziedzinie haftu użytkowego Annie Głowczewskiej z Orlika i Irenie Mładanowicz z Parzyna. Nagrodę specjalną za wierne odwzorowanie haftu regionalnego otrzymała Zofia Formela z Kartuz.

(s.j.)

PEJZAŻE KASZUBSKIE STANISŁAWA DOBRSKIEGO

Od młodości Stanisław Dobrski zajmował się myślistwem. Tę pasję zresztą odziedziczył po ojcu. Przed sześcioma laty doszło do malarstwa. Zaczął utwarzać pejzaże swoich łowczych wędrówek, zabierając prócz myśliwskiej dwururki malarski szkicownik. Cechą specyficzną jego obrazów są kaszubskie pejzaże z leśnymi zwierzętami. Znaczących w tych obrazach wyczuć nastroju i barwy. Są – wśród licznych pejzaży Stanisława Dobrskiego – urokliwe miejsca z okolic Lipusza, Szemuda, Kościerzyny. Szczególnie tamtejsze mokradła, obfitujące w dzikie szkaczki. Są też – bogate w swojej kolorystyce – widoki Kątów Rybackich, ujścia rzeki Redy, Chalup. Nietrudno rozpoznać także różne inne zakątki Szwajcarii Kaszubskiej.

Amatorskie malarstwo Stanisława Dobrskiego spotkało się z dobrym przyjęciem krytyki. Jego obrazy były wystawiane w galerii Gdańskiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuki, w gdańskim Domu Prasy, malborskim Muzeum Zamkowym, na Biennale Plastyki Nieprofesjonalnej, a także I Biennale Plastyki Amatorskiej Krajów Nadbałtyckich w Szczecinie.

15 grudnia została otwarta wystawa prac Stanisława Dobrskiego w Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie. Z tej też okazji wejherowskie muzeum przygotowuje 16 stronicowy folder jego malarstwa. Wystawę opracowuje gdański artysta plastyk – Janusz Hebda.

(s.j.)

ETYMOLOGIE NAZWISK WSCHODNIOPOMORSKICH

W zeszycie 1 tomu XXXIX „Rocznika Gdańskiego”, który się ukazał w październiku 1979 r., Edward Breza dał artykuł „Ze studiów nad nazwiskami pomorskimi”, w którym zetymologizował pochodzących z Kaszub, Kociewia i Borów Tucholskich 19 nazwisk niejasnych pod względem etymologicznym lub które się kojarzą z podstawami, od których w rzeczywistości nie pochodzą. Są to nazwiska: Baska, Bryłowski, Eron, Etmański (też Hetmański), Kasyna, Kłaman, Koster, Labuda, Miotk, Ramczyk (też Ramczykowski), Szadach, Szala, Szarmach, Sylka (też Selke, Zelka), Tusk, Wenda (też Węda, Wendt, Wentk, Went), Werowski, Worzala, Zarach.

(zb)



Nasz serwis zdjęciowy jest bardzo szczupły, a do tego jeszcze często opóźniony. I tym razem publikujemy z opóźnieniem dwie fotografie przedstawiające uczestników ostatniego Spotkania Twórców Literatury Koszubsko-Pomorskiej we Wdzydżach.

Na zdjęciu górnym, w pierwszym rzędzie od lewej: Jerzy Pachlowski, Jerzy Samp, Zofia Kamińska, Izabella Trojanowska, Stanisław Gostkowski, Zbigniew Jankowski, Zofia Ajewska i Stanisław Pestka. W drzwiach motelu „Pod

Niedźwiadkiem” stoją: Adam Klein, Józef Ceynowa oraz dwaj panowie z brodami – Józef Borzyszkowski i Erwin Kruk.

Na zdjęciu poniżej, od lewej: Tereso Ferenc, Lech Bądkowski, Benedykt Malinowski, Stefan Fikus, Jan Piepka i Józef Ceynowa. Na drugim planie: S. Pestka, Z. Jankowski, J. Pachlowski, Bolesław Fac i E. Kruk. Fotografował: Edmund Kamiński.



O OCHRONIE ŚRODOWISKA W KARTUZACH

27 października 1979 r. w Kartuzach odbyło się zebranie plenarne Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. Tematem przewodnim była ochrona środowiska przyrodniczego i kulturowego Kaszub. Wygłoszono dwa referaty: red. Jerzego Surdykowskiego — „Świat 7 miliardów” i dra Alfonsa Sikory — „Problemy ochrony środowiska przyrodniczego i kulturowego na Pojezierzu Kaszubskim”. W dyskusji głos zabrali przedstawiciele niektórych oddziałów ZK-P, informując o problemach ochrony w swoich ośrodkach. Z głosów członków Zarządu Głównego wynikało jednoznacznie, iż oba referaty nie spełniły oczekiwań, mimo że wystąpienie Jerzego Surdykowskiego było dobrze przygotowane. Natomiast referat Alfonsa Sikory był bardzo powierzchowny, poruszał problemy marginalne. W wyniku wielu zastrzeżeń Zarząd Główny ZK-P nie podjął uchwały proponowanej przez kol. A. Arendta z komisji wnioskowej, zalecił jej dopracowanie i ponowne poddanie pod głosowanie na następnym zebraniu Zarządu Głównego. Sesji przewodniczył prezes Zrzeszenia — Stanisław Pestka.

(s.j.)



Z ŻYCIA ZRZESZENIA

NOWY ZARZĄD „POMORANII”

Dnia 16 listopada 1979 r. odbyło się zebranie sprawozdawczo-wyborcze klubu „Pomorania”, w którym wzięło udział 33 członków i sympatyków. Gościem klubu był członek prezydium ZG ZK-P Feliks Marszałkowski.

Sprawozdanie z działalności „Pomorania” w imieniu ustępującego zarządu przedstawił prezes Feliks Borzyszkowski. Hanna Grabowska odczytała sprawozdanie Komisji Rewizyjnej, po czym rozwinęła się interesująca i ożywiona dyskusja.

Po udzieleniu absolutorium ustępu-

jącemu zarządowi i Komisji Rewizyjnej przystąpiono do wyboru nowych władz klubu. Nowo wybrany zarząd ukonstytuował się ostatecznie w składzie: Feliks Borzyszkowski — prezes, Kazimierz Klawiter — wiceprezes, Stefan Rambert — sekretarz, Józef Łacki i Halina Polonis — gospodarze checzy w Łączyńskiej Hucie oraz Kazimierz Kleina i Stanisław Łacki — członkowie zarządu.

W skład Komisji Rewizyjnej weszli: Wojciech Syrocki (przewodniczący), Krystyna Maciaś i Marian Gliński. (K.l.)

Redakcja nie zwraca nie zamówionych materiałów; zastrzegamy sobie również prawo skracania tekstów nie zamówionych.

NUMERY POPRZEDNIE „POMORANII”. Pojedyncze numery pisma z ubiegłych miesięcy i lat można nabyć w biurze Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, ul. Szewska 1/4, 80-828 Gdańsk lub zamówić przesyłką pocztą. Tel. biura: 31-32-35.